

**Dymitr Bilenkin**

# **Zbiór opowiadań**

## *Spis treści*

CYROGRAF.....	3
CHŁÓD NA TRANSPLUTONIE.....	7
CZY ISTNIEJE CZŁOWIEK? .....	12
DLACZEGO .....	19
DZIEŃ W KTÓRYM ZJAWIŁA SIĘ ŻYRAFA .....	21
MARSJAŃSKI PRZYBÓJ .....	31
MIASTO I WILK .....	38
MIEJSCE W PAMIĘCI .....	58
CZYMŻE JEDNAK ZAWINILIŚMY WOBEC TEGO STARCA.....	59
NAPRAWA ELEKTRONÓW.....	62
REAKCJA OBRONNA .....	69
STWORZONY, BY MÓC LATAĆ .....	76
ŚNIEGI OLIMPU .....	84
TEST NA ROZSADEK .....	95
WIĘZY BÓLU.....	109
WYBACZ ODCHODZĄCYM .....	119
CIŚNIENIE ŻYCIA.....	133
GRUPA LAOKOONA.....	141
NIEDOTYKALSKA.....	151

## Cyrograf

Stiepan Porfiriewicz Dernin - pięćdziesięcioletni mężczyzna o pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu spojrzeniu i przeplatanych mysią siwizną włosach - był niegorszą kanalią. Nic więc dziwnego, że pewnego pięknego dnia zgłosił się do niego diabeł.

Urzędnik piekiel ubrany był w świetny garnitur z syntetycznego materiału, białą niemnącą koszulę i srebrzysty krawat. W szponiasyich łapach trzymał elegancką teczkę w stylu „attache”, a w pysku dymił mu się amerykański camel.

- Ma pan na koncie dokładnie trzydzieści trzy świństwa - uprzejmie oświadczył Derninowi. - Tym samym nabyliśmy prawa do pańskiej duszy.

- Chwileczkę! - obruszył się Dernin, nie zaproponowawszy nawet gościowi, aby usiadł. - O ile mi wiadomo, limit świństw...

- Ma pan całkowitą rację! Ale nie dalej jak miesiąc temu kierownictwo piekiel obcięło limit. Dokładnie dwukrotnie...

- Ależ to bezprawie! Samowola!

- I znów ma pan absolutną rację: bezprawie. Obecnie w wielu miejscach świata bezprawie jest w modzie. Faszystowskie przewroty, gwałcenie konstytucji, junty wojskowe... Nie ma co gadać, piekło stara się dotrzymać kroku postępowi w ogóle, a zbrodniom w szczególności.

- Mogliby przynajmniej uprzedzić.

- Ależ co pan! Przecież to już nie byłaby czystej wody samowola, nie rozumie pan?

Czart dobrotliwie się uśmiechnął i usiadł pomachując ogonem. Dernin przygnębiony skinął głową, ale nieoczekiwanie olśniła go nowa myśl.

- Pański dowodzik poproszę...

Diabeł niedbale rzucił na biurko swój dowód.

Dernin włożył okulary, znacząco kaszlnął, pomacał okładkę dokumentu i porównał diabelski pysk z wizerunkiem na zdjęciu. Potem przejechał paznokciem po piekielnej pieczęci i z westchnieniem zwrócił dokument diabłowi.

- Teraz chciałbym się zapoznać z zasadami konfiskaty dusz - powiedział, obrzucając diabła ciężkim spojrzeniem.

- Proszę się nie niepokoić, nie są skomplikowane. Po pierwsze...

- Nie trzeba. Powinien pan mieć instrukcję. Diabeł skrzywił się kwaśno.

- Przeklęta biurokracja! - warknął. - Przecież naukowo udowodniono...

- Nauka nauką, a papierek papierkiem pouczającym tonem odezwał się Dernin. - Dlaczegoż bym miał wierzyć panu na słowo? To nie w moim stylu, a mam nadzieję, że i nie w piekielnym.

Diabeł pokornie pochylił głowę i wy dostał z teczki ciężkie tomisko, na którego grzbiecie gorzało ogniste słowo: Instrukcja.

Stiepan Porfiriewicz zagłębił się w studiowanie księgi. Posapując z zadowolenia podnosił od czasu do czasu pytająco brwi, w nabożnym skupieniu poruszał wargami, skrupulatnie analizując tekst. Jego pozbawione zazwyczaj jakiegokolwiek wyrazu oczy błyszcząły teraz, jakby skropione życiodajnym balsamem.

Nudzącemu się czartowi sprzykrzyło się to wreszcie i bezceremonialnie rozwaliwszy się w fotelu włączył telewizor. Szedł akurat mecz hokejowy. Gra tak go pochłonęła, że zapalił naraz dwa camele, nastawiwszy uprzednio na maksimum siłę głosu odbiornika.

- Przeszkadza mi pan - zrzędlawie zauważył Dernin.

- No i bardzo dobrze - nie odwracając nawet głowy odparł tamten. - Trudności stwarza się po to, aby je pokonywać. Zgadza się pan ze mną?

Dernin popatrzył kątem oka na podrygujący z emocji ogon diabła i nic nie odpowiedział. Sam był mistrzem w stwarzaniu wszelkiego rodzaju trudności. Obdarzywszy diabła śmiercionośnym spojrzeniem, znów pogрузzył się w lekturze.

- Taaak... - powiedział wreszcie. - Zrobiona z głową, nie powiem. A ja myślałem, że cyrograf trzeba pisać krwią.

- Przeszarżała, absolutnie niehigieniczna zasada! - parsknął diabeł. - Proszę, oto blankiet, niech go pan wypełni i kończymy ten interes.

Nawet nie wysilił się, żeby oderwać wzrok od ekranu telewizora, na którym upływały ostatnie minuty meczu; wynik jednak w dalszym ciągu nie był przesądzony. Potrzebny blankiet sam wyskoczył z teczki i legł przed Derninem. Ten ostrożnie wziął go w palce, przyciągnął ku sobie i niewyraźnym, urzędniczym pismem wypełnił rubryki. Gdy tylko postawił datę i podpis, z teczki wyskoczyła wielka okrągła pieczęć i z hukiem ostemplowała dokument.

Zapachniało piekłem.

- Więc co ze inną? Mam się zbierać? - zapytał Dernin.

- Cicho!!! - ryknął diabeł, hałaśliwie fetując decydującego gola. Wreszcie, wyłączywszy telewizor, z promieniejącym pyskiem odwrócił się do swojej ofiary.

- No co? Wypełnił pan? Przepysnie. Tak... tak - wszystko zgodnie z przepisami. Lubię mieć do czynienia z wykształconymi grzesznikami. Końcem szpona złożył na dokumencie swoją parafkę.

- Teraz migiem zlatuję do piekła, zarejestruję cyrograf i... No, stary, nie załamuj się! „Wszyscy jesteście straconym pokoleniem” - jak powiedział Hemingway. Wszystkim wam jest pisane smażenie w kotle, pardon, w piekarniku na podczerwień. *C'est la vie!*

Pomachał cyrografem, zamknął teczkę z trzaskiem i ze słowami: - Niech się pan nie niepokoi, męki mamy opracowane zgodnie z ostatnimi osiągnięciami psychoanalizy! - zniknął.

Nie minęła jednak minuta, kiedy pojawił się z powrotem.

- Wiesz co, stary? - niedbale się odezwał. - Trzeba będzie przepisać ten cyrografik.

- A to dlaczego? - zachnął się Dernin.

- Wypełnił pan blankiet atramentem. A atramentem nie wolno, do tego jeszcze fioletowym. Tylko długopisem albo jeszcze lepiej - flamastrem. Nasze piekło, powtarzam, stara się iść z postępem, a w szczególności z postępem techniki biurowej. Proszę to przepisać.

- Nie przepiszę! - zdecydowanie powiedział Dernin.

- Jak to nie?!

- Bo nie. Nie trzeba się było zachwycać Hemingwayem czy jakimś tam innym waszym nowoczesnym, tylko dopilnować właściwego wypełnienia blankietu.

- No, no... - bez przekonania odezwał się diabeł. - Limit pańskich świństw jest wyczerpany, toteż...

- Toteż, młody człowieku, cyrograf raz podpisany przez pełnomocnika piekieł, w przypadku stwierdzenia post factum niezgodności z wymaganym wzorcem z racji zdrady lub podstępstwa duszodawcy, podlega przepisaniu jedynie za zgodą tego ostatniego. Jeśli natomiast zgoda taka nie zostanie wyrażona, to duszodawca, zgodnie z paragrafem 117, nie podlega już zaszeregowaniu do grupy „kanalii”, a do grupy „wyjątkowych bydlaków” i jako takiemu przysługuje mu podwójny limit podłonikczerności. Tak mówi wasza Instrukcja i dobrze by było, gdyby ją pan raz jeszcze przeczytał. Rogi i kopyta diabła poblady.

- Ależ to są formalności - wyszeptał.

- Za ich niedopilnowanie otrzyma pan wymówienie. Niech więc pan natychmiast zniknie z moich oczu, zaklinam na Instrukcję! Raz!

- Proszę posłuchać! - wrzasnął diabeł, paskudnie zalatując siarką. - Zgoda, pańska podłość wzięła górę, ale na przyszłość... Skąd, skąd pan wziął atrament?! Przecież nie sposób go uświadczyć, choćby za nieśmiertelną duszę?!

- Ja, młody człowieku, jestem w pewnym sensie, he-he, konserwatystą. I jak pan widzi, czasem się to przydaje.

## Chłód na Transplutonie

Promień światła wznicił pod nogami lodowe płomienie, ciemności uniosły się ku górze jak dym.

Później, pod wpływem zmęczenia się wzroku monotonią, światło zamieniło się w owal przezroczystej materii, w której ciałem trzeba było torować drogę przez stawiające opór ciemności. Tam gdzie obłok rozpruwały iskrzące klingi brył, światło wyciekało na boki zastygając płaskimi kałużami, a kiedy promień lampy przesunął się, to wydawało się, że światłonośny owal pełza podrygując z bólu. Wrażenie było tak silne, że Igonin musiał przekonywać sam siebie: To omam wzrokowy. Promień światła nie zmniejsza średnicy, nie podobnego, to światło, a nie płyn w dziurawym worku. Mniej więcej o tym samym myślał Simakow: Tak, to nie Antarktyda chłodną nocą. Podobne, a przecież nie to samo. - Ciemno jak u diabła w kieszeni - powiedział głośno. Radio obcięło wysokie tony i słowa zadźwięczały w uszach Igonina poszczękiwaniem membrany.

Należało przejść jeszcze około kilometra.

Błyszczący, matowy, gąbczasty, biały, błękitnawy, to mętny, to znów przezroczysty lód pod nogami był wodorem, dwutlenkiem węgla, metanem, amoniakiem, neonem - szli po powierzchni atmosfery. Par gazów nie było widać, ale istniały one, bo przesłaniały gwiazdy. Ludzie wiedzieli, że po obu ich stronach ciągnie się bezkresna równina, a nad głowami biliony lat kosmicznej pustki, a mimo to było im fizycznie ciasno. I gdyby nie trening, mogłaby ovladnąć nimi psychoza zamkniętej przestrzeni - tak jak to miało miejsce podczas jednej z pierwszych wypraw na Transpluton. Choć szczelin i zapadlin mogli się nie obawiać (ręczne lokatory uprzedziłyby o nich na czas), to jednak Igonin i Simakow szli bez pośpiechu, z ową powolnością, jaka właściwa jest człowiekowi znajdującemu się w zamkniętej i ciemnej przestrzeni. Była to typowa podświadoma reakcja daytimej istoty na nieprzenikniony mrok. Samo poruszanie się po Transplutonie, w przeciwieństwie do polarnych obszarów Ziemi, niczym im nie groziło. Nie było tu zmian pogody, nie było (w dokładnym znaczeniu tego słowa) wiatru, a tym bardziej huraganu. Planeta była sejsmicznie martwa.

A jednak w obłoku par od czasu do czasu zaczynało coś się dziać. W pewnym momencie Igoniowi wydawało się, że promień latarki dał w ciemnościach słabutki odblask. Jakby gdzieś wysoko nad głową zamigotał płatek śniegu. Potem zamigotało ich już kilka. Wątpliwości przysły - to były gwiazdy...

Zasłona nocy opadała szybko i bezdźwięcznie. Początkowo oczyścił się nad ich głowami krąg. Opasywał go pierścień gazów. Obracając się rósł w oczach, aż zlał się z horyzontem.

- Wyłączmy światło - powiedział Igonin.

Nie, noc nie znikła. Nie mogła zniknąć w tej odległości od Słońca. A jednak ludzie odetchnęli z ulgą. Nad nimi było niebo szerokie, gwiazdziste, mroczne niebo, równie nieruchome jak wszystko dokoła. W każdym razie zrobiło się przestronniej.

Jak na komendę odwrócili się w tę stronę, gdzie nisko nad horyzontem stało Słońce - wielka żółta gwiazda, która tu nie dawała ani światła, ani cienia. Spojrzeli przed siebie. Czarna równina raptownie ginęła za horyzontem, nad którym ciągnęła się Droga Mleczna. Czuli się tak, jakby stali na skraju przepaści. Szeroka, lodowa płaszczyzna jakby zawisała nad przestrzeniami międzygwiazdnej pustki, w którą można było spadać przez całą wieczność, lecieć miliardy lat, nie sięgając dna...

Oczywiście nie było to nic innego, jak gra wyobraźni” a jednak...

Niesamowite - Simakow zmusił się do uśmiechu. - Zaczynam rozumieć tego mnicha - pamiętasz obrazek w podręczniku? - który doszedł do krańców Ziemi i zajrzał... w nicość. Ostatecznie, co to za różnica, skąd się patrzy na gwiazdy.

- Różnica mimo wszystko jest - cicho odpowiedział Igonin. - Psychologiczna. Tak, rozumiem cię. Wiemy, że znajdujemy się na krańcach Systemu Słonecznego i że tam wyciągnął przed siebie rękę - nie ma niczego.

Przy tych słowach obaj poczuli się tak, jakby spoza horyzontu powiał chłodny wiatr, i chociaż skafander grzał tak jak przedtem, Simakow potrząsnął ramionami.

- Bzdura - powiedział głośno. - Tam są inne gwiazdy, inne planety, a jeszcze dalej inne Galaktyki. Kiedyś tam polecimy... Ostatecznie za mini jest taka sama pustka.

- Wcale nie taka sama. W końcu wiemy, że tam jest Ziemia; ciepłe Słońce, stacje międzyplanetarne, ożywiona przestrzeń, dom - wszystko to, czego nie ma przed nami. No, czas ruszać dalej.

Gwiazdy ledwie rozjaśniały granie lodowych skał, znaczyły ich kontury, więc oczywiście nie można było iść przy takim świetle. Zapłonęły latarki. W ich blasku zniknęły wszystkie niezbyt jasne gwiazdy. Uczucie braku miejsca, zamknięcia opuściło ludzi. Ale kontakt z nieskończonością sprawił, że nie opuszczało ich uczucie otwartej, zbyt otwartej; zbyt gołej, obcej im przestrzeni. Psycholog byłby pewnie zauważył, że i to uczucie jest atawizmem wywodzącym się z czasów, kiedy przodkowie człowieka żyli w lesie, atawizmem, który budzi się w mieszczuchu na pustyni, a u koczownika na widok nieznanych



i mrocznych przestrzeni. Teraz światło dawało ludziom iluzję obrony, choć z punktu widzenia rozsądku wszystko to było bzdurą. Jakie bowiem znaczenie warunki zewnętrzne mogły mieć dla ludzi, którzy mieli na sobie skafandry?

- Pssst... - syknął Simakow.

- Co takiego?

- Nic. Po prostu przyszła mi na myśl legenda o zmarzniętych dźwiękach. Głupia asocjacja myśli. Przecież to pod naszymi nogami to nie lód. To grobowe płyty. Tak sobie myślę, że skutymi mrozem zgęszczeniami atomów, ciemnościami, ciszą i chłodem skończy się wszystko, kiedy zgaśnie ostatnia gwiazda.

- A ktoś tu niedawno mówił o lotach do innych Galaktyk... Tak, słowo "lód" nie jest tu na miejscu, ale innego niestety nie mamy. I cóż z tego. Może właśnie cel i sens rozumu zawiera się w tym, aby nie dopuścić do takiego zlodowacenia świata.

- Możliwe, ale na razie włada tu chłód. I to działa na nerwy.

- Wyobraź sobie, że spacerujesz po Saharze. Od razu będzie ci lżej.

Wkrótce jednak przekonali się, że nie wszystko skamieniało. W spadzistym wyżłobieniu przegrodził im drogę wąski pas nieruchomej cieczy. Jak w lustrze kropkami płonęły w niej gwiazdy. Promień latarki oświetlił dno - ciecz była zupełnie przezroczysta, głębokość jej nigdzie nie przekraczała pięćdziesięciu, sześćdziesięciu centymetrów. Simakow odcepiał od pasa odległościowy analizator.

- Załedwie quasi-skupienie szlachetnych gazów. Chyba nie ma sensu omijać tej kałuży, co? A strach...

- Co strach?

- Wchodzić. Kiedy człowiek pomyśli o temperaturze tej mieszanki...

- Przecież ona jest wszędzie jednakowa.

- Wiem.

Simakow ruszył pierwszy. Igonin widział, jak ciecz bez plusku zamknęła się powyżej kolan Simakowa, jak drgnęły gwiazdy, rozeszły się kręgi, jak te kręgi zamarły. Usłyszał krzyk kolegi, któremu towarzyszył niezdarny gest. Rzucił się przed siebie, jakby chcąc uprzedzić podejrzenia. Tak jak przypuszczał, płyn, zamiast roztopić się pod podeszwą buta, otoczył nogę jak kamienna płyta.

- Ona mnie pochwyciła! - krzyknął Simakow wykręcając się całym ciałem.

- Przecież to metastabilna ciecz! - wykrzyknął Igonin. Stój spokojnie, oswobodzę cię...

Wezwanie było zbyteczne. Obaj wiedzieli doskonale, że stan metastabilizacji charakteryzuje się tym, że substancja jest płynna w temperaturze znacznie niższej od progu

krystalizacji, ale wystarczy pyłek, dotknięcie, aby błyskawicznie zastygła. Wyciągnął nóż termiczny. Simakow już nie próbował się uwolnić; patrzył tylko na swoje skute lodem nogi, które przerażały go swą bezbronnością. Przerazały go nie te pałukowate prześwitujące przez lód metaliczne nogi, ale te, które się w nich kryły, te gołe, z krwi i kości. Strach ma swoje prawa i swoją sferę rzeczywistości. Igonin zaczął działać, gdy tylko zrozumiał przyczyny wypadku, i pracował z realnym poczuciem rzeczywistości, i która niczym - według niego - Simakowowi nie groziła, a wymagała jedynie wykonania szeregu czynności wydobycia narzędzia, wycięcia lodu i uwolnienia towarzysza. Stan Simakowa był krańcowo różny. On został niespodziewanie schwyty, i to schwyty przez coś, co już od dawna napawało go strachem.

- Dlaczego nie wyciągasz swojego noża?! - krzyknął do niego Igonin.

Simakow jakby się ocknął, gdyż razem z kolegą zaczął ciąć lód.

- No i jakie było to zejście do "mogiły Wszechświata"? zapytał Igonin, kiedy Simakow uwolnił się wreszcie i zrobił pierwszy krok na sztywnych nogach.

- Dobra, dobra, nie patrz jak zaszczute zwierzę. Mamy mało czasu, ruszajmy - dodał i odwrócił się pogwizdując. Mgła, która podniosła się w czasie cięcia lodu, była tak gęsta, że kiedy Igonin wydostał się z niej, z tyłu za sobą zauważył jedynie słabo tłący się ognik reflektora. Kołysał się on to znikając, to znów urastając do rozmiarów ognistego oka.

- Nie możesz szybciej? - rzucił i długo czekał na odpowiedź, której nie było. Oczko reflektora zamarło i nie poruszyło się więcej. Oszołomiony patrzył jeszcze nie wierząc w nieszczęście, ale już czując, że bardziej obawia się tego bezruchu aniżeli milczenia przyjaciela.

- Simakow!!!

Od krzyku zadzwoniło mu w uszach. Potem nastąpiła cisza, długa, mogąca przyprawić o szaleństwo, w której słabo zabrzmiało jedno jedyne słowo:

- Zamarzam...

W głosie tym, który raczej odgadywało się, niż słyszało, nie było ani strachu, ani walki, tylko pokora. Poderwał się z całych sił, mgła zakołysała się i wprost przed sobą zobaczył czarny posąg o białej twarzy, z oczami, które były martwe i szklane.

Dziko rozejrzał się dookoła, jakby gdzieś w pobliżu mogła się znajdować pomoc. Nad kopułą mgły stygły rzadkie gwiazdy, zaś z tyłu za nim leżała czarna równina, którą na moment rozjaśnił chaotycznie miotający się promień latarki. Za późno! Simakow był już tak samo nieruchomy i niemy jak wszystko to, co go otaczało.

... Wnosząc ciało Simakowa do kabiny skydra Igonin nie widział ani pomagającego mu pilota, ani lekarza, który na widok Simakowa wydał okrzyk zdziwienia. On w myślach widział siebie na miejscu towarzysza po kolana zakutego w lód; mógł wtedy przewidzieć, ale nie przewidział, że właśnie przy takim ucisku może się ujawnić ukryty defekt skafandra, wbrew obliczeniom, wbrew doświadczeniu, wbrew temu wszystkiemu, co wiedzieli o jego niezawodności. Oprzytomniał dopiero wtedy, kiedy wszedł lekarz, który zamierzał rozpiąć skafander Simakowa.

- Ostrożnie! Ciepło, jeśli on nie całkiem zamarzł..

- Nie. rozwinie pan? Szyba hełmu nie jest zaporowana. Szybkim ruchem obnażył pierś Simakowa i przyłożył do niej kardioskop. Igonin aż się zatoczył: głośne, wypełniające całą kabinę uderzenie serca eksplozją odezwało się w jego świadomości.

- Przekonał się pan? - lekarz podniósł głowę. Skafander wytrzymał, nie wytrzymał człowiek. Strach przed uduszeniem, strach przed zamkniętą przestrzenią - to teraz nowy podarunek dla medycyny: kosmochłodofobia. Przyczyną omdlenia nie jest sam chłód; lecz lodowata myśl o nim, rozumie pan?

- Ale jakże to tak?! W kosmosie, w przestrzeni, chłód jest tak samo straszny, a przecież nikt nigdy...

- W kosmosie nie ma on oblicza - odpowiedział lekarz przygotowując strzykawkę - może-właśnie dlatego?

## Czy istnieje człowiek?

Bierzecie państwo najzwyczajniejszy drut, wsuwacie go pomiędzy bieguny magnesu i bez żadnych cudów otrzymujecie elektryczność. Składacie rozmaite cewki, oporniki, tranzystory i cały ten chłam, odchrząknąwszy, nagle informuje was o przebiegu kampanii siewnej, albo o opadach w ciągu najbliższej doby. W czasie pełni księżyca włączacie obok spektrometru mas generator wysokich częstotliwości i...

Przed Sanią, przewracając taboret; pojawił się diabeł: Jego oczy płonęły gniewem, rozdwojony koniec ogona kołysał się ze świstem, a lewe kopyto nerwowo stukalo o pokrytą kafelkami podłogę.

- B~b-bydlę! - telepatycznie oznajmił diabeł.

Sania osłupiał nieco i chcąc sprawdzić stan swego umysłu spróbował przypomnieć sobie przekształcenie Lorentza. Udało mu się, ale diabeł nie zniknął.

- Co? - z zakłopotaniem zapytał Sania.

- Bydle - z jakby mniejszą pewnością siebie powtórzył diabeł.

- Założmy, że wymyślać to i ja potrafię - cofając się za taboret ostrożnie zaprotestował Sania. - Co pana tu sprowadza?

- Dusza...

- Bzdura - szybko odpad Bania. - Żadnej duszy nie ma.

- Cooo? - diabeł aż się zachłysnął z oburzenia. - Duszy... nie ma?

- Oczywiście.

- Cóż za bezczelność! Cóż za niesłychana obłuda... Oczywiście, że nie ma! Ale inni choć udawali, że jest!

- Nie odpowiadam za średniowiecze. Diabeł zrobił się liliowy i napęczniał jak bańka mydlana. Zapachniało czymś nie z tej ziemi. Sania na wszelki wypadek schwycił ze stołu solidny tom

- Biblia? - zapytał podejrzliwie diabeł.

- "Wprowadzenie do mechaniki subkwantowej"! A bo co?

- I działa?

- Jeszcze jaki Nie gorzej niż cegła.

- Jak pan sobie życzy, ale kara będzie niechybna. Siły piekielne...

- Bardzo proszę, tylko bez demagogii. Lepiej wyjaśnijmy sobie wszystko: Czego pan ode mnie chce?

- Ja? To pan chce!

- Oczywiście, oczywiście. Wdarł się tu pan nieproszony, zaprzepścił doświadczenie, wymyśla pan - i to wszystko jest mi, w rzeczy samej, niezbędnie potrzebne.

- Ale przecież pan mnie porwał!

- Przepraszam, pan sam się tu zjawił.

- Ach, więc to takt Sam się zjawiłem... Najgorszemu wrogowi bym nie życzył tak się zjawić. Hipokryci przekłęci. A ja, dureń, nie wierzyłem. - Przykrył pysk szponiastą łapą i ciągnął dalej, kołysząc się w tył i w przód. Uważałem to za ciemnotę, przesad, którym się straszy dzieci... Wpaść w człowiecze łapy! Nie sen, nie mara, nie wymysł - oto i on, wróg rodu diabelskiego...

Na kafelki upadła i zapłonila ognista łąza.

Sańce okulary powędrowały na czoło.

- Nie zjawił się pan tu w celu nawiązania kontaktu?! palnął ni w pięć ni w dziewięć.

- Jestem diabłem - odparł diabeł pochlipując. - Pańskim, niech pan będzie przeklętym więźniem.

Sania drżącą ręką dotknął swoją głowę. Okazało się, że głowa jest na swoim miejscu.

- Proszę posłuchać... e... mister diabeł! To jakieś nieporozumienie... To pan jest przesądem! To wami straszono dzieci! To pana uważano za wroga rodzaju ludzkiego!

- Tak jestem waszym grogiem. - Diabeł niespodziewanie wyprostował się i z jego oczu strzeliła błyskawica. - Teraz i po wieki wieków.

- Oj - rzekł Sania. - Proszę tu nie udawać butelki lejdejskiej. Zastanówmy się spokojnie. O ile dobrze zrozumiałem, wy diabły, uważacie, że my ludzie porywamy was... Skąd, jeśli wolno spytać?

- Z piekła. Z naszej miłej, przytulnej planety, która...

- Wspaniale! Sam fakt pańskiego pojawienia się tutaj świadczy, że w tych bałamuctwach jest racjonalne jądro. Proszę powiedzieć, czy wy nigdy nie porywaliście ludzi?

- Nigdy. Jesteśmy pokojowo...

- Dobrze, dobrze. Zarysowuje się robocza hipoteza. Przepraszam, kim pan jest z zawodu?

- Księgowym.

- N-no tak, to może utrudnić porozumienie... Mimo wszystko spróbujemy. Hipoteza brzmi jak następuje. Z pańskiej planety na naszą możliwe jest przejście nadprzestrzenne, inaczej mówiąc, transgresja. Na Ziemi, w dawnych czasach, komuś również udawało się przeprowadzić operację przeniesienia diabłów, która w naszym pojęciu sprawiała wrażenie zbrodniczego występku Oczywiście ludzie uważali was za siłę nieczystą i natychmiast

zaczynali sprzedawać swoje dusze za garnki złota, tytuły i temu podobne bzdury. Tak to wyglądało?

- To wasza interpretacja - ostrożnie odparł diabeł. Gwałt, niewola i na dodatek oszustwo - tacy są ludzie. - Ale przecież żadnej nieśmiertelności, oczywiście, nie mogliście zapewnić...

- Oczywiście, że nie!

- I złota również.

- A to, dlaczego? Nasza ślina posiada własności katalizujące...

- Aaa! To wiele wyjaśnia, No i co pan sądzi o mojej hipotezie?

- Żalosna próba samousprawiedliwienia - burknął diabeł. - Albo, co gorsza, kolejne pastwienie się...

- Proszę posłuchać, jest pan przecież inteligentnym diabłem! Jeżeli nie podoba się panu moja hipoteza; proszę przedstawić swoją. Czy też woli się pan stoczyć w bagno mistyki?

- Chcę wrócić do domu.

- No to wszystkiego najlepszego! Proszę bardzo! Choć w tej chwili!

- Co? Nie zażąda pań ode mnie podpisanego krwią cyrografu, który odda mnie panu w poddaństwo, albo złota, albo tytułu barona?

- Jeszcze czego! Szkoda, że nie udała się nam, rozmowa. Zaprzepaszczone taka możliwość! No cóż, nauka poczeka. Zaraz wykatapultuję pana z powrotem.

- Bez żadnych warunków?!

- Hm, gdyby zechciał pan zatrzymać się jeszcze chwile, byłbym panu niezmiernie wdzięczny.

- Aha! Więc jednak przysługa...

- Co też pan! Po prostu zdołałbym przygotować jakąś aparaturę. Zarejestrowanie choćby parametrów pańskiego przejścia do piekła byłoby bardzo interesujące. Przecież sam pan rozumie, to niezwykle.

Zamyślony diabeł zwinął ogon w pętlę Niobiusa.

- Zdaje się, że chciał pan wiedzieć, co o tym wszystkim sądzę - rzekł po chwili.

- Tak, byłoby ciekawie porównać punkty widzenia, nie rozumiem, gdzie przepadł tester!

- Proszę wybaczyć, zdaje się, że na nim usiadłem...

- Rzeczywiście! Dziękuję bardzo. Co więc chciał pan powiedzieć?

- Niezbyt dobrze orientuję się w fizyce, ale z moralnego punktu widzenia...

- Tak, tak, słucham pana - powiedział Sania wyciągając z wysiłkiem spod stołu przenośny psychotensometr.

- Nas, ofiary, przedstawiacie jako pomiot piekielny. Można to wyjaśnić tylko w jeden sposób - przenieśliście na nas swoje najgorsze cechy, żeby usprawiedliwić swoje własne akty gwałtu i barbarzyństwa.

- Sądzę, że ma pan rację - z roztargnieniem odpad Sania rozglądając się w koło. - Magnetometr, teraz dobrze by było magnetometr...

- Zgadza się więc pad z moją oceną? Może jeszcze pan przeprosi?

- To przecież zrozumiałe. Słowo honoru, że nie chciałem! Gotów jestem zrekompensować czym tylko mogę. - No proszę. A jeżeli wezmę pana za słowo i zażądam zgody na przeniesienie się wraz ze mną do piekła?

- Z przyjemnością. Jak widzę mieszkają tam zupełnie rozsądne diabły. Przepraszam! Przecież miałem wrażenie, że mówił pan jakoby diabły nigdy...

- Założmy, że nauczyliśmy się. Założmy, że wystarczy, bym wysłał telepatycznie, a pana również... jak się to nazywało... transgresują.

- Ale to przecież wspaniałe! przyznam się - oznajmia Sania konfidencjonalnym szeptem - że transgresowałem pana przypadkowo. Czysta, wstyd powiedzieć, empiria... No, ale to nic - dodał wesoło - teraz porównamy metodyki, zestawimy teorie i wszystko ruszy!

Diabeł nic nie odpowiedział. Jego oczy już od dawna nie płonęły. Ogon spokojnie leżał na ramieniu, a jego rozdwojony koniuszek. pełnym zamyślenia gestem drapał go w policzek.

- To dziwne - powiedział wreszcie. - Mam wrażenie, że jest pan nie człowiekiem, lecz moim starym znajomym, magistrem nauk okultystyczno-fizycznych. Ten sam sposób bycia... Nie, nie mogę uwierzyć! Tyle było legend o ludzkiej perfidii...

- No, no; niech pan nie przenosi na nas swoich najgorszych cech. My również mamy sporo legend i zwalczanie przesądów, sam pan rozumie, to szlachetny cel: A więc, jestem gotów! Co prawda, terminal trochę nawala, ale mam wrażenie, że wytrzyma.

Sania poprawił okulary i przyglądał włosy. Diabeł z jakiegoś powodu odwrócił wzrok. W zapadłej nagle chwili niezręcznego milczenia, ze źle zakręconego kranu do umywalki spadła z trzaskiem kropla wody.

Diabeł z irytacją zerknął w bok i jednym ruchem ogona dokręcił kran.

- Muszę Pana przeprosić - oznajmił urywanym głosem. - Nie potrafimy przenosić ludzi do piekła, jeszcze się nie nauczyliśmy.

Sania achnął.

- Po co więc...

- Ech, młody człowieku, młody człowieku... Duszę, czy to co ją tam zastępuje, również należy wypróbować. Gdyby pan wiedział, jakiego niebezpieczeństwa pan uniknął, jeszcze by mi pan podziękował!

- Co? Proszę pana, czyżby te bajedy o kotłach piekielnych...

- Czort z nimi! - Koniuszki rozdwojonego ogona machnęły jednocześnie - Teraz, dzięki Belzebubowi, nie żyjemy w ciemnym średniowieczu, za kogo nas pan uważa? Obecnie - diabeł przyciszył głos - należy się obawiać naukowych uprzedzeń i pośpiechu. Przecież problem transgresji, jak mi to wyjaśnił mój przyjaciel fizyk, rzeczywiście jest bliski rozwiązania: I proszę sobie wyobrazić diabły przekonują się o prawdziwości mitów i... Któż może zaręczyć, że pamięć minionych krzywd nie wywoła nowego zła? Niestety, uczucia tak często biorą górę nad rozumem!

- Słusznie - przytaknął ze smutkiem Sania: - Okazuje się więc - jego oczy rozbłyły - okazuje się więc, że spotkaliśmy się w samą porę!

- I ja tak sądzę! - Diabeł rozpromienił się. - Nie, nie; nie chce mówić, nic złego o naszych doskonale wykształconych młodych naukowcach, ale zbytnia popędliwość, niedostatek doświadczenia życiowego swego rodzaju, wie pan, pewność siebie... Czy mamy wystarczająco dużo czasu, by przeprowadzić rzeczową i już, mam nadzieję, przyjacielską rozmowę?

Sania podskoczył do okna, a następnie spojrzął na przybory.

- Tak! Księżyc w odpowiedniej fazie, przyrządy działają normalnie, do kurów... Chociaż, co tu mają do rzeczy kury? Przeleż nawet ich nie ma w mieście. Proszę pana, mamy mnóstwo czasu!

- Ach to wspaniale! - Diabeł zatarł łapy i wygodnie skrzyżował kopyta, - Spokojna wymiana informacji, przyjacielska rozmowa po północy z inteligentnym człowiekiem, nawiązany wreszcie kontakt braci w rozumie cóż może być lepszego?!

- Otóż to! - z zapalem podchwycił Sania. - Oczywiście, nie jesteśmy aniołami...

- Kchrr! - Diabeł wykrzywił się boleśnie.

- Co się z panem dzieje?!

- Nie. To nic, to nic... Przyjacielu; niech pan nie wzywa aniołów nadaremnie!

- A więc to tak... - wyszeptał Sania. - Okazuje się, że anioły również...

- Oczywiście - diabeł wzdrygnął się. - Niech pan posłucha, czy nie znalazłoby się u pana czegoś... hmm... na rozgrzewkę?

Jego ogon mimowolnie skręcił się w korkociąg



- Nie ma sprawy! - Sania podskoczył do półki. - Dla pana, przypuszczam, siarkowy skoncentrowany?

- Proszę wybaczyć - uśmiechnął się diabeł - to już trochę przestarzałe. Gdyby miał pan fluorowy...

Fluorowy udało się znaleźć bez trudu. Diabeł (Sania wzdrygnął się) jednym haustem opróżnił tygielek i odzyskał równowagę ducha.

- Proszę wybaczyć - powiedział z zakłopotaniem. Nerwy, sam pan rozumie, ale wszystko już w porządku i wreszcie możemy rozpo... Aj!

Ściana nagle wygięła się, pękła jak bańka mydlana i pomiędzy rozmówcami, przewracając ich wraz z taboretami, pojawiła się skrzydlata, śnieżnobiała istota o spojrzeniu, od którego zadymiały kafle.

- Dobry sobie - rzekła istota. - Obdzwoniłam już wszystkie zaświaty, biesy na nogi postawiłam, a ten tu sobie siedzi!

- Ależ, aniele mój... - wyjąkał diabeł. - Rozumiesz, wynikła taka historia...

- A fluorowym od ciebie zajeżdża! - Szponiasty palec przygwoździł diabła.

- Obejrzyj się! - wrzasnął diabeł. - Masz przed sobą człowieka. Tu, na podłodze!

- A choćby i w niebie. Ja, mój drogi, nie jestem aniołkiem, żeby wierzyć w bajeczki.

- Proszę wybaczyć - wymamrotał oszołomiony Sania. - Ja, nawiasem mówiąc, rzeczywiście... eee... istnieję. O, proszę!

Zerwał się, otrzepał i nawet nie wiadomo po co stuknął obcasami.

- No i co? Przekonałaś się? - z tryumfem w głosie zapytał diabeł.

Widzę. Nie jestem ślepa. Zwyczajny hologram, nic szczególnego.

- Cco? - diablówi rozjechały się kopyta, Sania zaś usiadł tam, gdzie stał. - Opamiętaj się. Przecie on jest realny. Żywy! Dotknij go!

- Taak - skrzydła załopotaly złowieszczo. Zniknął, pił fluorowy, a teraz... Myślisz, że skoro nie mam wykształcenia, to we wszystko uwierzę? Mylisz się, mój drogi. Oglądam wszystkie audycje "Niewiarygodne wokół nas" i dobrze wiem, co w przyrodzie jest realne, a czego w niej być nie może.

- Ale przecież to Ziemia! Zrozum, inna cywilizacja, inny ro...

- Niezręcznie wymyślasz, przyjacielu, straciłeś kontakt z nauką. Niedawno doktor Mefistofeles udowodnił matematycznie, że jesteśmy samotni we Wszechświecie! Ale ty! Ignorancja nikomu nie przyniosła nic dobrego, ot co! No co, sam przepadniesz, czy mam ci pomóc?

- Proszę poczekać! - krzyknął Sania.

Było już jednak za późno. Skrzydła machnęły, powietrze zawirowało, strzałki przyrządów oszalały i oboje zniknęli.

Nauka ma wiele tajemnic, nie wiadomo czemu zawirowało w głowie Sani. Nauka ma wiele tajemnic...

Przełożył Sławomir Kędziński

## Dlaczego

Długo myślały maszyny, długo myśleli uczeni. Przez całą planetę Orbi przetaczały się strumienie informacji, dzieliły się, łączyły znów, mieszały, krystalizowały we wzorach, przepalały bezpieczniki obwodów pamięciowych i nie dawały spać naukowcom. Rozstrzygano problem podstawowy: jak można najskuteczniej zawiadomić o swym istnieniu hipotetyczne cywilizacje innych światów?

Aż wreszcie znaleziono odpowiedź.

- Przyjaciele! - rzeki uroczystym głosem przewodniczący Rady Naukowej. - Nadszedł kres wielowiekowych sporów i poszukiwań. Streszczę pokrótce ostateczny wniosek. Nieskończone odległości uniemożliwiają bezpośrednie podróże do dalekich światów. Warianty łączności za pomocą fal radiowych, promieniowania kosmicznego, strumieni neutrinowych i pól grawitacyjnych nie zadowolają z dwóch powodów. Po pierwsze, takimi sygnałami trudno ogarnąć całą galaktykę. Po drugie - i najważniejsze - sygnały takie może odebrać jedynie cywilizacja dysponująca odpowiednimi urządzeniami technicznymi, co już na wstępie zawęży krąg naszych poszukiwań.

Doszliśmy do przekonania, że sygnał powinien od razu rzucać się w oczy i że powinien być adresowany "do wszystkich, do wszystkich, do wszystkich". Tym warunkom odpowiada światło dostrzegalne dla wszystkich rozumnych istot, na wszystkich poziomach ich rozwoju.

Pozostał drobiazg: skonstruowanie odpowiedniego urządzenia sygnalizacyjnego. Zawiadamiam z radością, że takie urządzenie już istnieje. W kierunku najbliższej gwiazdy wystrzelimy niebawem automatyczną stację, która będzie wiecznie krążyć wokół niej, a zainstalowane na jej pokładzie lasery będą zgodnie z ustalonym programem kierować procesami gwiazdnymi. Gwiazda zacznie się na przemian rozjarzać i przygasać, i właśnie te jej pulsacje staną się naszym sygnałem dla mieszkańców Galaktyki. Jedyna pulsująca gwiazda na nocnym nieboskłonie musi przyciągnąć uwagę nawet prymitywnego umysłu; zmusi do zadania sobie pytania: "Dlaczego ona mruga?" I to jest właśnie optymalny wariant sygnalizacji międzygwiazdnej.

Planeta Orbi zatrzęsa się od oklasków.

Była ciepła, pachnąca noc. Szemrały fontanny Wersalu. Piękna kobieta wzniosła rozmarzone oczy ku górze.

- Dlaczego ta gwiazdeczka mruga, tam, w niebie?

Jej kawaler potrząsnął lokami pudrowanej peruki i powiedział z wytworną galanterią:

- To bogowie miłości mrugają do nas, ma cher. Dama zadowolila się tą odpowiedzią.

Była noc, wypełniona rykiem silników. Cichutko pojękiwały szyby w oknach. Referent otarł pot z czoła.

- Reasumuję: natura błysków gwiazd pulsujących tłumaczy się wzajemnym oddziaływaniem grawitacyjnych quasi-fluktuacji z pulsacją kwantów, co jest zgodne z prawem Releya zmniejszania się pulsacji w przestrzeni singularnej.

Referent zszedł z katedry odprowadzany uprzejmymi oklaskami audytorium. Słuchacze zadowolili się jego wyjaśnieniem. Pytania "dlaczego" nie zadawali, gdyż już od dawna wiedzieli, że nie ma sensu zadawać go przyrodzie.

A gwiazdy? Gwiazdy nie słyszały żadnego z tych wyjaśnień i mrugały, każda zgodnie z własnym programem. Teraz było wiele tych pulsujących latarni wszechświata, bowiem każda cywilizacja na określonym szczeblu rozwojowym nieuchronnie znajdowała optymalny wariant sygnalizacji międzygwiazdnej. I nikogo już ta szczególna właściwość nieba nie dziwiła.

przekład: Tadeusz Gosk

### **Dzień w którym zjawila się zyrafa**

Drzwiczki opadły w dół i różowe oczko pieca oporowego spojrzęło na laboratorium. Częsteczki kurzu wpadały do środka, osiadały na rozżarzonych ściankach i krzesęły z nich iskry.

Walentyn chwycił szczypcami porcelanowy tygielek, ostrożnie wsunął go do piecyka i umieścił w podstawie. Śnieżna biel kłaczków wypełniających naczynko wydawała się czymś nienaturalnym pośród jaskrawego blasku rozgrzanego wnętrza komory.

- Ciągłe się bawisz w kucharza?

Wala się odwrócił. Sergiusz, zadbany i elegancki w swoich doskonale wyczyszczonych bucikach i nienagannie zawiązanym krawacie, stał za jego plecami i lekko kołysał się na palcach. Wala mimo woli rzucił okiem na swój fartuch - poprzepalany, z oderwanym guzikiem, sterany w bojach laboratoryjny kitel młodego chemika. I zapragnął, aby Sergiusz jak najprędzej się wyniósł. O ile to możliwe, zanim przyjdzie Swietka.

Mruknął coś pod nosem.

- Potężna aparatura - tym samym ironicznym tonem powiedział Sergiusz gładząc bok piecyka. - Nowoczesna konstrukcja z metalu, szamotowych cegieł i pogrzebacza.

Wala pośpiesznie szcęknął drzwiczkami. Różowe oczko zgasło.

- Właśnie otrzymaliśmy nowy związek, jeśli cię to interesuje.

- Taaak?

Wala zbyt późno się zorientował, że nie warto było o tym wspominać. Sergiusz wyprowadzał go z równowagi swoim stylem bycia, niedbałą pewnością siebie, która w połączeniu z czarującym uśmiechem tworzyła całość tak nieodpartą, że każda próba przywołania złośliwca do porządku wyglądała śmiesznie i nie na miejscu. Wala zdawał sobie z tego sprawę i małodusznie pasował przed tym naporem ironii i samozachwyty od czasu, kiedy Sergiusz przyłapał go na korytarzu i czule zaśpiewał do ucha: *Chemicy to zera, fizycy - pantery*, a w odpowiedzi na wściekłą replikę Wali uniósł tylko w zdumieniu brwi, jakby mówiąc: biedaczysko nie zna się na żartach! Wszyscy świadkowie tego zajścia ryknęli ze śmiechu. Tak, to prawda, że nigdy nie dowiedzie swojej racji ten, kto traci panowanie nad sobą.

- Geniusz! Boyle-Mariott!

Sergiusz chwycił Walę za rękę i wylewnie ją uściskał. Potem poprawił strzałkę krawata i zmrużonymi oczami rozejrzał się po laboratorium. Co prawda, to prawda. Widok nie był imponujący. Pociemniałe szkło węzownic, kiszki gumowych rurek, mętna ciecz

bulgocąca pod wyciągiem, a na stołach chaos i nie wytarte kałuże rozlanych odczynników. No, Swietłanko - obiecał w duchu Wala - dostanie ci się za te brudy!

- To znaczy, stworzyliście nową substancję - powiedział nieśmiało Sergiusz. - Wy, chemicy, jesteście płodni jak króliki. Ludzie mówią, że jeśli teraz dyplomant nie przedstawi komisji egzaminacyjnej jakiegoś nowego związku, to nie traktują go jak człowieka. Prawda to czy głupia gadanina?

- Głupia gadanina.

- Tak też przypuszczałem. A jakież to wybitne wartości niesie wasze odkrycie? - To nie jest odkrycie.

- Nie udawaj skromnisia. Znam takie ciche wody. Siedzi sobie taki, smaży coś cuchnącego, a potem trzask, prask, sensacja w gazetach! Młody, utalentowany uczony Walentyn Moroz otrzymał nowy preparat, którego maleńka drobinka wystarcza do wytrucia wszystkich pluskiew w promieniu stu kilometrów!

Wala aż się skręcił.

- Mógłby kto pomyśleć, że ty sam dokonałeś jakiegoś epokowego wynalazku.

Sergiusz przestał się uśmiechać. Eleganckim ruchem strącił ze stołu strzępy mokrej bibuły filtracyjnej, odsunął palnik gazowy i usiadł założywszy nogę na nogę.

- Nie, mój stary, niczego na razie nie dokonałem. Ni-cze-go!

- Miło słyszeć samokrytykę.

- Ech, Wala, Wala, ja to mówię poważnie. Nie znudziło ci się jeszcze takie życie? Grzebiesz się w tym wszystkim niczym kret, pewnie i ty kiedyś chciałeś być orłem. To zupełnie tak samo, jak baśniowy głupi Jasio, który leżał sobie na piecu (może być elektryczny) i nagle ujrzał cudo cudowne, dziwo przedziwne...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic szczególnego. Po prostu dławi mnie szara rzeczywistość, więc chciałem przed kimś duszę otworzyć.

- No i jak, pomogło?

- Czy przed tobą można się uzalić? Ty jesteś pracowita pszczołka. Zagrzebałeś się w mokrej bibule i bzykasz. A gdy ktoś zechce cię spod tej bibuły wyciągnąć, od razu uządlisz. Wiesz, kto ty jesteś? Sztynniak! Typowy sztywniak!

- Daj ty mi święty spokój!

- Proszę, obraziłeś się! Charakterystyczny objaw wapniactwa. Ty już się nie spodziewasz cudu cudownego, dziwa przedziwnego, prawda?

Wala nie od razu znalazł odpowiedź. Powiedzieć coś serio - wyśmiej. Odwzajemnić się takimi samymi bredniami - będzie jeszcze gorzej: uda taką powagę i rzeczowość, że człowiek sam sobie wyda się kompletnym zerem.

- Wiesz co, Sergiusz? Najwidoczniej nie masz nic do roboty.

- Święta prawda! Właśnie urządzamy się w nowym lokalu. Bezpośrednio nad tobą. Szare komórki mają przestój i dlatego cisną się do nich rozmaite czarne myśli. Takie na przykład: Tyrasz, chłopie, w swoim chemicznym pipidówku, ślęczysz nad probówkami, coś tam otrzymujesz, o czym biuletyn zamieści kilkuwierszową wzmiankę i o czym wszyscy niebawem zapomną. A gdzieś w innych laboratoriach siedzą inne chłopaki i ślęczą nad tym samym. Tak jest? Tak! I wszyscy widzą to samo. Aż wreszcie prędzej czy później któryś z was dokona Odkrycia. Takiego przez duże O. Jeden! A pozostali będą płakać i jęczeć: Ach, my biedni, przecież obserwowaliśmy to samo, jak to się stało? Ogarniasz?

- Lepiej byś się o siebie zatroszczył.

- Nie wierzysz? Nie masz racji. Przyjdzie taka minuta, przyjdzie z pewnością, kiedy objawi ci się cudo cudowne, dziwo przedziwne. A ty, jako że jesteś wapniak, albo przejdiesz obok niego nic nie widząc, albo nie uwierzysz własnym oczom. Jak ten facet, który zobaczywszy w zoo żyrafę powiedział:

„Takie zwierzę nie może istnieć!”

- A ciebie to nie dotyczy? No, oczywiście że nie! Ty jesteś geniuszem. Wszyscy fizycy byli geniuszami jeszcze w kolebce.

- A więc zgadzasz się ze mną?

- Z czym, do diabła, mam się zgadzać?!

- Mój ty Boże! Tłumaczysz jak człowiekowi, tłumaczysz... No więc jeszcze raz od początku. Zsyntetyzowałeś nowy związek. Spodziewasz się po nim czegoś zupełnie niezwykłego?

- Doskonale wiem, że jesteś chemicznym analfabetą. Nie musisz mnie o tym przekonywać. Wiedz jednak, że znamy z grubsza właściwości nowej substancji, zanim jeszcze przystąpimy do jej syntezy. Jasne?

- Nie jestem taki tępy - westchnął Sergiusz. - Oczywiście miałeś piątkę z filozofii?

- Miałem.

- Od razu widać.

Wala nawet przed samym sobą nie chciał się w pełni przyznać, co go w tej rozmowie najbardziej drażniło. Trudno ukryć! Tak samo jak wielu innych wąpił w swoje siły. To

przecież takie powszednie, naturalne i zrozumiałe! Ale po cóż wywlekać to na światło dzienne. I to w dodatku w taki sposób. Gdyby choć Sergiusz sam coś przyzwoitego zrobił.

Wala poczuł, że niedługo wybuchnie.

- Ty oczywiście nie stracisz głowy na widok żyrafy. No tak, oczywiście że nie. Wy, fizycy, wszyscy jesteście teoretykami. Przepowiadacie jej pojawienie się na wiele lat naprzód. A potem dziwicie się, że wygląda inaczej niż powinna.

- Trafiłeś w samo sedno. Wala. Wielki umysł! O to właśnie chodzi, że żyrafa może się okazać zupełnie inna. A propos, gdzie się podziała Swietka?

- Coś od niej chciałeś?

Wala powiedział to i pomyślał z mściwą radością: Tak się kończą wszystkie twoje intelektualne rozmówki!

- Tego samego, co i ty - odpowiedział Sergiusz.

Wala pochylił się do przodu. - Zaraz stąd wylecisz... Bikiniarz, paw, ordynus... Widzicie go, nie lubi sztywniaków!

Trzasnęły drzwi i do laboratorium wpadła Swietka podśpiewując i postukując obcasikami. Sergiusz zeskoczył ze stołu jak zdmuchnięty. Podeszedł do dziewczyny, objął lekko za ramiona i zaczął coś szeptać do ucha. Swietka pokornie zastygła z opuszczoną głową, tylko jej ręce przebierały fałdy sukienki.

- Swieta! - wrzasnął Wala. - Dlaczego nie sprzątnęłaś ze stołów? Czemu nie wytarłaś rozlanych odczynników?! Tu, tu i tu?!

Pokazywał palcem, wrzeszczał i sam brzydził się swojego krzyku, ale nie potrafił się już zatrzymać.

Swietka wyswobodziła się z objęć Sergiusza, skinęła mu głową i dopiero potem spojrzała na Walę.

- Czemu na mnie krzyczysz? Wiesz przecież, że Michał Gierasimowicz wysłał mnie na miasto.

- Swietka, przejdź lepiej do nas - powiedział Sergiusz. - Nie jesteśmy takimi drewnianymi piłami.

Wala ruszył w jego stronę, ale Sergiusz jak gdyby nigdy nic zapytał zaaferowanym głosem:

- Słuchajcie, która godzina?

- Nie wzięłam ze sobą zegarka - powiedziała Swietka. Sergiusz chwycił Walę za rękę, bezceremonialnie odwinął rękaw kitla i popatrzył na tarczę zegarka.



- Antymagnetyczny, wodoszczelny, przeciwwstrząsowy. Bombowy czasomierz. No, a mój staje od jednego kichnięcia. Cześć, zasiedzialem się u was. Na razie!

I zniknął. Swietka wzięła ścierkę i wytarła stoły. Robiła to szybko, zgrabnie, jakby mimochodem. Wala się odwrócił.

- Sergiusz to wietrznik, ale wesoły - powiedziała Swietłana.

Wala poczuł się jeszcze podlej od tego pocieszenia. Wsadził głowę pod wyciąg i zaczął bezsensownie przestawiać kolby, żeby Swietka nie zobaczyła wyrazu jego twarzy.

Ale kiedy się odwrócił, Swietki już nie było. Białe jesienne słońce przedarło się przez chmury i niechętnie oświetliło laboratorium. Mętne iskierki przebiegły po szkle węzownicy rzucając mdły odbłask na ściany.

Próbka musiała się zarzyć jeszcze dziesięć minut, więc na razie nie było nic do roboty. W laboratorium było cicho jak w zaklętym królestwie. Wala poczuł się dziwnie samotny i zagubiony. Zobaczył siebie jakby z boku, smutnego i nieefektownego i wydało mu się, że tak będzie zawsze: monotonne, powolne życie wśród kolb i probówek. I że tak samo równomiernie, bez wstrząsów, wzlotów i upadków będzie się starzał, nabierał doświadczenia, obrastał pracami naukowymi, stopniami i zaszczytami. I że ta jego działalność, choć oczywiście ważna i potrzebna, niekoniecznie musi mu przynieść zadowolenie. Nie wiadomo skąd i dlaczego przyszła do niego ta pewność, ale przyszła, i nie sposób się było od niej uwolnić.

Nagle coś się stało. Pojawił się jakiś obcy dźwięk. Wala się odwrócił.

Masywne cielsko pieca leciutko kołysało się na swojej podstawie. Wala przetarł oczy. Piec unióśł się i zawisł w powietrzu.

Wala uchwycił się krawędzi stołu. Obserwował z bolesnym zdumieniem, jak piec wolno popłynął do góry, jak wtyczka wysunęła się z kontaktu, jak sznur na podobieństwo wahadła zakołysał się w powietrzu. Piec dotknął sufitu i znieruchomiał.

Przeraził się. Pod sufitem, na wysokości czterech metrów, wisiało dobre sto pięćdziesiąt kilogramów, nie opierając się na niczym oprócz powietrza!

Nie wiadomo, po co przesunął stół, potem zaczął szperać po kieszeniach, póki coś tam nie trzasnęło. Przez kilka sekund ze zdziwieniem oglądał odłamki szklanej końcówki płuczki. Co ta końcówka robiła w kieszeni?

I dopiero wtedy zrozumiał całe nieprawdopodobieństwo sytuacji.

Rzucił się do drzwi, potem w kierunku miejsca, gdzie dopiero co stał piec, jakby chciał się przekonać, że go tam rzeczywiście już nie ma, potem znów do drzwi. I wpadł prosto na Swietkę, która właśnie wchodziła do laboratorium.

- Znowu krzyczysz? - spytała dziewczyna.

- Ja? Krzyczę?

- Jeszcze jak! Co się z tobą dzieje?!

Wala chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą wydając nieartykułowane pomruki. Swieta broniła się przerażona.

Potem wykrzyknęła i przysiadła. Ona również to zobaczyła. O dziwo, właśnie jej przestkach przywrócił Wali przytomność.

- Nie bój się. Daj spokój. To drobiazg.

- Boję się.

- Nie trzeba, Swieta, nie ma czego. Biegnij po Michała Gierasimowicza! Tylko cicho.

Dlaczego po profesora należy biec cicho, sam Wala nie miał najmniejszego pojęcia. Swieta jeszcze raz pisnęła i pobiegła, kuląc się jak pod ostrzałem.

Piec nieruchomo wisiał pod sufitem jak przyklejony. Za oknami po dawnemu świeciło zamglone słońce, przez co nieprawdopodobne wydarzenie wydawało się jeszcze bardziej nieprawdopodobne. - Takie rzeczy nie mogą się zdarzyć, nie mogą - szeptał do siebie Wala jak zakłęcie, mając wciąż nadzieję, że to wszystko mu się przywidziało i że za chwilę wszystko wróci na swoje miejsce, jak to bywa we śnie.

Ale wszystko i tak było na swoich miejscach. Wszystko... Oprócz elektrycznego pieca i oprócz jego, Wali, rozpędzonych myśli.

Wszedł Michał Gierasimowicz wyjmując w biegu okulary z górnej kieszeni marynarki, jak to zawsze robił w chwilach zdenerwowania. Wyglądał jak nauczyciel, który wchodzi do klasy wiedząc z góry, że czeka go jakiś nowy psikus. Zza jego ramienia wyglądała Swietka.

- Tak - powiedział profesor. - Co się tu u was wydarzyło, Walentynie Zacharowiczu?

Wala bez słowa pokazał na sufit.

- Co? Kto panu pozwolił... I zamilkł.

- On sam - pisnęła Swieta.

Okulary w rękach profesora podskoczyły jak żywe. Doskonale odprasowany garnitur jakoś od razu obwisł, jakby z Michała Gierasimowicza wypuszczono powietrze.

- Proszę mi wyjaśnić, jak to się stało - wyszeptał prawie błagalnym tonem.

- On sam... Włożyłem do środka tygielek z naszym NK i nic więcej. No i uniósł się.

- Dokładny czas początku zjawiska? Szybkość wznoszenia? Czas wznoszenia?

- Nie wiem. Straciłem głowę.

Michał Gierasimowicz popatrzył na Walę, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

- Niech pan postawi krzesło na stole! - zakomenderował. - A, już stoi. - Trzeba opuścić piec na dół. Nie, nie gołymi rękami! Niech pan poszuka dynamometru, zaczepi. Czy pan nie wie, co to jest dynamometr? Nie, już za późno.

Głos profesora znów opadł do szeptu, gdyż piec ni z tego, ni z owego oderwał się od sufitu i zaczął płynnie opuszczać się w dół.

- Stoper!!! - ryknął profesor.

Wala usłuchał jak automat. Wskazówka sekundnika gorączkowo przeskakiwała podziałki, ale Wala nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, ile wskazywała na początku.

- Łap go! Niech to diabli!

Piec wisiał już nad samą podstawą. Wala chwycił go za krawędź i ustawił na dawnym miejscu. Wówczas usłyszał przerywany oddech i nie od razu się domyślił, że to jest oddech profesora.

- Co to było, Michale Gierasimowiczu? - zaszcebiotała Swietka.

- To? No, oczywiście... Z jednej strony... Spokojnie, koledzy, nikomu na razie...

I jakby szukając poparcia obrócił się ku Wali.

- Mogą wyśmiać... Albo nie? Jak pan myśli? Ale Wala nie potrafił myśleć o czymkolwiek.

- Tak więc - profesor niepewnym ruchem chwycił zasuwkę drzwiczek piecyka. - Twierdzi pan, że tam niczego niezwykłego nie ma?

- Tylko NK. Ten nowy związek...

- Aha! Ale to przecież niemożliwe! Ogólnie rzecz biorąc antygravitacja. Brednie! A jednak trzeba popatrzeć... Tak. Gdzie się podziały moje okulary?

Drzwiczki piecyka opadły w dół. Tym razem na laboratorium spojrzęło czarne oczko. Ścianki zdążyły ostygnąć i cząsteczki kurzu już się na nich nie iskrzyły.

- Co mi pan tu głowę zawraca?! Tu nie ma żadnego tygla! Twarz profesora spurpurowiała ze złości. Wala z bijącym sercem również zajrzał do wnętrza komory. Tygla w uchwycie nie było.

- Jest - głucho powiedział Wala.

Naczyńko wisiało pod sklepieniem pieca. Przykleiło się do niego zupełnie tak samo, jak poprzednio piec przykleił się do sufitu laboratorium.

Profesor popatrzył na Święte i Walę, jakby zwątpił również i w ich realność.

- Aaa... jak zachowywał się NK przy poprzednich wyżarzaniach? - zdecydował się w końcu zapytać.

- Zwyczajnie. A jak się miał zachowywać?

- Sam wiem, że nie mógł się inaczej zachowywać! No dobrze. Zobaczymy. Proszę wydobyć tygielek. Tylko ostrożnie, ostrożnie...

Wala uchwycił naczynko szczypcami i łatwo oderwał je od sklepienia, ze zdumieniem czując jego całkowitą nieważkość. Ręka mu drgnęła. Platynowe końcówki szczypiąc ześliznęły się i...

- Ach!

Tygielek nie upadł, lecz płynnie, jakby w zadumie zawiść w powietrzu, a potem zaczął się powoli wznosić.

- Trzymaj! - krzyknął profesor.

Wala złapał tygielek, sparzył się o jego jeszcze gorącą powierzchnię, ale prawie nie poczuł bólu.

- Szczypcami trzeba! Kto pana uczył?!

Profesor zręcznie przechwycił tygielek szczypcami. Na jego dnie nie było już białych kłaczków, które spiekły się w niepozorną brunatną masę.

- Najzwyklejszy w świecie NK - speszył się profesor.

- Tak - powiedział Wala.

- Potworne. No, zobaczymy. - Z powrotem wsunął tygielek do pieca i osłabił uchwyt szczypiec. Tym razem naczynko nie uniosło się pod sklepieni, tylko po prostu zawisło w powietrzu.

- Jak balonik - powiedziała Swietka.

- Proszę sfotografować zjawisko - profesor odzyskiwał równowagę ducha. - A ja tymczasem pójdę po Iwana Władysławowicza i Arkadiusza Stiepanowicza. I niech pan nie pozwoli piecykowi ostygnąć!

Szybko poszedł w kierunku drzwi, niezręcznie zaczepiając o krawędzie stołów.

- Diabli nadali... - mamrotał pod nosem i nie wiadomo, czy odnosiło się to do przeklętego NK, czy też do mebli przewrotnie wchodzących w drogę.

Trzasnęły drzwi.

Wala usiadł. Był nieprawdopodobnie zmęczony. Sparzone palce coraz silniej bolały. I nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Absolutnie nic! W głowie miał kłębek waty. „Żeby przynajmniej Michał Gierasimowicz jak najszybciej wrócił...” - pomyślał smętnie. Miał nadzieję, że gdy tylko profesor przyprowdzi Iwana Władysławowicza i Arkadiusza Stiepanowicza, wszystko stanie się proste i jasne.

Piec obojętnie patrzył na niego swoim czarnym oczkiem. Wala przypomniał sobie polecenie profesora, zmusił się do wstania, zasunął drzwiczki i włączył ogrzewanie.

I natychmiast o mało nie zemdleł z przerażenia. A co, jeśli tego nie wolno robić? Wyłączyć? Może to jeszcze gorzej? Zepsuję wszystko! pomyślał w panice.

Ale w laboratorium, co tam laboratorium! Na całym świecie nie było nikogo, kto by rozproszył jego obawy lub chociażby pocieszył. W ostatecznej rozpaczy gotów był już prosić o radę Swietkę, której twarzyczka nie wyrażała niczego poza ciekawością. Żeby tylko ktoś wziął na siebie część odpowiedzialności...

I właśnie wtedy usłyszał znajomy głos dochodzący z korytarza. Wala się poderwał. Sierożka! Jak to dobrze, że on jest fizykiem.

- Sierożka! - zawołał. - Sierożka!

Sergiusz wpadł natychmiast, jakby tylko czekał na zaproszenie.

- No i co powiecie, alchemicy? - jego głos skrzył się filuternością. - Twarzyczki jakieś smętnawe. Piecyk fruwał, co? To drobiazg. W pewnej redakcji widziałem artykuł, oczywiście go nie wydrukowali, opisujący fakt wzlotu trumny w grobowcu rodzinnym autora.

- Więc ci już opowiedziano?

- Hm! Nie, braciszku, nikt mi niczego nie opowiadał. Nie wytrzeszczaj tak oczu, bo ci wyskoczą. Czyżbyście się niczego nie domyślili? No wiecie... Cha, cha, cha!

Roześmiał się głośno i im bardziej zdumionym wzrokiem patrzyli na niego Wala i Swietka, tym lepiej się bawił. W zachwycie klepał się po udach, pokazywał na nich palcem, zataczał się i śmiał, śmiał się szczerze i do łez.

- Ale przecież... Ten piecyk... - śmiech przeszkadzał mu mówić. - Przecież to ja go uniosłem! Ze swego laboratorium! Elektromagnesem. Cha, cha! Myślicie, że bez powodu zaczynałem tamtą rozmowę?

Odpowiedzią było milczenie, takie wyraziste milczenie, że Sergiusz natychmiast przestał się śmiać.

- Czyżbym rozbił wam jakąś butelkę? Zechciejcie mi wybaczyć! Błąd w sztuce. Naprawdę nie chciałem, sprawdziłem nawet zegarek, aby go nie uszkodzić. Ale pięknie wyglądała ta „żyrafa”, co?! Przyznajcie się! Co tak na mnie patrzycie?!

Sergiusz coraz bardziej się peszył. Nie rozumiał, co się dzieje. Jego słowa nie znajdowały oddźwięku u tych dwojga, a właściwie znajdowały, ale nie taki, jakiego oczekiwał. Przyglądali mu się z bliska, uważnie, z dziwnym wyrazem w oczach.

Potem Wala kiwnął na niego palcem.

- Podejdz. Bliżej, bliżej.

Sergiusz zmieszał się. Pokornie, jak zahipnotyzowany ich wzrokiem, posunął się do przodu. Ostatni krok wyrażał całkowitą rozterkę.

- No, co wy... No, żartowałem...

- Chwyć z łaski swojej za tę rączkę - powiedział czule Wala. - Nie bój się, nie bój. Teraz zajrzyj do piecyka.

I Wala zobaczył, jak Sergiusz odskoczył od czarnego oka pieca oporowego: w jego głębi wciąż jeszcze unosił się porcelanowy tygielek.

## Marsjański przybój

Cisza, najmniejszego powiewu, a potem - szmer. Tak zaczyna się marsjański przybój. Można godzinami siedzieć u podnóża czerwonych skał, wpatrywać się w bezkresne piaski i słuchać, słuchać. Szelest jest wszędzie i nigdzie. Tak jakby z fioletowego nieba lodowymi grudkami osypywał się półprzezroczysty szron obłoków. Szklany szmer - bardzo trafna nazwa.

Kiedy szmer milknie, po piasku przebiega drżenie. Ciężko, powoli powstaje fala. Wpełza na suche głązy, zakrywa je i bez pośpiechu zatapia. Wtedy głązy przebijają piasek od dołu. Wrażenie jest takie, jak gdyby falę przeżuwała szczerbata szczeka. Z płaskich kamieni leniwie spelzają struzki piasku. I znowu wznosi się fala.

A dookoła - bezruch. W oddali spokojny piasek i czerwone skały, niewzruszone jak wieczność. Tylko tutaj, tylko w tej zatoce, tylko u samego brzegu toczy się marsjański przybój.

Znaczy to, że gdzieś daleko, w przestworzach piaskowych oceanów rozszalała się taka burza, że jej porywy wstrząsają sypkim podłożem jak trzęsienie ziemi. I właśnie tutaj, w zatoce, kolebania zbiegają się w rezonansie, przybrzeżna mikrostruktura zmienia się, piasek nabiera płynności. Prawdopodobnie tak to właśnie wygląda, nikt wszakże nie zna bliższych szczegółów i nie kwapi się ich poznać - na Marsie, jak na razie, zbyt wiele jest spraw niecierpiących zwłoki.

Staram się nie opuścić ani jednego przyboju. Siedzę, patrzę, słucham i myślę. Bardzo dobrze myśli mi się, gdy jestem sam ma sam z owym niepowtarzalnym zjawiskiem. Zaciera się poczucie czasu, znikają granice przestrzeni, nie czuję nawet własnego ciała, jestem tylko ja i przybój, i nic więcej.

Teraz brzeg jest pusty. Ale dawniej było tu ludno. Pamiętam owo zaskoczenie ziemskich radiotelegrafistów, gdy poprosiliśmy ich o przysłanie kąpielówek. Ba, znalazł się nawet żartowniś, który nie mógł się wprost doczekać chwili, kiedy naciągnie kąpielówki na skafander, żeby móc zanurzyć się w przyboju. Nowicjusze przylatywali tu kąpać się, aby mieć o czym poopowiadać potem na Ziemi; starych mieszkańców ciągnęła tu tęsknota za wodą - prawdziwą wodą, prawdziwym przybojem, prawdziwym morzem. Nikt nie mógł oprzeć się pokusie.

Owym żartowniszem był oczywiście Wanin. Nie dlatego, że w ogóle z natury był pomysłowy - raczej odwrotnie. Lecz jakże skomplikowane, sprzeczne i nieoczekiwane są nasze postęпки, gdy kierują nimi uczucia! Dotyczy to zwłaszcza takich zamkniętych w sobie

natur jak Wanin. I jakże dziwnie, a nawet dziwacznie wygląda to wszystko w obliczu marsjańskiego przyboju...

Wypadek z Waninem wstrząsnął wtedy wszystkimi swą pozorną bezsensownością. Dziś historia ta obrosła już legendą, w której tragizm splata się z komizmem, odwaga z lekkomyślnością. Lecz jakże to wszystko jest dalekie od prawdy. A my - z naszymi raketami, sztucznym białkiem i energią jądrową - jakimież wciąż jeszcze okazujemy się dziećmi, gdy usiłujemy się domyślać i przewidywać postęпки człowieka. Pamiętam nasz pierwszy rekonesans na Marsie. Nie mogliśmy niczego ryzykować, nie mieliśmy prawa ryzykować - każde niepowodzenie byłoby dla nas ogromnym krokiem do tyłu. Mieliśmy przed sobą nieznaną planetę, na której wszystko mogło się zdarzyć i niczego nie sposób było naprzód przewidzieć. Dlatego też całe nasze postępowanie było z góry ściśle określone. Żadnego przypadkowego kroku, zawsze i wszędzie asekuracja. Program ostrożności! Przestrzegaliśmy go bezwzględnie. Stąd też na serio dyskutowaliśmy o tym, czy gdy pierwszy z nas będzie miał zstąpić na Marsa, to czy obwiązywać go linką, czy nie? Co prawda, skoro podłoże wytrzymało statek, to utrzyma i człowieka. Mimo to jednak może nagle... Może coś się stać... To nie Ziemia, tylko Mars.

Zachowywaliśmy maksymalną ostrożność i właśnie to pozwoliło nam uniknąć przeróżnych dodatkowych przykrości, które i tak spotykały nas w nadmiarze. Ekipa liczyła sześć osób. A wśród sześciu osób zawsze ktoś okazuje się tchórzem. Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa, bynajmniej. Po prostu zawsze ktoś jest bardziej ostrożny niż reszta. Bardziej niezdecydowany. Bardziej niepewny. Ani warunki, ani liczba osób nie mają tutaj najmniejszego znaczenia. Kiedy przechodziecie przez ruchliwą ulicę we dwójkę, poobserwujcie siebie i swojego towarzysza - nieodmiennie któryś z was okaże się „bardziej”... I nieważne, że zachowania tej osoby w żadnym wypadku nie można nazwać tchórzostwem. W zwykłym rozumieniu tego słowa.

Nasz Wanin także nie był tchórzem w zwykłym znaczeniu tego słowa. Skądże znowu! Na Ziemi, w normalnych warunkach, okazywał się bardziej śmiały niż większość ludzi. Lecz na Marsie...

Jego zachowanie formalnie było bez zarzutu. Nie rzucał się do ucieczki w obliczu niewiadomego, nie popadał w panikę w trudnej sytuacji. Nigdy jednak nie szedł pierwszy tam, gdzie droga nie była rozpoznana. Zawsze stąpił krok w krok za idącymi na czele. Rozumiecie, co mam na myśli?

I nie mógł się zmusić, aby postępować inaczej. Wiedział o tym, próbował to w sobie zwalczyć - ale nie mógł. Nie podejmuję się wytłumaczyć dlaczego: ludzka psychika to wciąż



jeszcze wielka niewiadoma. Być może spowodowała to - niezwykłość warunków, a może owe nieustanne upominania - „bądźcie ostrożni”, „bądźcie ostrożni”... Czy wiecie, jak trudno jest iść po Marsie na czele grupy?! Co będzie, jeśli nagle rozstąpi się podłoże, albo stanie się coś takiego, co spowoduje, że zginiesz? Takie właśnie idiotyczne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Wszak Mars to nie Ziemia...

Tak... Nikt nie czynił Waninowi wyrzutów, nikt, prócz niego samego. A później i my także zaczęliśmy sobie pokpiwać z tej jego superostrożności. Było to już wtedy, gdy Mars przestał nam się wydawać tajemniczy, gdy przyzwyczailiśmy się i raczej odczuliśmy sercem, niż zrozumieli rozumem, że marsjańska przyroda nie jest bardziej podstępna od ziemskiej, a może nawet odwrotnie. Ostatnim, który to zrozumiał, był Wanin. A nasze żarciki raniły go.

Czy ponosimy za to winę? Gdy oglądam się za siebie, myślę, że jest to oczywiście możliwe. No a tak z ręką na sercu? Jesteśmy ludźmi wesołymi. Bez poczucia humoru nie sposób wyobrazić sobie naszej pracy - człowiek spaliłby się od zbyt silnego napięcia. A żart - potwierdza to całe moje doświadczenie - to jak kłapa bezpieczeństwa. Pośmiejesz się i zaraz robi ci się lżej na sercu.

Przypominam sobie teraz po kolei wszystkie nasze docinki: nie, na pewno nie miały w sobie nic obraźliwego. Kiedy dokładnie w tym samym stylu pokpiwaliśmy z siebie nawzajem, chichotali wszyscy - i „obrażający”, i „obrażany”. Śmiał się także Wanin, kiedy mu się dostawało. Śmiał się bardzo naturalnie, lecz dopiero teraz wiem, że jego śmiech nie płynął prosto z serca... Gdzieś w podświadomości na pewno dźwięczało mu: „tchórz”.

I właśnie w tym okresie, kiedy my pozbyliśmy się już nieśmiałości, a Wanin jeszcze nie, nastąpiło odkrycie marsjańskiego przyboju. A odkrył go - o dziwo - Wanin.

Było to tak.

Zbliżaliśmy się do tych oto czerwonych skał od strony piasków. Szklany szelest poprzedzający przybój słyszalny jest tylko w ich pobliżu, lecz nim podeszliśmy do nich, umilkł, toteż byliśmy zupełnie nie przygotowani na to, co się miało stać.

Wanin, jak to zwykle on, szedł z tyłu, stąpając krok w krok po śladach (zazwyczaj starał się trzymać środka; tak było jeszcze wtedy, gdy poruszaliśmy się tylko gęsiego, teraz jednak szliśmy ciasna gromada i Waninowi chcąc nie chcąc przyszło trzymać się tyłów).

Wydostaliśmy się na brzeg, Waninowi zaś pozostało jeszcze kilka kroków, gdy nagle piasek zakołysał się. Stało się to tak nieoczekiwanie, że Wanin upadł. Chciał się podnieść, lecz nogi utonęły mu w piasku. Zdołał się powstrzymać i nie krzyknął, lecz widzieliśmy, jak twarz mu pobladła. Podczas gdy gorączkowo rozplątywaliśmy linę, gdy rzucaliśmy mu ją, przybój kilka razy zanurzył Wanina w piasek i Wanin zrozumiał, że nie ma w tym nic

straszego. Piasku w obrębie przyboju w żadnym razie nie można nazwać grząskim. Niemal wszędzie da się stanąć i namacać twarde dno. Przyczyna prawdopodobnie leży w tym, że koło skał jest bardzo płytko i piasek w głębi nie może stać się sypki.

Wanin szybko zorientował się, o co tu chodzi (jeszcze jeden dowód, że tchórzem w zwykłym rozumieniu wcale nie był). Nie dał się wyciągnąć, lecz wylazł sam, trzymając się liny ot tak, po prostu na wszelki wypadek.

A kiedy i my zrozumieliśmy, że nic tragicznego w tej sytuacji nie było, nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie niezgrabnych ruchów Wanina i jego zmieszanej fizjonomii. Jak wy byście przyjęli ten śmiech? Prawdopodobnie w końcu sami zaczęlibyście z siebie żartować. Tymczasem Wanin „kurni”. Wydało mu się, że oceniliśmy jego zachowanie jako tchórzliwe. Nie miał ku temu żadnych podstaw, bo każdy z nas - jestem tego pewny - przestraszyłby się, gdyby podłoże nagle zaczęło uciekać mu spod nos. Lecz Wanin - jak już mówiłem - boleśnie przeżywał swoją jak sadził „niepełnowartościowość”. I wtedy na serio poczuł się ciężko obrażony. Uznał, że nasze żarty są w najwyższym stopniu niesprawiedliwe, bo po pierwsze - zachował się dzielnie, a po drugie - przybój to jego odkrycie. Bezspornie jego! (Temu, kto trzyma się środka, zwykle bywa łatwiej, lecz i sukces przychodzi znacznie rzadziej.) Tymczasem spotyka go śmiech.

I Wanin żarliwie zaczął udowadniać to, czego nie można było udowodnić - że wcale, ale to wcale się nie przestraszył, a jeśli nie wstawał to tylko dlatego, że chciał lepiej zbadać zjawisko.

- A poza tym, powiem wam, choć i tak tego nie zrozumiecie, że kąpiel w przyboju jest bardzo miła - oznajmił.

Nie uwierzono mu.

Wówczas Wanin, nim zdołaliśmy go powstrzymać (nikt się tego nie spodziewał!), rzucił się w przybój, legł pod falą, a jego twarz przybrała wyraz najwyższej rozkoszy.

- Młodzieńcze! - wrzasnął kapitan, tupiąc nogą. - Natychmiast z powrotem!

Wylazł, uśmiechając się od ucha do ucha: udowodnił!

Przez chwilę oburzaliśmy się jego postępkami, lecz i nas to zainteresowało. A gdyby tak spróbować?

Z pełną asekuracją, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności dwóch z nas weszło w przybój. I czy uwierzycie - to rzeczywiście było przyjemne! Zdawało się nam, że leżymy nieruchomo, a kołyszą się skały, horyzont i niebo z nielicznymi gwiazdami w zenicie. Miarowe, usypiające kolebania i jednocześnie uczucie powolnego lotu, nie wiadomo gdzie - w górę czy może w dół. Wrażenie jedyne w swoim rodzaju!

A potem nieodmiennie pełźnie ku tobie fala, pogrążasz się, i to wygląda strasznie, zaczynasz się szamotać, aby utrzymać się na powierzchni, walczysz z zapalem, chociaż z góry wiadomo, że nic złego ci się nie stanie.

Aby zrozumieć, co to jest marsjański przybój, trzeba samemu tego doświadczyć. Trudno to opisać, a to z tej prostej przyczyny, że na Ziemi nic podobnego nie ma. Trzeba samemu przeżyć ten lot donikąd, owo powolne pogrążanie się w piasku, żeby poznać magnetyczną siłę przyboju.

Tak więc wraz z tym odkryciem Wanin stał się bohaterem. Nie wystarczała mu jednak nasza wdzięczność. Chciał się jeszcze raz i jeszcze raz upewnić w swej wartości, obalić to, co tak wyolbrzymiła jego wyobraźnia. Na Marsa przybywali wciąż nowi ludzie, zawożono ich do przyboju, a pokazywał go - ma się rozumieć - Wanin, jego odkrywca i badacz. Zresztą, prawdę powiedziawszy, tę niewielką ilość wiadomości, jakie mamy o naturze przyboju, zawdzięczamy wyłącznie Waninowi. Dla niego wszakże znacznie ważniejsze było coś innego - wrażenie.

I wrażenie to było wspaniałe! Wyobraźcie sobie grupę nowicjuszy, jeszcze zalęknionych i niepewnych, spodziewających się Bóg wie jakich cudów. I wraz z nimi Wanina - doświadczonego, spokojnego tubylca, który wszystko wie i dla którego wszystko to fraszka. Odprowadzany zachwyconymi spojrzeniami, nagle opuszcza się z brzegu, wychodząc na spotkanie groźnej, tajemniczej fali, kładzie się na niej, płynie. A potem następował jego koronny numer: Wanin dawał się zasypać. Mało komu udawało się powstrzymać mimowolny okrzyk przestachu, kiedy piasek całkowicie zakrywał człowieka. Wanin zniknął, a nad mogiłą pochłoniętej ofiary toczyły się fale - chłodne, niespieszne, obojętne. Cisza, spokój, bezdźwięczny ruch piasku, nad ponurą równiną kopuła fioletowego nieba. Mijają minuty, a Wanina nie ma i nie ma - zginął, utonął.

Wybuchła panika. My zaś - jeśli któryś z nas był przy tym obecny - staraliśmy się nie psuć mu efektu i robiliśmy zatroskane miny. Tym większe było wszystkich zdumienie, kiedy Wanin nagle wstawał spod piasku.

To także była jego sztuczka. Właśnie on wykrył, że nawet dwumetrowa pokrywa piasku nie przeszkadza powstać z mogiły człowiekowi ubranemu w skafander wyposażony w hydrowspomagacze. Umożliwia to po prostu panująca tu mniejsza siła ciężenia niż na Ziemi... Zresztą piasek nie mógł wciągnąć człowieka zbyt głęboko; Wanin sprawdził to dokładnie i przekonał się, że pod piaskiem można przebywać godzinami, póki nie wyczerpie się tlen w butli. Nowicjusze nie mieli jednak o tym zielonego pojęcia.

W głębi duszy byliśmy nawet dumni z „efektu Wanina” i z niecierpliwością oczekiwaliśmy każdego kolejnego przedstawienia. Co prawda, kapitan zrzędził i radził Waninowi skończyć z tymi głupstwami, wynikało to jednak nie stąd, iż przewidywał, że może się stać coś złego, lecz z zamiłowania do porządku. Wanin, oczywiście, nic sobie z tego nie robił - to był jego przybój, pokazowe kąpiele stanowiły jego chlubę i ani w głowie mu było rozstawać się z laurami. Podobnie jak niekiedy zasłużony naukowiec szczyli się nie tyle swymi wspaniałymi osiągnięciami, co umiejętnością robienia pięknej stójki na głowie. I zrozum tu naturę ludzką. Zresztą sam kapitan także nie odmawiał sobie przyjemności wykąpania się...

W rezultacie wyleciała nam z głowy jedna prosta prawda, że człowiek, który wie, że źle pływa, ma niewielkie szansę na utonięcie, ponieważ jest ostrożny. Niewielkie jest także ryzyko dla dobrego pływaka. Najczęściej zaś giną - i to głupio giną - ludzie, którym się wydaje, że już nauczyli się dobrze pływać, podczas gdy w rzeczywistości wcale tak nie jest.

I oto z biegiem czasu nad naszymi głowami zawisła ciemna chmura. Dotąd wszystko szło pomyślnie, i to nas ośmieliło. Ale Mars nie został jeszcze opanowany, to tylko nam tak się wydawało. Nie znaczy to, że zaczęliśmy go całkowicie lekceważyć. Ale żyć w nieustannym oczekiwaniu, że może stać się coś złego, stale zachowywać pełną ostrożność, kiedy wszystko jest w porządku, wszędzie cisza i spokój - to po prostu nie do pomyślenia. Przy sposobności możecie sprawdzić to na sobie.

Dzień otrzeźwienia, jak zwykle, przyszedł nieoczekiwanie. Na Marsa przyleciała nowa grupa. Wśród nowicjuszy były dwie dziewczyny. Zawieziono ich, aby obejrzeły przybój. Wanin zacierał ręce z radości. Czego to on nie wyczyniał! Przeszedł samego siebie. Raz po raz rozlegały się achy i ochy dziewcząt wpatrujących się w niego z zachwytem, który - Wanin nie miał co do tego żadnych wątpliwości - po numerze koronnym powinien przejść w uwielbienie.

Domyślcie się, oczywiście, co zdarzyło się potem. Wanin dał się zasypać. Minęło dziesięć minut, pół godziny... a on się nie pojawiał! Zaczęliśmy się trochę denerwować, lecz nie podejmowaliśmy żadnych kroków. Głupota? Niezupełnie. Wanin zanurzał się w przybój u dziesiątki razy, zanurzaliśmy się i my. Powietrza miał na kilka godzin. Na brzegu stały dziewczęta... Było więc dla nas jasne, że tym razem Wanin będzie przeciągał czas ponad zwykłą normę. Na jakich wyjdziemy durniów, jeśli poleziemy go wyciągać, a on tymczasem wyskoczy z chichotem jak diabeł z pudełka? Tak więc czas mijał. Przeklęty strach przed śmiesznością! W końcu wleźliśmy jednak do przyboju, aby zobaczyć, o co tutaj chodzi, a pozostałym na brzegu wyjaśniliśmy, że nam też zachciało się wykąpać. Zrozumiałe, że

postawiwszy się w tak nedorzecznej sytuacji, mogliśmy szukać Wanina w falach tylko ukradkiem. Nie potrzebuję wam chyba mówić, że go nie znaleźliśmy.

Wtedy już trzeba było odrzucić fałszywy wstyd. Czy zdarzyło się wam kiedyś kopać w błotnistym ile? Jeśli tak, to macie pewne wyobrażenie o tym, jak czuliśmy się.

Wanina odnaleźliśmy dopiero wtedy, gdy przybój się skończył i piasek znowu stał się spoisty. Tymczasem jednak Wanin już się udusił. Zaciągnęło go pod skałę i nie mógł się wydostać, gdyż uniemożliwiał mu to ruch fal.

Nedorzeczny przypadek, który równie dobrze mógł spowodować śmierć każdego z nas? Nedorzeczny - zgoda. Lecz w tym, że pierwszą ofiarą Marsa był Wanin, widzę pewną prawidłowość. Na dzień przyboju przypadek czyhał na każdego z nas, lecz szans na to, by wpaść w tę pułapkę, Wanin miał nieporównanie więcej: śmieiej i częściej niż my wszyscy razem wzięci włąził w przybój. Szukał w nim potwierdzenia własnej wartości. Łazł, ponieważ nowicjusze widzieli w tym odwagę. Była to jednak fałszywa odwaga, opierała się bowiem na przekonaniu, że nie nią żadnego niebezpieczeństwa. - A odwaga i złudzenie - to dwie rzeczy wzajemnie się wykluczające, oto dlaczego właśnie wszystko skończyło się tak nedorzecznie i głupio.

Gdyby komuś moje wyjaśnienie tego, co się stało, wydało się mylne, nie będę się spierał. Przedstawiłem fakty, a często bywa, że splot okoliczności, jakie popychała nas do takiego czy innego czynu, może być interpretowany w całkiem odmienny sposób.

Nie w tym rzecz. Patrę na przybój, na przetaczanie się ciężkich bałwanów, obojętnych i nieczułych, i myślę. Teraz nikt już nie kąpie się w przyboju. Ale będą się kąpać, kiedy Mars zostanie zagospodarowany - to nieuniknione. Kiedy wszystko dojdzie do normy, wszystko będzie już wiadome, a na każdym skrawku tej planety wyznaczona zostanie dokładna granica pomiędzy tym, co bezpieczne, a tym, co niebezpieczne, między śmiałością a tchórzostwem, między brawurą a odwagą. Tak będzie. Lecz kto wie, czy i w przyszłości nie będzie do tego potrzebny Wanin?

*Przetłumaczyła Aleksandra Orman*

## Miasto i wilk

Transway z przeciągłym pomrukiem przywarł do peronu. Długie, wieloczłonowe cielsko wagonu znieruchomiało. Wilk przesadził barierę ochronną. Pazury nie znalazły oparcia na sirbolitowej nawierzchni i Wilk nieoczekiwanie zatoczył się.

- Trzeba chodzić jak wszyscy! - powiedział z wyrzutem przechodzień, któremu wpadł pod nogi.

Trzema susami przebiegi platformę i przemknął po schodach. W dole otoczyło go tyle zapachów, że zatrzymał się, a później pochylił głowę i wyciągniętym kłusem pognał ścieżką, nieprzyjemnie gładką i obrzydliwie prostą.

Miasto było z prawej i z lewej, z przodu i z tyłu, w górze i na dole. Wzrok prześlizgiwał się po masywnych niczym skały lub azurowych jak bezlistne drzewa konstrukcjach budynków, pasaży, galerii i pomostów, po iglicy Wieży Kosmicznej, wznoszącej się nad zbiorowiskiem dachów-ładowisk, po wiszących ogrodach i ruchomych chodnikach. Wilk nie znał tego miasta, ale oczy nie znajdowały niczego szczególnego godnego uwagi. Nie tylko zresztą oczy, które nie odgrywały w jego życiu najważniejszej roli: podobnie jak wszystkie wilki kierował się przede wszystkim słuchem i węchem, zwłaszcza węchem. Jego żywiołem było królestwo zapachów, w którym człowiek gubił się zupełnie. Sella mało nie płakała usiłując dociec, w jaki sposób Wilk odnajduje ją w nieznanym, ludnym miastach, on zaś nie mógł jej niczego wytłumaczyć, ponieważ sam tego nie wiedział. Kiedy szukał Selli, po prostu ciągnęło go w określonym kierunku, pewne dzielnice wydawały mu się sympatyczniejsze od innych, ale dlaczego? Sekret tkwił nie tylko w subtelności powonienia, lecz także w czymś innym, bliskim, ale nie tożsamym z węchem, o czym ludzie już od dawna z pasją dyskutowali. Teraz też trzymał się wybranego kierunku, pewny, że doprowadzi go on do miejsca, w którym obecnie znajduje się Sella. Nie umiał wprawdzie określić odległości dzielącej go od tego miejsca, ale nie martwił się tym, gdyż Sella oczekiwała go dopiero wieczorem.

Przy windzie wiodącej na dolny poziom nikogo nie było. Nie spieszył się tym, bo z windą sam potrafił sobie radzić. Wskoczył do kabiny, stanął na tylnych łapach i nacisnął pazurami trzeci guzik od dołu. Drzwi zamknęły się bezszelestnie i winda ruszyła. Atawistyczny strach przed pułapką ogarnął go na chwilę, ale natychmiast ustąpił.

Na dolnym poziomie było tak samo jasno i cicho, jak i na górnym, ale łapy Wilka wyczuwały lekkie drżenie gruntu, kiedy w podziemnych tunelach przemykały wagony metra, zespoły pojemników lub pneumatyportery. Ludziom dolny poziom nie wydawał się hałaśliwy, ale Wilk był innego zdania. Miesiąc spędzony w tundrze zrobił swoje i Wilkowi

dawał się teraz we znaki łoskot i wibracje. Dlatego nie wskoczył na taśmę ruchomego chodnika, lecz lawirując między przechodniami zagłębił się w park. Wybrał tę drogę również dlatego, że w parku nie było tych wszystkich gładkich, sprężystych, zwierciadlanych nawierzchni, które doskonale służą ludziom, lecz nie bardzo nadają się dla łap. Piasek jest znacznie lepszy.

Łania wysunęła się zza krzewu i odprowadziła go długim spojrzeniem. Wilk nawet się nie obejrzał. Szanował prawa miasta i łania o tym wiedziała.

- Hej! - usłyszał Wilk przebiegając nad brzegiem jeziora. Zatrzymał się. Ze szczytu niewysokiej wydmy machała nań pięcioletnia może dziewczynka, drugą rączką zgarniając z twarzy splątane pasma włosów. Gdy tylko zatrzymał się, pobiegła stromizną w dół, potknęła się i piszcząc z zachwyty stoczyła na trawnik.

- Witaj, czemu nie odpowiadasz? - wypaliła, wstając i otrzepując spodenki.

Obroża, którą Wilk nosił na szyi, nie miała nic wspólnego z prawdziwą obrożą. Był to translator, który bezdźwięczne nawet wibracje krtani zwierzęcia tłumaczył na ludzką mowę. Urządzenie trzeba było jednak włączyć. Wilk dwukrotnie uniósł łapę. Dziewczynka radośnie kiwnęła głową i dotknęła obroży.

- Teraz witaj! - powiedział Wilk.

- Witaj. - Dziewczynka lekko sepleniała. Jej zielone oczy płonęły z niecierpliwości. - Będziemy się bawić w Czerwonego Kapturka - oświadczyła bezapelacyjnym tonem.

- W co?

- Jakiś ty niepojętny! - tupnęła bosą nogą. - Będziemy się bawić w bajkę! Czerwony Kapturek to taka dziewczynka, ona idzie w odwiedziny do babci...

Teraz z translatora wydobywał się warkot, ponieważ aparat tłumaczył słowa ludzkie na zrozumiałe dla Wilka zestawienia dźwięków.

- I kiedy dziewczynka zapytała, dlaczego babcia ma takie wielkie zęby, wilk, który udawał babcię, powiedział: „Żeby cię zjeść!”

- Zjadł?

- Nie... Zjawili się myśliwi i...

Wilk po raz pierwszy słyszał tę bajkę. Jej sens słabo do niego docierał, ale budził niejasną pamięć czegoś zapomnianego, nieprzyjemnego, zepchniętego na dno podświadomości. Wilk zdecydowanie pokręcił głową:

- Nie chcę. Będziemy się zwyczajnie bawić.

Twarz dziewczynki zachmurzyła się, ale nie upłynęło nawet parę sekund i dziecko galopowało już siedząc na grzbiecie Wilka, który po chwili delikatnie zrzucił je na trawę.

Dziewczynka ze śmiechem złapała go za ogon, a on odwrócił się i groźnie wyszczerzył zęby. Teraz długo i zapamiętale tarosili się, walczyli, tarzali i zwijali w kłębek. Oboje jednakowo potrafili rozkoszować się zabawą.

Spacerujący w pobliżu staruszek zatrzymał się i osłonił dłonią oczy.

- Siedemdziesiąt lat - pokiwał głową. - W dniach mojej młodości... Tak, któż w dniach mojej młodości mógł pomyśleć...

Towarzyszający mu młodzieniec nic nie odpowiedział. Uważał za zrozumiałe, a więc nieciekawe to, że na środku miasta wilk, syn trzeciego pokolenia ucłowieczonych drapieżników, bawi się z dzieckiem i może porozumieć się z ludźmi. Ideę, która wywarła ogromne wrażenie na pokolenie starca, uważał za równie banalną jak twierdzenie, że dwa razy dwa równa się cztery. Jeżeli mózg człowieka jaskiniowego był biologicznie równoważny mózgowi człowieka dwudziestego pierwszego wieku, a intelekt mimo to rozwinął się niepomiaralnie od tamtych czasów, to jest oczywiste, iż mózg zwierząt również kryje w sobie ogromne rezerwy! Po prostu wcześniej nikt nie zajmował się rozwojem ich intelektu, bo nikt nie potrafił tego, ale teraz, kiedy się nauczono...

Pożegnawszy się z dziewczynką Wilk stromym stokiem wbiegł na szczyt pagórka. Rozejrzał się i pociągnął nosem. Cisza wieczoru mogła wprowadzić w błąd człowieka, ale on dostrzegł oczywiste znaki zmiany pogody i teraz był pewien, że powietrze przestanie być spokojne natychmiast po zachodzie słońca. Pobiegł szybciej. Wiatru jeszcze nie było, ale strumień zapachów wzmógł się. Drzewa, trawy, kwiaty pachniały inaczej niż godzinę temu. Nawet stal, tytan, spektrolit - wszystkie te niezliczone materiały, które wymyślił człowiek - zachowywały się inaczej.

Wszystkie zmiany zapachów były znane Wilkowi i jego świadomość nie brała udziału w ich analizie. Nagłe odchylenie od normy zmusiło go do zatrzymania się.

Pachniało czymś niezwykłym. Zapach nie był ostry, wręcz przeciwnie - niezwykle słaby, ale z czymś podobnym Wilk do tej pory się nie stykał. Zupełnie niezrozumiały zapach, zapach, który nie ma nic wspólnego ani z miastem, ani z przyrodą.

Pociągnął nosem i bez wahania ruszył ku ławce, na której siedział czterdziestoletni mężczyzna o twarzy smagłej i ostrej. Mężczyzna nieruchomymi oczyma patrzył na leżące przed nim miasto, jakby zamierzał chwycić je w ręce.

- Czemu się na mnie gapisz, przyjacielu? - mężczyzna odezwał się tak nieoczekiwanie, że Wilk nieco się zmieszał. - Wyglądam na dziwaka, tak? Racja. Odwyłem od tego wszystkiego - wskazał ręką horyzont. - Pięknie. A ty jak sądzisz?



- Pięknie - Wilk zgodził się nie tylko z uprzejmości. Ludzie uważali miasto za piękne i on również tak uważał, choć jego rozumienie piękna nie pokrywało się z ludzkim. Piękno utożsamiał z celowością.

- No dobra - powiedział mężczyzna. - Masz przecież do mnie sprawę. Mów!

Wilk był zdziwiony, nieznajomy wykazał przenikliwość rzadko spotykaną u ludzi.

Obsesowe pytanie, wymagało odpowiedzi.

- Ma pan przy sobie niezrozumiałe.

- Co, co?

Wilk uśmiechnąłby się, gdyby umiał. Podświadomość człowieka wyprzedziła rozum. Póki rozum usiłował znaleźć sens w pytaniu, palce drgnęły tak wymownie, że Wilk bez trudu odtworzył, co zamierza zrobić człowiek.

- Ono jest w górnej kieszeni.

- To? To masz na myśli?

Mężczyzna wydobyl przezroczystą rurkę wypełnioną drobnym piaskiem.

- Tak.

- Ale niuch! Może wiesz także, co to jest?

- Tak i nie. Piasek, ale niezrozumiałe.

- Racja, skąd masz wiedzieć... Ten piasek pochodzi stamtąd - mężczyzna wskazał palcem niebo. - Z kosmosu, z Syriusza. Rozumiesz? Konkretnie z Szatana, bo tak nazwaliśmy tę mroczną i mroźną planetę. Ale tęczy piasek... Brylanty w porównaniu z nim to po prostu szkło. Mam rację? Popatrz, jak opalizuje...

Kosmonauta wyciągnął szklany korek i wysypał trochę piasku na dłoń. Uniósł rękę do góry i patrzył jak zaczarowany na grę światła w kryształkach. Wilk o mało nie parsknął uderzony w nos falą silnego zapachu. Poza zapachem piasek nie miał w sobie nic szczególnego. Zwyczajne, matowe, słabo połyskujące ziarenka piasku i to wszystko. Od ludzi wiedział o istnieniu jakiegoś niezwykłego i pięknego świata kolorów, ale wcale nie pragnął go poznać. Ludzie nie czuli większości zapachów, dla niego zaś nie istniały barwy. Przywykł do takiego stanu rzeczy i nie uważał się za pokrzywdzonego.

Wreszcie człowiek oderwał się od swojego piasku i jakby coś sobie przypominając zapylał:

- Jak ty to zdołałeś wyczuć pod szczelnie doszlifowanym korkiem?... Szybkim ruchem wysypał piasek z powrotem do rureczki, obrócił ją parę razy w palcach i schował. Jego szeroka dłoń spoczęła na głowie Wilka, twarz przybrała wyraz skupienia.

- Tak, przyjacielu, zadziwiasz mnie. Ale na mnie już czas. Powiem ci w sekrecie: chociaż „szatański” piasek jest tak piękny, wolę od niego ziemski. Masz jeszcze jakieś pytanie? Wobec tego żegnaj!

Mężczyzna wstał i szybko ruszył ścieżką ku wyjściu. Wilk nie ruszył się z miejsca. Zapach nie zniknął po odejściu kosmonauty, widocznie jakieś ziarenko piasku upadło na ziemię. Wilk mógł nawet pokazać, gdzie ono leży, chociaż go nie widział. Położył się z pyskiem opartym na łapach.

W głowie tłoczyły mu się niejasne myśli.

Translator był niewątpliwie wielkim wynalazkiem, ale urządzenie to mimo woli oszukiwało ludzi (naturalnie laików), narzucając im przekonanie, że skoro wilk może mówić ludzkim językiem, to i myśli podobnie do ludzi, tyle że w sposób uproszczony. Wszystko było jednak znacznie bardziej skomplikowane. Wilkom obce były konstrukcje logiczne. Częściowo zastępował je łańcuch obrazów, kojarzonych w sposób niepojęty dla człowieka.

A jednak Wilk miał własne wyobrażenie nawet o kosmosie, gdyż ludzie wiele mówili na ten temat, a on zapamiętywał wszystkie ich opinie. Wizerunek kosmosu ukształtowany w jego wyobraźni był daleki od realnego, a jednak nie był absurdalny. Teraz właśnie Wilk odwoływał się do tego wizerunku. Nigdy jeszcze żaden zapach nie wydawał mu się tak dziwny. Nie, właściwie było nieco inaczej. Dziwnym uczyniły go dopiero wyjaśnienia tego człowieka. Przedtem zapach był tylko nieznanym. Mężczyzna nadał źródłu zapachu dokładną nazwę, której sens Wilk doskonale rozumiał - piasek. Ale zapach wydzielany przez ziarenka piasku przeczył tej nazwie. Gdyby na miejscu Wilka znalazł się człowiek o powonieniu równie czułym jak powonienie Wilka, z łatwością pogodziłby sprzeczności. Połączyłby właściwości konkretnego ciała z właściwościami takiego abstrakcyjnego pojęcia jak „obca planeta”. Ale podobne pogodzenie - rzeczywiste lub pozorne - było Wilkowi niedostępne i zwierzę nie mogło pozbyć się zdumienia.

Był łak zaabsorbowany zagadką, że mimo woli głośno sapnął zapominając o istnieniu włączonego translatora, który natychmiast przetłumaczył to sapnięcie na ludzkie: „No, no!”

Słowa otrzeźwiły go i przypomniały, że pora ruszać dalej. Jednak nie od razu wstał. Jeszcze przez chwilę Wodził nosem wokół źródła dziwnej woni. Gdyby go zapytano, co go tak niepokoi, nie umiałby odpowiedzieć. Ciekawość i żądza poznania jest cechą w równym stopniu zwierzęcą, jak i ludzką. Zagadkowe zjawisko pociąga, gdyż nie wiadomo, co oznacza i co może przynieść: dobro czy zło. A to chce wiedzieć każda istota żywa. Instynkt przewycięża strach wywołany nieznanym. Ciekawość Wilka była zabarwiona niepokojem. Zawsze bezpieczniej jest założyć, że to, co zagadkowe, równa się temu, co wrogie. Zresztą w

świadomości Wilka odczucie to było silnie przytłumione zakorzenionym poczuciem bezpieczeństwa. Od razu kiedy człowiek stał się przyjacielem wilka, nie groziło mu już nic ani w lesie, ani w mieście.

Poryw wiatru spadający z pociemniałego nieba przemknął przed nosem Wilka i porwał źródło zapachu.

Błyskawicznie, jak to potrafią tylko zwierzęta, przełączył swoją uwagę. Zagadka zniknęła, a więc nie ma potrzeby myśleć o niej. Nie znaczy to, że Wilk zapomniał, ale po prostu uznał, iż nie warto zwracać uwagi na to uniesione wiatrem ziarnko piasku. Tylko szkoła myślenia, którą przeszedł u człowieka, sprawiła, iż Wilk wiedział, że jeszcze powróci do przerwanej myśli.

A teraz trzeba było odszukać Sellę. Pobiegł, kierując się na wschód od Wieży Kosmicznej. Silny już teraz wiatr mierzwił mu sierść. Instykt prowadził go pewnie. Gdzieś w pobliżu niedawno przechodziła Sella i trzeba było jedynie odszukać jej ślad. W pół godziny później znalazł się pod właściwymi drzwiami.

Sella często rozmawiała z Wilkiem, który nie mógł długo mieszkać w mieście, poza stadem. Ale ich przyjaźń nie słabła przez to. Sella była zoopsychologiem, ale Wilk nie stanowił dla niej obiektu doświadczalnego. Nie traktowała go również jak zwierzę domowe, którego przywiązanie można zdobyć przelotną pieśczołą. Sella widziała w Wilku osobowość równie zindywidualizowaną, jak osobowość człowieka. Traktowała go jak kolegę, którego się lubi nie zadając pytań „dlaczego?” i „z jakiego powodu?”

Dlatego spotkanie było jak zawsze radosne i czułe.

Natychmiast po kolacji Sella powiedziała:

- Pogadamy o ciekawych rzeczach?

To były ich ulubione wieczorne chwile. Wszystkie sprawy zostały już załatwione, w pokoju panowała cisza i nie było niczyich oczu poza oczami człowieka i zwierzęcia.

Sella siadła z podwiniętymi nogami na tapczanie. Wilk ułożył się obok. Dziewczyna przytłumiła oświetlenie i zanurzyła palce w grzywie drapieznika.

Zwykle w takich chwilach Wilk opowiadał o tym, co zwróciło jego uwagę, zdziwiło lub zaskoczyło, a Sella mówiła o swojej pracy. Czasem po prostu plotkowali. Tak było i tym razem. Wilk, który nie grzeszył zbyt dużą konsekwencją, mówił urywanymi zdaniami, przerzucając się od wspomnienia do wspomnienia. Sella raczej milczała. W czarnych podłużnych źrenicach zwierzęcia połyskiwał odblask lampy. Dziewczyna odzwyczaiła się nieco od Wilka i chwilami ogarniało ją poczucie nierealności.

- Czy martwe może stać się żywym?

- Co, co? - ocknęła się Sella.

- Dziś w mieście poczułem nieznanne. Martwe. Znajdowało się w kieszeni mężczyzny. Spytałem. Człowiek powiedział: piasek. Odszedł. Ziarnko piasku upadło. Stało się żywe.

- Piasek zawsze jest martwy.

- Wiem. Dlatego dziwne.

- Nic nie rozumiem! Skąd ci przyszło do głowy, że piasek ożył? Ziarnko zaczęło się poruszać?

- Nie, szybko pachniało.

- No więc co z tego?

- Martwe wolno zmienia zapach. Rośliny szybciej. Zwierzę bardzo prędko, zwłaszcza kiedy jest podniecone.

- Rzeczywiście?

- Tak.

- I po szybkości zmian zapachu można odróżnić kamień od drzewa, stal od motyla?

- Tak.

- Wilku, nigdy mi o tym nie mówiłeś!

- Nie pytałaś.

- Przecież to bardzo ciekawe! Mów dalej, mów!

- Dlaczego ziarnko piasku ożyło?

- Nie mogło przecież ożyć!

- Ożyło.

Sella uniosła się nieco, bo wydało się jej, że w oczach Wilka przemknął wyrzut: czemu tak wolno myślisz?

- Opowiadaj, Wilku, po kolei - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Przecież nie zawsze oczywiste dla mnie jest oczywistym dla ciebie i na odwrót. A więc biegleś przez miasto...

- Tak.

- I poczułeś piasek, który znajdował się w kieszeni mężczyzny. Od kiedy to zacząłeś zwracać uwagę na zwykły piasek?

- Nieznany zapach. Człowiek wytłumaczył, że piasek z kosmosu.

- Z kosmosu?! Wobec tego wszystko jest jasne. Nie, co ja mówię?! Nic nie jest jasne.

Niczego nie rozumiem. Jak on wyglądał?

- Człowiek?

- Piasek!

- Jak piasek.
- I był martwy?
- Tak.
- A kiedy ziarenko upadło...
- Zapachniało jak żywe.
- Powiedziałeś to mężczyźnie?
- On odszedł.
- Ziarenko poruszało się?
- Nie.
- Kim był ten mężczyzna?
- On był z kosmosu. Z Syriusza.
- Powiedział ci to?
- Tak.
- Człowiek wie, że jego piasek z martwego może przemienić się w żywy?
- Powiedział: to piasek. Bardzo piękny. Nie powiedział: to jest żywe. Czemu się

denerwujesz?

- Dlatego... Wilku, nie omyliłeś się?
- Nie mogłem się pomylić.
- Tak, tak, wiem... To jednak nieprawdopodobne... Pomilczmy teraz chwilę.

Sella zamyśliła się. Jej ciemne oczy jeszcze bardziej pociemniały. Siedziała bez ruchu, ale Wilkowi zdawało się, że widzi ją biegnącą. Niepokoilo go to, gdyż nie mógł zrozumieć przyczyny, ale pojmował, że teraz lepiej o nic nie pytać. Sella poderwała się gwałtownie i nie zakładając pantofli podbiegła boso do inforu.

- Zdjęcia członków wyprawy na Syriusza - powiedziała do mikrofonu. Po paru sekundach na ekranie pojawiła się czyjaś twarz.

- On? - Sella obróciła się do Wilka.
- Nie.
- Ten czy ten?

Na ekranie przesuwaly się portrety. Wreszcie Wilk powiedział:

- Ten.
- Wszystko się zgadza...
- Nie wytłumaczyłaś mi - upomniał ją Wilk.
- Poczekaj chwilę, Wilczku...

Palec Selli dwukrotnie zawisł nad guzikiem, zanim go nacisnął.

- Wzywam Borka, geologa wyprawy na Syriusza. Prawdopodobnie jest w mieście. Przekażcie mu... - zająknęła się. - Wezwanie bardzo pilne.

Wilka nie zdziwiło ani to, że Sella rozmawia z nieożywionym przedmiotem, ani to, że ten przedmiot szuka człowieka znajdującego się nie wiadomo gdzie. Nie rozumiał tego, ale zdołał przywyknąć i traktował przedmioty w rodzaju inforu jak śnieg lub deszcz: ponieważ istniały, trzeba się do nich przyzwyczaić. Ale w zachowaniu Selli, w jej słowach i ruchach, wyczuwał rosnący niepokój i na wszelki wypadek sprężył się, przygotował na wszelkie niespodzianki.

Jakieś trzy minuty upłynęły w milczeniu. Wreszcie przeciwległa ściana rozstąpiła się i pokój połączył się z drugim, przestronniejszym i jaskrawo oświetlonym. Siedzący przy stole mężczyzna podniósł głowę. Zobaczywszy dziewczynę, wstał.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli niepokoiłam pana bez potrzeby - powiedziała szybko Sella. - Przejdę od razu do rzeczy. Czy ma pan jeszcze piasek, który pokazał pan dziś Wilkowi?

- Jakiemu wilkowi? - kosmonauta ze zdziwieniem patrzył na Sellę.

- Temu.

- A, mój szary przyjaciel? Przypominam sobie Ale o co właściwie chodzi?

- To rzeczywiście piasek?

- Tak i to bardzo piękny. - Bork uśmiechnął się. - Pokazać? - wyjął z szuflady znaną Wilkowi rurkę. - Uroczy, prawda?

- To na pewno jest piasek? Nie kolonia organizmów?

- Oczywiście że nie! Skąd takie przypuszczenie?

- Został poddany kwarantannie?

- Naturalnie! Przepraszam, ale nie rozumiem...

- Możliwe, że to wcale nie jest piasek.

Uśmiech Borka zgasł. Kosmonauta czekał.

Sella powtórzyła pokrótce wszystko, co wiedziała.

- Nie chciałbym urazić pani przyjaciela - w głosie Borka wyczuwało się ironię. - Ale zgodzi się pani, że...

- Wilk nigdy nie myli się, jeśli chodzi o fakty - powiedziała Sella ostrym głosem. (Brwi Borka powędrowały do góry). - Może wyciągać fałszywe wnioski. Ale jeśli mówi, że ziarenko piasku zachowało się podobnie jak żywy organizm, to tak na pewno było.

- Trudno dyskutować z przekonaniem. Przypuśćmy więc, że moja diagnoza jest błędna. Ale czyżby sądziła pani, iż pracownicy Kwarantanny nie potrafią odróżnić minerału od żywego organizmu?

- Pleśń... - powiedziała cicho Sella.

- Tak, pleśń. - Borka na chwilę opuściła pewność siebie. - Nie, tym razem to coś innego - jego głos brzmiał znów twardo i zdecydowanie.

- Nie chce pan wierzyć?

- Nie mogę wierzyć. Ten piasek ma być żywy?! Proszę mi wybaczyć, ale fantazja zwierząt...

- Fantazję mają niestety bardzo słabo rozwiniętą - głos Selli brzmiał sucho. - Wilku, to jest piasek, czy coś innego?

- Nie czuję go.

- Prawda! Czy nie będzie zbyt wielką bezczelnością z mojej strony, jeżeli jednak poproszę pana o przyjazd?

- Aby pani zwierzę wydało ostateczny wyrok?

- Nie chodzi przecież o to!

- Ma pani rację. - Bork spoważniał. - Zapomniałem, że czasami nawet kij może wystrzelić. Gdzie pani jest? Będę za siedem minut.

Pokój Borka zniknął. Sella westchnęła i pogładziła Wilka po głowie.

- Nie wierzą nam. Wilczku... Zresztą sama sobie też nie wierzę.

- Wytłumacz!

- Nie wiem, czy zrozumiesz, bo i ja nie bardzo to pojmuję. W kosmosie zdarzają się bardzo niezwykle formy życia. Dziwaczne, niecodzienne... Dlatego wszystko, co stamtąd trafia na Ziemię, jest poddawane bardzo surowej kontroli. Zwłaszcza organizmy żywe. Nie zawsze żywe jest niebezpieczne, częściej zupełnie nieszkodliwe. Ale pewnego razu nawet dokładna kontrola nie wykryła pleśni. Dawno, kiedy jeszcze ciebie nie było, zaczęły się dziać straszne rzeczy. Z wielkim trudem poradziliśmy sobie. Mam nadzieję, że tym razem...

- Nie chciałem straszyć.

- Wiem, wiem. Wszystko się pewnie wkrótce wyjaśni i z pewnością okaże się, że to pomyłka. Ale jest już Bork... Proszę wejść!

Bork energicznie uściśnął wyciągniętą ku niemu rękę, kiwnął głową Wilkowi i bez zbędnych słów odkorkował probówkę. Miał wygląd człowieka, który postanowił niczemu się nie dziwić.

- Co powiesz, Wilku? - głos Selli załamał się.

- To pachnie żywym.
- Co? Przecież mówiłeś...
- Wtedy był piasek. Teraz nie.

Bork zachmurzył się. Długo i uważnie patrzył na Wilka, jakby chciał przyłapać go na kłamstwie. Potem bez słowa wziął kartkę czystego papieru, odsypał nieco piasku i wydobyl mikroanalizator. Pojawił się ledwie widoczny obłoczek. Spojrzawszy na skalę aparatu obrócił ja ku Selli.

- Widzi pani te liczby?
- Nic mi one nie mówią.
- Te liczby odzwierciedlają skład chemiczny i budowę próbki. Jedno i drugie świadczy o tym, że to jest minerał.

- Ale Wilk...

- Proszę pani. Jest pani zoopsychologiem i doskonale wie, że nie istnieją izolowane gatunki organizmów żywych. A planeta, skąd te ziarenka pochodzą, jest martwa niczym sopel lodu.

- W soplach też bywają wysoko zorganizowane organizmy żywe.

- Racja. Ale gdyby pani widziała tę planetę... O ile dobrze zrozumiałem, dla Wilka żywe różni się od martwego odmiennym tempem zmiany zapachów. Tak?

- Tak.

- Po drodze wszystko przemyślałem. Ten minerał różni się od ziemskiego także i tym, że szybciej zmienia częstotliwości zapachowe. To wszystko. Jest pani rozczarowana?

Sella zaczerwieniła się.

- Niepotrzebnie. Wręcz przeciwnie: powinna być pani dumna - powiedział Bork, jakby tłumacząc się. - Minerał wiozłem Orcewowi na uniwersytet. Ale nawet Orcew nie od razu wykryłby tę jego właściwość. Panią coś jeszcze niepokoi?

- Drobiazg - powiedziała Sella z krzywym uśmiechem. - Najpierw dla Wilka cały piasek był martwy...

- Rozumiem, rozumiem. Na zapach, według naszego kudłatego analityka, wpływa zmiana pogody, a teraz zbliża się burza, prawda?

- Pan zawsze taki logiczny?

- Niestety, obawiam się, że to nieuleczalne.

- Dlaczego „niestety”? Wilku, przepróśmy za kłopot...

- I zapomnijmy o tym epizodzie. A jeśli powiem, że cieszę się, iż dzięki temu poznałem panią?...



- A piasek rzeczywiście piękny - Sella pochyliła się nad stołem, jakby nie słyszała słów Borka. - Jaka gra światel... co za blask!

- W ciemności kamień umiera. Drzewo nie, zwierzę tym bardziej, a kamień tak. Pod tym względem nasze poglądy są chyba zbieżne z wyobrażeniami naszych czworonożnych mądrali. Ciekawe, co Wilk teraz o mnie myśli?

- Nie radzę go pytać.

- Czemu?

- Większość ludzi jest do tej pory przekonana, że zwierzęta patrzą na nas jak na swego rodzaju bóstwa. Zapewniam pana, iż zwierzę nie traktuje nas w ten sposób.

- Nie należę do tego rodzaju ludzi.

- A pańska duma nie ucierpi, jeżeli Wilk wystawi panu niezbyt pochlebną charakterystykę? - spytała nie odrywając wzroku od migocących ziarenek.

- Zasłużyłem na nią?

- Mam nadzieję, że nie. Zresztą niech pan zapyta Wilka.

- Pewnie, że zapytam - powiedział zdecydowanie Bork i obrócił się ku Wilkowi. Nie zdążył.

- Proszę spojrzeć! - krzyknęła Sella. Słowa zabrzmiały jak dźwięk odłamków rozbitej porcelany. Bork błyskawicznie znalazł się przy stole, by sprawdzić, co wskazywał drżący palec Selli.

- Wydało się pani...

- One się ruszają - potwierdził nagle Wilk. Ludzie w popłochu odskoczyli od stołu i wpatrywali się w niego z odległości.

- Piasek już dawno się rusza.

Na sekundę wszyscy zamarli. Ruch kilku ziarenek, które oddzieliły się od masy pozostałych, był teraz widoczny nawet dla ludzi.

- One się dzielą - powiedziała Sella zduszonym szeptem. - Tu! I tu...

- Spokojnie...

Szybkim i precyzyjnym ruchem Bork zsywał piasek do probówki. Źródło złowieszczonego zapachu znikło w kieszeni i Sella uspokoiła się, jakby ze stołu zabrano jadowną zmię.

- W porządku - powiedział Bork lekko zdyszonym głosem. - W porządku - powtórzył, jakby starając się przekonać siebie i innych. - Możliwe, że nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. Nic się zresztą nie stało. Są zamknięte.

- Nie wszystkie! - wykrzyknęła Sella.

- Racja...
- To jedyne ziarnko piasku...
- Drobiazg, znajdziemy.
- Wiatr je zdmuchnął - powiedział Wilk.
- Tak... - Ręka Borka wolno sięgnęła do inforu.
- To nie ma sensu! - zatrzymała go Sella. - Łatwiej znaleźć ziarnko... To jest, chciałam powiedzieć... nie wiem co, niż...
- Wiem, ale nie ma innego wyjścia.
- Jest, Wilku!
- Słucham.
- Wilczku, kochany, potrafisz wyczuć to ziarenko? Powiedz, że możesz!
- Proszę posłuchać, Sello!...
- Jeśli ktokolwiek może to ziarnko odnaleźć, to tylko Wilk.
- Tak - powiedział Wilk. - Znajdę, jeżeli ono jest tu.
- A jednak... - Bork się wahał.
- Niech pan jedzie do laboratorium.
- Pani jest naprawdę przekonana...
- Znam Wilka.
- Wobec tego ja z nim pójdę! Mam wytrzymalsze nogi.
- Ale pan nie zrozumie Wilka tak jak ja. Niech pan jedzie!
- Dobrze, jedno nie wyklucza drugiego. W ostateczności można miasto objąć kwarantanną. Niech pani nie traci ze mną kontaktu!

Na górnym tarasie budynku królował wiatr. Jego zimne masy nadlatywały gwałtownymi porywami świszcząc i pogwizdując w barierach. Sellę przeniknął dreszcz.

Nozdrza Wilka chciwie wciągały powietrze. Wiatr przynosił mu nowe zapachy, a on je odczytywał niczym kartki szybko przeglądanej książki. Tło stanowił aromat łąk i zagajników. Wśród zapachów miejskich najostrzej wydzielał się mdlący opar smarów, kwaśne wonie metalu i suche, z posmakiem szkła, emanacje polimerów. Wiatr niósł tysiące odcieni aromatów, a nos Wilka łowił je i segregował; wiatr pomagał i jednocześnie przeszkadzał. Pomagał, bo rozdmuchiwał płomień najróżnorodniejszych woni i niósł je na dziesiątki kilometrów; przeszkadzał, gdyż tworzył zawichrzenia, rwał cieniutkie niteczki słabych prądów. Na szczęście zmienił kierunek i czasami ucichał, tak że Wilk mógł obwąchać całe miasto, jakby unosząc się nad nim. Sella stała obok napięta jak struna.

Naturalnie wiedziała, że Bork podejmie wszystkie możliwe środki. Sprowadzi i wypuści na ślad psy tropiące. Niezwłocznie laboranci wyskalują na nowy zapach i uruchomią wszystkie analizatory. Ale wiedziała także, iż żaden aparat nie dorówna w czułości nozdrzom Wilka, a żaden pies nie pójdzie śladem tak, jak to robi Wilk. Wilk, który rozumie, choć może inaczej niż ludzie, cel poszukiwać. Poza tym obecnie decydowały o wszystkim godziny, a może nawet minuty.

Łowiąc podejrzane strugi zapachów. Wilk coraz to podrywał się do biegu. Wydawało się, że bawi się z niewidocznymi w ciemności motylami. Czasami jednak na dłuższą chwilę nieruchomiał.

Nagle jego nos przylgnął do pomostu. Później Wilk podskoczył do góry. Pazury zazgrzytały po betonie.

- Jest! Tu, tam...

Sella błyskawicznie wyprowadziła realot z hangaru. Aparat uniósł się nad miastem...

Ale w powietrzu nic zapachu zerwała się. Na próżno Sella rzucała realot na wszystkie strony, nabierała wysokości lub opadała w dół. Wreszcie kiedy trafili w strumień powietrza wznoszący się pionowo ku górze. Wilk ożywił się.

- Niżej, niżej...

- Niżej?

- Tak!

Sella zawahała się. Poniżej był szyb wentylacyjny. Jego obramowana światłami gardziel połyskiwała jak naszyjnik. Lecieć tam? Przepisy nie pozwalały na to. Jechać windą, a polem iść? A jeżeli później realot też będzie potrzebny? Nakręciła numer Borka.

Twarz kosmonauty, która ukazała się na ekranie, wyrażała niezadowolenie i napięcie. Na widok Selli rozchmurzyła się.

- Znaleźliście?

Sella wytłumaczyła, o co chodzi.

- Proszę się o nic nie troszczyć - powiedział szybko Bork. - Do diabła z przepisami, zaraz połączę się ze służbą patrolową. Ale szybciej, jak najszybciej!

- One są żywe?

- Nie! Może to nawet gorzej... Proszę nie wypytywać. Na wolności mogą być dwa lub nawet trzy nasiona.

- I co one mogą?...

- Czekamy na ostateczny wynik. Natychmiast zawiadomię. Wyłączam się.

Ekran zgasł.

Realot nieruchomo wisiał nad gardzielią. Wiatr napierał nań i lekko nim kołysał. Sella zagryzła wargi i patrzyła w dół. Otwór był tylko nieco szerszy od średnicy realotu.

- Trzymaj się, Wilku.

Realot poleciał kamieniem w dół. Tylko tak można było wykonać ten manewr przy bocznym wietrze. Zamigotały lampy, stropy, pasaż, czyjeś wystraszone twarze na galeriach.

- Jeszcze niżej?

- Tak.

Kondygnacja podziemna była odgradzona kratą filtracyjną. Sella włączyła syrenę i wprowadziła realot w przestrzeń kondygnacji naziemnej. Wiedziała, że pół kilometra dalej znajduje się śluza transportowa. Z minimalną szybkością leciała tuż nad chodnikiem, bezpośrednio nad głowami ludzi. Z dołu dobiegły ją krzyki.

Co oni sobie o mnie myślą?! przemknęło jej przez głowę.

Błyski lamp migocące w oczach, echo grzmiące między ścianami i wreszcie śluza!

- Czujesz?

- Tak, tak!

Wilk dyszał jak po szybkim biegu. Polowanie cieszyło go, cieszył szalony pościg za wrogiem, który w jakiś sposób zagrażał Selli.

W kondygnacji podziemnej poza arteriami transportowymi mieściły się również magazyny i urządzenia komunalne. Teraz jednak pole widzenia ograniczały ściany tunelu. Latanie tutaj było czystym szaleństwem, ale Sella wszystko sobie przemyślała. Prowadziła realot po tej stronie, po której nie mógł przebiegać ekspres biegnący z przeciwną. Powinien przejechać obok, zaledwie o dwa metry od lewego skrzydła. Było to więcej niż ryzykowne, ale Sella uznała, że zdoła jakoś uskoczyć, jeżeli dojdzie do spotkania.

Przeciągły huk z przeciwną zastał ją w tej samej chwili, kiedy ukazał się peron. Rzeczywiście zdążyła uskoczyć i zawisnąć nad platformą. Oczekujący na dworcu ludzie rozbiegli się na wszystkie strony.

Dalej nie było sensu lecieć. Sella i wilk wyskoczyli z realotu. Ludzie do niej krzyczeli, ale nie słyszała okrzyków. Tak, takiego popłochu jeszcze nikt nie wywołał..

Wilk biegł skokami i Sella ledwie nadążała za nim. Schody, pasaż, znowu schody... Sella zaczęła tracić oddech. Wilk zwolnił. Ludzie, obok których przemykali, nieruchomieli ze zdumienia. Widok był rzeczywiście malowniczy: rosły, potężny basior i biegnąca za nim drobniutka, ubrana w biel dziewczyna z rozwianymi włosami.

Kwadratowy podest. Drzwi jednej z wind rozsunęły się. Dwoma wspaniałymi susami Wilk wyprzedził Sellę. Jakaś staruszka już uniosła nogę, kiedy Wilk wskoczył do kabiny i miękkim pchnięciem zmusił kobietę do cofnięcia się.

Staruszka krzyknęła i w tym krzyku Wilk dosłyszał nutki tego samego atawistycznego lęku, który czasami budził się w nim samym jako pamięć o dalekich dniach, kiedy to wilki bały się ludzi, a ludzie bali się wilków.

- Co... ty... Wilku...

Ostry ból w piersi przeszkadzał Selli w mówieniu. Zamiast odpowiedzi Wilk postawił łapy na trzewiku kobiety.

- Wy... wy... - staruszka dławiła się ze strachu i oburzenia.

- Przepraszam... Niech pani z łaski swojej podniesie nogę... Kobieta zupełnie utraciła dar mowy i dar ruchu, wobec tego Sella sama uniosła jej stopę. W jednym z nacięć podeszwy trzewika tkwiły dwa znajome ziarenka piasku..

I to wszystko. Dokoła tłoczyli się oburzeni ludzie. Wilk na wszelki wypadek wysunął się do przodu i niedbale ziewnął, ukazując imponujący garnitur kłów.

- Wilku, spokój! Przepraszam - rzuciła Sella kobiecie i przy okazji pozostałym. Wydobyła kieszonkowy wideofon i natychmiast zapomniała o otoczeniu.

- Znaleźliśmy, znaleźliśmy! - krzyknęła, jak tylko twarz Borka ukazała się na ekranie.

- Ile? - nastąpiło pospieszne pytanie.

- Oba!

- Sello, ich może być trzy.

- Ciszej proszę! - zwróciła się do krzyczącej kobiety. - To nie do pana... Sprawa jest tak poważna?

- Poważniejsza być nie może. Przy rozmnażaniu się ziarenka pochłaniają ciepło. I to jak! Mogą zamrozić planetę. Nigdy bym nie uwierzył, że to jest możliwe. Ale fakty... Szukajcie, Sello, szukajcie! Zaraz zawiadomimy wszystkich, my... Wzywają mnie, przepraszam.

Sella nie zauważyła, jak dokoła zapadło milczenie. Ludzie słyszeli rozmowę i pospiesznie rozstępowali się przed nią. Tylko staruszka jeszcze coś mamrotała.

- No i widzisz. Wilczku - powiedziała cicho Sella. - Musimy zacząć wszystko od początku.

Kiedy wydostali się na górę, burza już się zaczęła. Migotanie błyskawic zwielokrotniało się w przezroczystych płaszczyznach ścian. Potoki wody na moment rozbłyskiwały srebrem i znikwały w ciemnościach. We wszystkich kierunkach przemykały

realoty z psami i urządzeniami analizującymi zapachy. Sella przemokła do nitki, ledwie wyszła na otwartą przestrzeń. Wilk długo krążył w miejscu, ale niczego nie wyczuł. Wsiedli do realotu. Czas płynął, ręce dziewczyny zdrętwiały od ściskania steru, a śladu ciągle nie było. Sella co chwilę łączyła się z Borkiem. Wiadomości były złe. Nigdzie niczego nie znaleziono.

- Może jednak były tylko dwa?

- Nie - odpowiedział Bork zdecydowanie. - Wszystkie ziarenka potroiły się.

- I nadal się dzielą?

- Przestały. Ale czy na długo? Na razie ani jednego wypadku czwartej generacji.

Szukajcie trzeciego ziarenka, dopóki znów się nie zaktywizują.

- Szukamy.

Wilk nie mógł sobie znaleźć miejsca w kabinie. Zgodnie z ostatnim rozporządzeniem miasto wsysało powietrze tylko przez zewnętrzne śluzy naziemne i tłoczyło je ku centrum, aby wyrzucić je potem pionowo do góry. To naruszało zwykły obieg, wewnątrz miasta buszowały huragany, ale za to wszystkie zapachy zbiegły się ku dyżurującym w górze realotom. Wilk miotał się od jednego otwartego okienka ku drugiemu, nozdrza rozszerzały mu się jak miechy. Już, już wydawało mu się, że złowił... Za każdym razem nadzieja gasła. Możliwe, że poszukiwane ziarenko trafiło do kolektora odpływowego, możliwe, że wiatr uniósł je, jeszcze przed deszczem, daleko za miasto - wszystko mogło się zdarzyć.

„Na lewo, w górę, w dół, na prawo” - Sella wykonywała komendy jak automat. Chyba po raz pierwszy w historii człowiek bezwzględnie podporządkował się Wilkowi.

Już dwukrotnie uderzał mu w nos jakiś zastanawiający zapach. Sprawdził go: nie, nie zgadza się. A jednak był to niezwykle zapach. Nie plastik, nie stal, nie drewno... Ale i nie ziarenko.

Wilk nie powiedział niczego. W kabinie świszczwał wiatr. Mózg zwierzęcia pracował na zwolnionych obrotach. Wydawało mu się, że o czymś zapomniał i starał się teraz przypomnieć to sobie. Jeszcze przez jakieś pół godziny krążyli nad miastem. Potem zapach powtórzył się.

- Na lewo.

Sella posłusznie skrzyła.

- Bliżej. W górę! Opuść. Bliżej!

- Bliżej nie można. Rozbijemy się o ścianę domu.

- Trzeba.

- Wyczułeś?

- Dziwny zapach. Jeżeli ono nie jest z ziemi, to może być dziwne dwukrotnie.

- Jaśniej, Wilku, jaśniej!

- Ziarenko piasku może być dziwne?

- Tak, tak! - Oboje krzyczeli, aby pokonać świst wiatru. - Zrozumiałam! Jeśli ziarenko namokło, to jego zapach mógł zmienić się nie do poznania, nie tak, jak w wypadku ziemskich materiałów! O to chodzi?

- Możliwe.

- Gdzie jest?

- Tam!

Budynek był opasany wąskim gzymsem. „To” znajdowało się gdzieś pośrodku. Sella gorączkowo zastanawiała się, co zrobić. Gdyby tu były okna starego typu! Ale przez szklaną ścianę nie można przedostać się na gzyms.. Trzeba było posadzić realot na wiszącym balkonie i stamtąd...

Balkon był nieco szerszy od realotu. W oczekiwaniu uderzenia Sella zmrużyła oczy. Wilk wyskoczył, gdy tylko otworzyła drzwi. Wiatr wcisnął ją w siedzenie. Wilk przeciskał się między prętami balustrady. Sella spojrzała w dół i zakręciło się jej w głowie. Ale Wilk już szedł po gzymsie tak, jakby to była deska ułożona na ziemi. Sella wstrzymała oddech.

Metr, jeszcze jeden, jeszcze i jeszcze... Wilk znieruchomiał. Błyskawice dwukrotnie oświetliły jego szeroki, mokry kark.

„Na co on czeka, na co?” - zastanawiała się Sella. Bała się krzyczeć, aby nie przestraszyć zwierzęcia.

Ułożywszy pysk na mokrym gzymsie Wilk próbował coś zrobić. Sella uchwyciła się mokrej balustrady i wychyliła do przodu. Wilk podniósł głowę. I nagle zrozumiała, że Wilk znalazł to, czego szukali. Znalazł i nie może zabrać, bo nie ma posłusznych ludzkich palców...

Sella zlodowaciała. Wilk wolno cofał się po gzymsie. Można było oczywiście wezwać ludzi z aparatami plecowymi, ale kto zareczy, że strumienie wody nie zmyją w tym czasie ziarenka? Bezpośrednio pod balkonem, u podnóża gmachu, znajdował się lej kolektora, a stamtąd już niczego nie można wydobyć.

Nos Wilka dotknął jej kolana. Słowa nie były potrzebne. Wilk żądał działania.

Sella przerzuciła nogę przez balustradę. Zachowywała się jak w gorączce, a jednocześnie była zadziwiająco spokojna. Przywarła plecami do ściany budynku. Stopy mieściły się na gzymsie. Wiedziała, że nie wolno patrzeć w dół. Patrzyła więc prosto przed siebie i widziała tylko ognistą iglicę Wieży Kosmicznej. Tryskający w niebo słup płomieni

dawał jej przynajmniej myślowe oparcie. Zrobiła krok. Plecami czuła drobne nierówności ściany. Nogi miała jak obce. W bok trącał ją wiatr.

Jeszcze jeden krok. Im silniej przyciskała się plecami do ściany, tym bardziej czuła jej dygotanie. Budynek płynnie się kołysał. Amplituda drgań była minimalna, ale naruszała nietrwałą równowagę, w której zastygła dziewczyna. Ściana domu, niczym dłoń oparta o plecy, miękko, lecz nieubłaganie odpychała ciało.

Sella zamarła z rozpostartymi rękami. Teraz kołysała się również Wieża Kosmiczna. Tak, kołysała się, a wraz z nią kołysała się Sella. Ciemność w dole przyciągała wzrok jak magnes. Sella zamknęła oczy. Zniknęło wszystko, zostało tylko miarowe drganie ściany. I boczne uderzenia wiatru. I chłód oblepiającej ciało mokrej odzieży.

Ciało z wolna chodziło w rytm uderzeń i drgań, niezależnie od świadomości odszukiwało kompensacyjne ruchy, które dawały równowagę.

Z zamkniętymi oczyma dziewczyna postąpiła kilka kroków. Wszystko byłoby proste, gdyby nie wyobraźnia. Nie warto było zamykać oczu, jeśli wyobraźnia rysowała nie tylko przepaść pod nogami, nie tylko znikomą szerokość gzymsu, lecz także upadek w dół... Wyobraźnia przejęła kontrolę nad ciałem, narzucając mu swój gorączkowy rytm. Sella zadygotała. Zaczęła się kołysać, tracić równowagę, dławić z przerażenia.

Ostre zęby zacisnęły się jej na łydce. Sella westchnęła z ulgą. Widziadła zniknęły. Noga tkwiła w paszczy Wilka jak w nieruchomym uchwycie. Osłabłe ciało znalazło nieoczekiwanie pewny punkt oparcia.

Minęło kilka sekund. Dziewczyna nie zdecydowała się na otwarcie oczu. Odpoczywała po strachu narzuconym jej przez grę wyobraźni. Zęby Wilka niezawodnie utrzymywały ją nad przepaścią. Dopiero teraz Sella zrozumiała cały bezmiar swojego szaleństwa i zadufania, które pchnęło ją na gzyms. Męstwo i zdecydowanie nie wystarcza: tu potrzebne było doświadczenie. Już by leżała na dole, gdyby nie podpora, którą dał jej Wilk. Gdyby nie poczucie realności, które jej przywrócił.

Twardy nacisk zębów odebrała jak rozkaz. Przystawiła jedną nogę, podciągnęła do niej drugą. Nie trzeba było o niczym myśleć, nie trzeba było niczego czuć, należało poruszać się z zamkniętymi oczami, podporządkowując się komendom zwierzęcia. Czysto mechaniczne działanie ubezpieczone obejmującym łydkę zaciskiem. Oczu nadal nie otwierała, aby nie spłoszyć błogiego spokoju. Ciało samo znajdowało równowagę, bo rozum przestał w tym przeszkadzać.

Wreszcie lekkie ugryzienie powiedziało jej: „Stop!” Zaczynało się najtrudniejsze. Trzeba było otworzyć oczy i spojrzeć w dół...



Błyskawice nieustannie rozświetlały niebo, ale Sella widziała tylko to, co chciała widzieć: szorstką, chłostaną ulewą powierzchnię gzymsu. Fosforyczne światło upodobiło ją do księżycowej równiny. Za skrajem tej równiny przyczaiła się ciemność.

Selli wydawało się, że widzi ziarenko, ale nie była tego pewna. Trzeba było pochylić się. Wiatr zmienił kierunek i dmuchał teraz w pierś. Zjawiała się jeszcze jedna niepewna podpora.

Dziewczyna zgięła kolano i przeniosła nań ciężar ciała. Kamienna równina wyolbrzymiała. Ale kiedy Sella pochyliła się, w pole widzenia wtargnęła roziskrzona ogniami przepaść.

Nie wywarło to na nią takiego wrażenia, jakiego się lękała. Świadomość, zogniskowana na jednym, jedynym celu, wytrzymała. Jedyne gdzieś w głębi duszy drgnął poprzedni strach.

Teraz Sella dokładnie widziała ziarenko. Leżało w pobliżu krawędzi i lekko drgało pod uderzeniami padających kropeł. Mogło tak pewnie leżeć bardzo długo, ale równie dobrze mogło stoczyć się za chwilę.

Przez jakiś czas nie było błyskawic. Potem zapłonęło od razu kilka. Ziarenko rozbłysło jak brylant. Sella szybko wyciągnęła rękę.

Kiedy wrócili na balkon, Sella oparła się plecami o ścianę. Podłoga słabo wirowała. Ręka dziewczyny leżała na karku Wilka i Sella czuła, jak stopniowo uspokaja się urywany oddech zwierzęcia, którego wyobraźni były dostępne jej ostatnie przeżycia. Obojgu jednakowo łomotały serca. W dole leżało omywane deszczem miasto - ich miasto. Kojąco postukiwały krople deszczu. Podłoga wirowała coraz wolniej, wreszcie znieruchomiała.

## Miejsce w pamięci

- To pan jest dyrektorem Memoriału?

Podniosłem głowę i ujrzałem człowieka, który był tak stary, że wydawał się płaski. Niemnący garnitur obwisł na nim fałdami i kiedy starzec poruszał się, ubranie szło jakoś tak, w ślad za ciałem, jakby zastanawiając się, czy nie obwieścić o swojej autonomii. - Do usług! Proszę, może pan spocznie. - Przysunąłem mu fotel. Tamten usiadł, zginając się pod kątem prostym.

Przez jakieś dwie minuty stary przyglądał mi się w milczeniu. Miał maleńkie oczy, zapadnięte pod rzadkimi, siwymi brwiami, oczy o tak niewyraźnym, mysim kolorze, że aż opadły mnie jakieś idiotyczne przeczucia.

- Znaczy, rozmawiam z dyrektorem? - odezwał się, upewniając. - Muszę zwrócić pańską uwagę na fakt, że w znajdującej się pod pańską pieczęcią instytucji dzieją się rzeczy skandaliczne.

Zrobił przerwę, jakby w oczekiwaniu na konieczną z mojej strony reakcję. Przysłuchiwałem się jakby nigdy nic. - Tak więc - jego głos zrobił się skrzekliwy - wasze centrum memorialne zwróciło się do mnie z prośbą o przedyktowanie wspomnień. Odniosłem się do waszej prośby z pełną odpowiedzialnością, doceniam bowiem duże znaczenie wychowawcze, jakie przedstawia doświadczenie starszego pokolenia, jak również wartość życiowych obserwacji i wniosków, jakie nagromadziliśmy.

Już w piątej minucie jego monologu wykryłem w krześle pode mną twardość, których nigdy wcześniej nie zauważyłem. Miałem w ogóle ochotę przenieść wzrok gdzieś za okno, gdzie szybowały ptaki. - ...znaczenie centrum memorialnego polega na tym, że to ono właśnie przejmuje nasze doświadczenia, które... Każdy człowiek ma prawo, którego nie można lekceważyć bez ryzyka przyniesienia uszczerbku całemu społeczeństwu. I dlatego pracownicy Memoriału i kierowane przez nich maszyny powinni - i są zobowiązani - odnosić się z całą odpowiedzialnością...

Pokornie przytakiwałem mu. Dyskusowanie z nim wyraźnie nie miało sensu. Centrum memorialne było w istocie wielkim osiągnięciem cybernetyki, ale w żadnym przypadku nie byłoby to „pełny zbiór numerów” - wszystkich i każdego z osobna. („Memuarów” - tak wyraził się jeden z moich gości, w rodzaju tego tu.)

Tak, każdy człowiek, bez względu na wiek, po podłączeniu się do naszego kanału może opowiedzieć swoje życie ze wszystkimi najdrobniejszymi, bliskimi sercu drobiazgami (tajemnicę autorstwa gwarantuje prawo). Do starych ludzi zwracamy się osobno - prosimy,

przekonujemy ich, namawiamy, jeśli nie chcą sami skorzystać z naszych maszyn. Miliony losów, miliony niepowtarzalnych postępów, drgnień duszy, przeblysków myśli - wszystko, co osobiste, co zniknęło wraz ze śmiercią teraz jest przechowywane, zbierane, żyje wiecznie. I dla tego bogactwa nie ma ceny. Nieważne, że we wspomnieniach prawdę zastępuje czasem wymysł lub ubarwia ją niekiedy wyobraźnia: istotne jest i to, co było, i to, co zostało wymyślone - przecież to również jest życie! Trzeba jedynie nie mylić jednego z drugim - po to właśnie istnieją specjalne układy filtrów, przeznaczone do sortowania i oceny. To wszystko dla ciebie - socjologu, psychologa, pedagoga, historyku - te miliony bezimiennych, wiarygodnych zapisków, wszystko, co pomyślał, co poczuł człowiek, jak postąpił w takiej czy innej sytuacji... Czerpcie więc, rozważajcie, uogólniajcie! Obecny rozwój nauk byłby nie do pomyślenia bez naszego Centrum - rozkwit literatury, zresztą, również. Z iloma ludźmi mógł się spotkać pisarz przeszłości? Ile tajemnic mogło złowić jego oko? Teraz były przed nim otwarte dusze tych, których już nie ma, słowa, które wypowiada się tylko raz, myśli zachowywane dla siebie, postęпки o niepowtarzalnym obliczu...

#### **Czymże jednak zawiniliśmy wobec tego starca**

- ... wychodząc z tego, co powiedziałem, postanowiłem stwierdzić, ile komórek pamięci zajęły moje wspomnienia. I co się okazało? Interesuje to pana?

Miarowy głos starca nasilił się. Pojawilo się w nim coś żelazo-betonowego, jakieś niewzruszone przekonanie o swojej racji. Racji i prawie. Opadło ze mnie od razu całe roztargnienie. - Otóż - w jego wzroku pojawilo się cień podejrzliwości - wydał się nader szpetny fakt. Bardzo nieprzyjemny fakt. Służba Informacyjna wydała mi zaświadczenie, z którego wynika, że na moje memuary przydzielono... - zatrzymał się na sekundę - zero komórek!

Odczekał, abym mógł sobie uświadomić wagę faktu, i przemówił z zauważalnym już oburzeniem - Zero komórek! Słyszysz pan? To znaczy: nic! Jak mogło do tego dojść? Jak mam to rozumieć?!

Nie było tu nic do rozumienia. Wszystko stało się dla mnie od razu jasne. Rezerwa naszych memorotek jest ogromna, ale nie nieskończona. I nie możemy sobie pozwolić na zbyt. To, że maszyna niczego nie wykorzystwała z jego opowieści, mogło oznaczać tylko jedno: nie były nic warte. Brak w nich było wszystkiego, co osobiste, niepowtarzalne, świeże. Była w nich tylko szablonowa banalność, która maszyna odsiała jak śmieci. Wszystko okazało się śmieciem - wszystko było sztaampą, nie było tam ani jednej własnej myśli, ani jednego niekłamane go uczucia lub choćby nowego faktu.

Teraz trzeba się wykręcać. Szybko, ostrożnie, by nie urazić starca. - Skandal! - wykrzyknąłem, łapiąc za słuchawkę telefonu. - Ma pan rację, absolutna rację!

- Wiem o tym - powiedział z naciskiem.

Ostatnie wątpliwości rozwiały się. Ani przedtem, ani teraz tamten nie dopuszczał nawet do siebie myśli, że jego wspomnienie to nikomu niepotrzebny zbiór ogólników. Oburzała go tylko niesprawiedliwa omyłka, z powodu której ludzkość mogła zostać pozbawiona jego bezcennych wspomnień. Tylko to! Szczęśliwy biedak!...

Udałem, że sprawdzam i wyjaśniam to, co nie wymagało żadnych wyjaśnień, a on tymczasem przeszedł na ton patetyczny - Każde uczciwe i przeżyte z pełną odpowiedzialnością - choćby i skromnie - życie godne jest poważania i pamięci. Nie ja tak twierdzę, tak utrzymuje społeczeństwo. I gwoli rozkwitu tego społeczeństwa tacy jak ja, skromni ludzie pracy, nie szczydzili swych rak... To wszystko prawda. Nie ma nieinteresujących losów. Z każdym człowiekiem odchodzi od nas Wszechświat. Ale... Tego właśnie nie mogłem mu powiedzieć. Nie mogłem mu powiedzieć, że cała ta jego perora - a więc i sposób mylenia - to od dawna na kamień już przyswojony standard. Nie mogłem powiedzieć, że swoje życie również opowiadał z przyzwyczajenia, już cenzurując wszystko „co nieodpowiednie”, wszystko, co było choć odrobinę oryginalne. A kiedyś to w nim przecież było, na pewno kiedyś było jego pamięć mogła kiedyś przechowywać coś niepowtarzalnego... Ale teraz bezsensowne byłoby już dobijanie się do niej, wywoływanie... Wszystko to zasklepienie, zapieczętowanie - zginęło. - Tak właśnie jest: omyłka! - wykrzyknąłem, kładąc słuchawkę. - Zbitka, drobna niesprawność techniczna, które, niestety, od czasu do czasu zdarza się jeszcze. Bardzo, doprawdy bardzo pana przepraszamy, podejmiemy wszelkie kroki...

- Będziecie powtórnie zapisywać? - Oczywiście! Bezzwłocznie, jeśli oczywiście pan...

- Bezwarunkowo. Jest to, rozumie się, związane z nową stratą czasu i sił, które z racji waszego niedbalstwa musiałem... Milczałem, odgrywając smutek i skrucę Trudne to było - ostatecznie nienajlepszy ze mnie aktor. Zresztą to wstrętne, ohydne tak kłamać... Ale nie miałem innego wyjścia. Prawda oburzyłaby go, znieważyla, nie uwierzyłby w nią, uznał za niechęć, może potwarz. A gdyby tak uwierzył... Nie, tylko nie to! Przejrzeć nagle pod koniec życia? Kiedy wszystko jest już dokonane, nieodwracalne? Przekonać się, że myślało się, czuło według szablonu, że nie dało się ludziom niczego od siebie a być może, nawet gorzej: przeszkadzało się im jak przestarzały paragraf? Nie, nie! Po co rzucać cień no ostatnie starcze lata? Na szczęście przejrzenie mu nie groziło. Po zbesztaniu mnie wstał, ja za nim - aby go

odprowadzić. Lecz raptem zatrzymał się pośrodku dywanu i szeroko rozstawiwszy proste nogi, znów przemówił. Słuchałem, czując, jak tężeją mięśnie twarzy.

Najtrudniejsze było dopiero przede mną. Musiałem wymyślić, jak go omamię, kiedy znów skontroluje (a skontroluje na pewno), ile komórek pamięci zajęły jego wspomnienia. Nie wiem, co bym dał, by komórki się zapełniły. Ale tak się nie stanie. Zero. Znów będzie zero. Bo maszyna już za pierwszym razem zrobiła, wszystko, co mogła. A może niemal. Ona nie zapisuje - tak po prostu - każdej opowieści. Jak błyskotliwy reporter zdolna jest nakłonić do rozmowności najbardziej nawet niechętnego rozmówcę. I jeśli ze starca nie udało się jej nic wydobyć, nawet krztyny czegoś pożytecznego - to oznaczało to, że sprawa jest beznadziejna.

- Byłem współczesnym Gagarina! oznajmił, mi, stojąc w drzwiach. - Pamiętam wszystko jak dziś! Byłem współczesnym wielkich przedsięwzięć! Byłem obecny... Byłem...

Tak. Był.

Kiedy zamknęły się wreszcie za nim drzwi, opadłem wycieńczony na fotel. Zastanowiłem się, czy kiedy nadejdzie moja kolej na opowiadanie życia, zdecyduję się sprawdzić, ile na nią wypadło komórek? Nie. Nigdy.

## Naprawa elektronów

Nie ma nic bardziej niezmiennego niż galaktyczna monotonia i dlatego wyruszając ku gwiazdom ludzie rzadko im się przyglądają. Ot, nudne tło. Albo przedmiot badań. I kiedy Suchow spojrzawszy po długiej przerwie na ekran monitora zobaczył świecący wśród gwiazd napis „NAPRAWA ELEKTRONÓW”, z jego krtani wyrwał się tylko krótki bulgot.

- Mówiłeś coś? - spytał z roztargnieniem pochylony nad pulpitem Tart.

Zamiast odpowiedzi Suchow pokazał palcem gdzieś na lewo od Betelgeuzy. Tart wreszcie podniósł głowę i z ociąganiem spojrzął na monitor. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, machnął ręką, jakby chciał powiedzieć „A, daj spokój!” i to przekonało Suchowa, że nie tylko on ma omamy. W poprzek Mlecznej Drogi, prosto na kursie płonął bezsensowny, niemożliwy, absolutnie idiotyczny napis „NAPRAWA ELEKTRONÓW”.

Nie czegoś tam, elektronów.

- Uszanowanie! - Mruknął Tart razem z fotelem odjeżdżając w kąt. - Zgiń, przepadnij! Zaklinam na dwumian Newtona!

Szyderczy napis ani drgnął.

- Co robimy? - spytał Suchow, kiedy pośpiesznie zapytany cybermózg potwierdził, że faktycznie prosto na kursie znajduje się zaproszenie do naprawy elektronów.

- Mamusiu kochana! Za późno zmienić kurs i w ogóle... Ty coś z tego rozumiesz?

Niestety, w głowie Suchowa panowała pustka jak w ograbionej piramidzie. Płomienny napis szybko rósł w oczach, ale nie stawał się od tego bardziej zrozumiały. Raczej wprost przeciwnie. Detektory twierdziły, że przed gwiazdolotem nie ma nic prócz najczystszej próżni. Oczy tymczasem widziały wyraźnie niedwuznaczną cyrylicą wypisane litery i cybermózg potwierdzał, że to nie złudzenie optyczne. Taki sobie neon na dwa parseki. Naprawa, uważacie, elektronów. A może jeszcze smarowanie orbit? Remont rozregulowanych atomów? Produkcja księżyców z zielonego sera...?

Ogniste litery zdawały się zajmować już cały kosmos. W ich świetle blakły gwiazdy. I chociaż dziób statku mierzył prosto w literę „T”, hamować albo zmienić kurs było za późno, zresztą i głupio..

- Oj, nadziejemy się - szepnął Tart.

I nadziali się. Najbliższe litery idiotycznego „neonu” zatrzepotały jak flagi na wietrze, nóżka „T” uniosła się wdzięcznie i statek przemknąwszy pod nią wyhamował na miejscu. Właściwie został wyhamowany. Przyrządy pokazały natychmiastowy spadek prędkości do zera, a Tart i Suchow nawet nie mieli rozbitych nosów, choć zgodnie ze wszystkimi prawami fizyki po ich ciałach, tak zresztą jak i po całym statku, powinno zostać tylko wspomnienie.

- Nieźle - jęknął Tart. - Przyjechaliśmy, można powiedzieć. Pytanie tylko dokąd?

- Tam, dokąd zmierzaliście - odezwał się łagodny męski głos. - Czy macie coś pilnego? Tak się rozpędziliście, że musieliśmy was odrobinę przyhamować.

- Kto to „my” - rozglądając się nieprzytomnie spytał Tart.

- Brygada remontowa, oczywiście. Przecież wasze elektrony wymagają naprawy, czy nie tak? O, tak, widzę, nawet bardzo.

Jęk, który wyrwał się z piersi Tarta można było chyba usłyszeć w sąsiedniej galaktyce.

- Gdzie jesteście?

- Na zewnątrz, rzecz jasna. Firma „Intergalaktoserwis” wita was serdecznie.

Suchow i Tart wytrzeszczając oczy gapili się w ekran, na którym nie było nic prócz gwiazd, czerni i wciąż tego samego napisu tylko oglądanego od drugiej strony. Może zresztą dostrzegli jakieś niejasne, przesłaniające nieco gwiazdy cienie, ale nic więcej.

Tart potrząsnął głową.

- A wiec brygada remontowa... I znacie język rosyjski...

- Każdy, który okaże się potrzebny dla udzielenia pomocy. Supercywilizacja, tak, oczywiście...

- A te, jak je tam - Tart palcami zatoczył kółko - elektrony... naprawiacie?

- Naprawiamy - ochoczo odezwał się Głos. - Z gwarancją na milion lat.

- Ale przecież elektrony... wszystkie są jednakowe...

- Kto wam to powiedział? - zdziwił się Głos. - A, rozumiem, żart! Ha, ha, ha... A to dobre, jednakowe! Nieczęsto się spotyka tak subtelny dowcip. Ale jeśli mówić poważnie, to radziłbym zgłosić do swoich producentów reklamacje.

- Naprawdę?

- Tak. Co trzynasty elektron macie uszkodzony. W dodatku nukleacja nieprecyzyjna.

- I nukleacja też? A jak nam nie uwierzą?

- Powołajcie się na nas w reklamacji. Damy wam protokół przeglądu. Chciałbym zobaczyć cywilizację, która podałaby w wątpliwość... Brakoróbstwo należy zwalczać!

- Taak - zdołał tylko wydusić z siebie Tart, - Brakoróbstwo, rzecz jasna...

- O to chodzi! Dziwne, że w ogóle mogliście się poruszać z takimi entropijnymi nedoróbkami. No nic, zaraz wszystko naprawimy.

- I nas też potraficie naprawić?

- Nie obawiajcie się, już naprawiamy.

- Jak to? - Tart rzucił się jak ryba na haczyku. - Co to znaczy. My nie...

- Tak, tak, rozumiem, rzeczywiście trochę się guzdrzemy, ale już się robi, zapewniam was, że opóźnień nie będzie. Jeszcze jedna czynność i proszę, wszystko gotowe. Możecie sprawdzić.

Tart otworzył usta, żeby spytać, jakim sposobem i co mianowicie mają sprawdzić, kiedy nagle zrozumiał, że nie musi pytać ani sprawdzać. Suchow też zrozumiał. Spojrzeli na siebie zdumieni. Czy dotąd mieli wzrok? Czy w ogóle żyli? Wszystko jakby uwolniło się od warstwy mułu. Ich oczy widziały teraz setki nowych szczegółów i odcieni. Odczucia uległy zaostreniu i przyspieszeniu, ciało było lekkie jak puch i pulsowała w nim wspaniała, młoda, nie podlegająca entropii krew. Gwiazdny blask Galaktyki zmienił się nie do poznania, był wspaniały. Suchow zamknął oczy. „Śpię i mam piękny sen” - pomyślał.

Tak, ich poprzednie życie było tylko cieniem prawdziwego, autentycznego życia..

Statek też uległ nie mniejszej przemianie, wystarczyło spojrzeć na dane ekranów..

Tart poczuł przypływ euforii.

- To rozumiem! - krzyknął zachwycony - To ci zuchy! To się nazywa robota! Nigdy bym nie uwierzył! No, chłopcy, kimkolwiek jesteście, dziękujemy!

- Nie ma za co, spełniamy tylko obowiązek automatów naprawczych. Szczęśliwej drogi. Należy się za remont osiemnaście kredytów.

- Osiem...Jak to?

Każdy pewnie choć raz widział, jak wędnie przekłuty balonik. To właśnie stało się z twarzą Tarta.

- Osiemnaście czego? - spytał drewnianym głosem.

- Osiemnaście zwyczajnych między galaktycznych kredytów - uprzejmie wyjaśnił Głos i jakby stłumił śmiech.

- Poczekajcie! - krzyknął Tart. - My przecież o nic nie prosiliśmy! Wy sami! Jakie kredyty?! Zaszło nieporozumienie!

- Nieporozumienie? - spoważniał Głos. - Przepraszam, jakie i gdzie? Do punktu napraw przylatuje się po to, żeby dokonać naprawy, tak? Tak. Przylecieliście i my was naprawiliśmy, tak? Tak. A może macie pretensje do jakości usługi?

- Nie... - zgnębionym głosem powiedział Tart. - Nie.

- W takim razie trzeba płacić.

- Kredytami?

- Kredytami:

Tart zapatrzył się na Suchowa, Suchow na niego.

- Co robimy? - świszczącym szeptem spytał Tart.



Suchow bezradnie rozłożył ręce.

- Wpadliśmy. Trzeba płacić.

- Czym? Masz choćby mgliste pojecie, jak wyglądają te kredyty?

- Może spytać?

- I wyjść na galaktycznych ciemniaków i żebraków? Poczekaj, mam pewien pomysł.

Tart uroczyście odkaszał.

- Posłuchajcie, my się tu przekonsultowaliśmy... Czy możecie przywrócić wszystko tak, jak było? Pozamieniać wszystkie te wasze antyentropijne elektrony na zwykłe?

Rozległ się dźwięk przypominający ni to potężne chrząknięcie, ni to szczerk zardzewiałej zasuwki. Suchow i Tart drgnęli.

- Oczywiście możemy - odezwał się po małej chwili. - Ale trzeba przyznać, że z tak dziwnym żądaniem nigdy się nie zetknęliśmy. Jednak jeżeli nalegacie...

- Tak, tak.

- ... będzie to was kosztować następne osiemnaście kredytów. Czy zaczynać?

- Nie!!!

Tart bezwładnie opadł na fotel, który przyjął go bardzo miękko. Widocznie i w nim naprawiono elektrony.

- Bardzo przepraszam - wtrącił się pośpiesznie Suchow. - Powiedzmy, że ktoś wybrał się w kosmos... hm... na spacer. I nie wziął ze sobą kredytów. A statek wymagał remontu. Co wtedy?

- To się nie zdarza.

- Co się nie zdarza? Statki się nie psują? Odmawiacie naprawy?

- Nie, po prostu wszyscy mają kredyty. Bez nich nie wychodzi się w kosmos.

- Ale powiedzmy czysto teoretycznie...

- Teoretycznie to też niemożliwe. Takie jest prawo.

„Nie, to jednak sen” - pomyślał ze znużeniem Suchow. „Tylko tym razem koszmar. Supercywilizacja! Pieniądze! Ani kroku bez forsy! Co robić, żeby się czym prędzej obudzić?”

Suchow chciał się nawet uszczypnąć, ale wiedział, że to nic nie zmieni.

- Dobrze, jeszcze jedno czysto teoretyczne pytanie. Przypuśćmy, że ktoś nie płaci tych kredytów. Odmawia. Co wtedy?

- Prosta sprawa. Taki osobnik przestaje istnieć.

- Przestaje ist...

- Natychmiast.

- Żadnych odwołań, apelacji?

- A jakie tu mogą być odwołania? Do kogo? Bez sensu.

Suchow bezradnie opuścił ręce. Głupiej nie można... Ani kroku bez forszy. A kto nie zapłaci - śmierć. A na supercywilizacje, która takie prawo ustanowiła, rzeczywiście nie ma się komu poskarżyć!

- Ale przecież to potworne! - wyrwało się Suchowowi.

- Koszmarne - powiedział Głos.

- Nieludzkie, barbarzyńskie!

- W pełni się zgadzam. Ale co robić. Dura lex, sed lex. Nie my ustanowiliśmy prawa.

Nowe, bez jednego uszkodzonego elektronu serce Suchowa ścisnęło się boleśnie. Koniec, pułapka zamknięta. Prosić, błagać, oburzać się?

- Tak? - Tart podskoczył z zapalem. - Jesteście automatami naprawczymi, czy dobrze słyszałem?

- Bardzo dobrze.

- W porządku. Czy mogę porozumieć się z waszymi przełożonymi?

- Naturalnie. Znajdujemy się co prawda na uboczu i na odpowiedź trzeba będzie nieco poczekać.

- Jak długo

- Ze dwieście lat.

Tart gwizdnął pod nosem.

- A złoto, brylanty, czy nie można czymś zastąpić tych kredytów?

- Ależ wy macie poczucie humoru!

- Może jest jakaś inna forma zapłaty? Księżycami albo sedesami?

- Ha, ha, ha - zaniósł się śmiechem Głos. - Ha, ha, ha, nie wytrzymam... Macie takie subtelne i niepowtarzalne poczucie humoru, że nie mogę już utrzymać powagi. Znakomicie i to z jaką powagą! Cieszę się, że poznałem waszą cywilizację. Doprawdy, jeżeli wszyscy jesteście tacy, to macie pewne pierwsze miejsce w międzygalaktycznym konkursie humoru.

Twarz Tarta nalała się krwią.

- Ach tak! - wykrztusił z wściekłością. - Na międzygalaktycznym konkursie humoru... Wobec tego jeszcze jeden, ostatni żart. Co się stanie? wami i z waszym zakładem, kiedy wybuchnie nasz anihilator

- Zginiemy.

- To znakomicie.

Tart spojrział na Suchowa. Ten w przygnębieniu kiwnął głową.

„Nie ma wyboru” - mówiło jego spojrzenie. „Działaj!”

Tart podszedł do pulpitu i wcisnął kilka klawiszów.

- Posłuchajcie, wy tam, supercywilizacja... - powiedział bezdźwięcznym głosem. - My, ludzie, dopiero niedawno wyszliśmy w kosmos, ale już dawno skończyliśmy z burżuazyjną moralnością, jej barbarzyńskimi prawami i finansowymi krwiopijcami. Nie mamy pojęcia o żadnych waszych kredytach, ale ginąć o tak, też nie mamy zamiaru. Nie z nami takie numery! My mamy swoją dumę... Plujemy na wasze idiotyczne prawa! Ludzie, zapamiętajcie to sobie, albo wysadzimy w powietrze - i was, i siebie!

- Ha, ha...

- Zamknijcie się, to nie są żarty - Tart szybko wcisnął kilka guzików. - Jeszcze jeden ruch mojego palca i...

Śmiech ucichł.

- Jak to? - spytał Głos zaniepokojony. - Wierc to nie są żarty? Chcecie... Ale dlaczego?

- Puszczacie nas, czy nie? Liczę do trzech. Raz...

- Przecież was nie trzymamy! Lećcie, dokąd chcecie! Ale i tak musicie zginąć.

- Czy to groźba?

- Jaka tam groźba... - Głos posmutniał. - To prawo. Każdy kto odmawia spłaty długu moralnego, przestaje istnieć jako istota rozumna.

- Wariuje? - Uśmiechnął się sarkastycznie Tart, choć było mu nie do śmiechu.

- Coś w tym rodzaju, tak jak wy teraz... To straszne, to bezmyślne! Lećcie, lećcie i to jak najprędzej. To nie do wytrzymania!

- I nic nam nie zrobicie? Nie wierze.

- Ależ my rzeczywiście nic wam nie zrobimy! Czy można ograniczać czyjąś wolną wole? To byłoby wbrew wszystkim prawom.

Palec Tarta zawisł nad przyciskiem.

- Zaczekajcie! - krzyknął Suchow. - Ostatnie pytanie. Jak wyglądają te wasze przeklęte kredyty?

- Nie wiem. Kto może z góry wiedzieć, jak będzie wyglądać dobro, którym ludzie odpowiadają na dobro.

- To znaczy, że te wasze kredyty to...

- No tak, pomoc nieznanemu w potrzebie. Usługa. Przyjaźń i współczucie, Każda forma dobra. Na tym opiera się świat. Nawiasem mówiąc wasz dług wynosi tylko siedemnaście kredytów. Te wasze wypowiedzi, które uznaliśmy za żarty, dostarczyły nam kilku przyjemnych chwil i...

Suchowowi krew uderzyła do twarzy.

- Przecież jesteście automatami! - zawołał. - Wasze przyjemności...

- Czy to znaczy, że nie mamy potrzeb duchowych? - powiedział głos obrażonym tonem. - I czy moralność nie jest jednakowa dla wszystkich?

Suchow chwycił się za twarz, jakby mu ktoś rzeczywiście wymierzył policzek. Tart wyglądał niewiele lepiej.

- A kto... - z trudem wydusił z siebie Suchow - a kto określa wielkość... e... kredytów i kontroluje ich wypłatę?

- Sumienie, rzecz jasna. A kto inny?

Tart i Suchow odważyli się spojrzeć sobie w oczy, kiedy od napisu „NAPRAWA ELEKTRONÓW” dzieliło ich już parę miliardów kilometrów, a jego płomienne litery, widocznie dla oszczędności, wyłączono. Albo płonęły teraz w jakimś innym języku.

- Przecież oni mają stuprocentową rację - ponuro stwierdził Suchow. - Kto nie opłaca za dobro dobrem, ten rzeczywiście przestaje istnieć jako istota rozumna. To jest Prawo.

- Tak - równie ponuro odpowiedział Tart. - Ale, i tak wpadliśmy.

- Czemu?

- Staliśmy się niewypłacalnymi dłużnikami. Przecież oni tyle dla nas zrobili! Do końca życia nie potrafimy się odwdzięczyć boje się, że nas zadręczy sumienie.

- Hm - bąknął Suchow. - Chyba nie. Usługi techniczne są u nich tanie. Pamiętaj: kilka chwil dobrego humoru i już jeden kredyt. Oprócz tego...

- Co?

- Czuć się przez całe życie niewypłacalnym dłużnikiem, cierpieć nieustannie wyrzuty sumienia, czy może być coś gorszego? Nie, takie okrucieństwo nie byłoby w ich stylu.

Tart pokiwał głową.

- Wszystko to prawda. A ile kredytów kary wyznaczymy sobie za nasze głupie, niegodne zachowanie?

*Przełożył Leon Owsianko*

## Reakcja Obronna

Oszałamiające, cudowne, prawie zapomniane niebo! Otworzyło się i przyjęło ich po monotonii Kosmosu, gdzie tylko gwiazdy i mrok; po długim zamknięciu znów wicher, blask obłoków, morze, stały ląd. Od bijącego w iluminatory światła przygasły lampy. Wyłączyć, jak najszybciej wyłączyć te żalosne namiastki słońca! Niech prawdziwe obmyte powietrzem światło dotrze do każdego zakamarka statku, zetrze ostatni skrawek cienia! Napływający zewsząd ludzie spoglądali jeden na drugiego z malującym się na twarzach uśmiechem niepewnej radości. Oto wychodzą z katakumb. Oto wydostają się z Kosmosu.

Poganiane ostrogami niecierpliwości wściekle terkotały express-analizatory. Jest tlen, można oddychać, jest wiatr, który owieje twarz, jest zieleń i woda, zupełnie jak w kraju. Swierdlin kątem oka zerknął do góry, tam gdzie stygła fioletowa dal opuszczonego Kosmosu, i natychmiast spuścił oczy. Nie trzeba rozpamiętywać, nie trzeba... Oto nagroda za wszystko. W dół jeden po drugim opadały automaty zwiadowcy. Pojawiły się zajmujące cały ekran hologramy obcego świata. Białe piasek na brzegu morza; uginające się pod ciężarem owoców gałązki; step, ponad którym unoszą się ptaki; wydeptana przez zwierzęta ścieżka... Wszystko takie jak na Ziemi. Prawie jak na Ziemi. Jaśniejsze niż na Ziemi.

Lawina cyfr w okienkach analizatorów. Temperatura, ciśnienie, wilgotność, promieniowanie... Aparat zachłysnął się i zamilkł: teraz sprawdzał organikę. Bakterie, trawy, wirusy, owady, spory, fitocydy, kurz, opadłe liście... Ludzie czekali. Denerwując się, niecierpliwiąc, marząc.

Minął już - jak szybko! - niedawny entuzjazm. Dookoła same zachmurzone twarze. I właśnie wtedy, jakby w odpowiedzi na nie ukrywane obawy, wszyscy usłyszeli suchy, szorstki głos:

- Nie należy spodziewać się niczego dobrego po tej planecie. Wszyscy odwrócili się. Wiadomo, Fiokin, jedyny człowiek, który i wcześniej nie wyrażał radości.

- Ty pesymisto! - napadli na mego - Nie krakałbyś na zapas! - Co? - zachnął się Fiokin, a jego usta wykrzywił grymas. - Chciałoby się pobiegać bez skafandrów? Wiatkiem pooddychać, co? Oj, chłopcy, chłopcy... Nie warto na to liczyć.

- A to niby czemu? - zapytał Swierdlin.

- Bo tak - już serio odpowiedział Fiokin. - Trzeba spodziewać się najgorszego. Człowiek nie naraża się wtedy na rozczarowanie, gdy coś nie wyjdzie. A przecież nie wyjdzie... Najprzyjemniejsza radość to niespodziewana radość. Jak widzisz, mój pesymizm daje więcej szczęścia. - Nieprawda - pokręcił głową Swierdlin. - Nieprawda. Spodziewam się

po tej planecie wszystkiego najlepszego i sprawia mi to radość. Wstyd przyznać, ale oczekuję również urzeczywistnienia swego małego skrytego marzenia. Wierzę, że znajdzie się tu ten zakątek, którego nie ma na Ziemi, a który śni mi się po nocach. Widzę go. Zagubione jezioro całe w smugach światła i cienia, delikatny piasek bosymi nogami, zgrabne, sięgające nieba drzewa, ciepło, cisza...

- To nostalgia - zauważył lekarz. Widzisz nasze jezioro pośród naszych sosen. Nawiasem mówiąc, takich miejsc na Ziemi nie brakuje. - Komarów również - dodał Fiokin. Zabrzęczał sygnet i spór został zażegnany, gdyż popłynęły informacje. O wirusach i zwierzętach, drzewach i ptakach, kwiatach i mikrobach. O wszystkim tym, co jest życiem, zjawiskiem we Wszechświecie znacznie rzadszym niż geniusz wśród ludzi. - Maski - przeszedł szept. - A więc tylko maski! Automaty przesadzały. Wprawdzie nieco inne były tutejsze związki białkowe, ale różnica byle tak minimalna, że decydowała o wszystkim: obce życie nie mogło zaszkodzić ludziom. A więc maska była niczym innym jak tylko zbędnym zabezpieczeniem, którego wkrótce będzie się można pozbyć. - No Fiokin; czemu się nie cieszysz? - zapytał ktoś. Mężczyzna zignorował pytanie i nie odezwał się słowem. Nawet jasne słońce, nie żółte tu, lecz białe, nie było w stanie zetrzeć pokrywających jego twarz cieni.

Zaczęło się lądowanie. W akompaniamencie ryku i gruchotu atmosferę przecięto kosmiczne wiertło. Wyładowania elektryczne rozbiegły się falami, strzelało nagrzane powietrze. I długo jeszcze po lądowaniu nic cichł grom.

„Siła - pomyślał Swierdlin - bierzemy tę planetę, siłą, mocą naszych gigawatów. Niczym wrogą twierdzę. Ale to nic, wszystko uspokoi się”. I rzeczywiście wszystko uspokoiło się. Opadły fale na jeziorach, uleciały zerwane przez huragan liście, znów rozchyliły swe kielichy kwiaty. Wsparty na potężnych tytanowych łapach statek stanął pośrodku wypalanej łysiny - pogorzelsko skutecznie oddzielało go od świata obcych drzew i traw.

Uniknąć tego jednak nie było można. Wymagała przecież tego instrukcja sterylizować grunt w strefie lądowania. Zamienić go w popiół. Nie dopuścić do tego, by jakiś powój oplótł łapę. Niby zbytek ostrożności (w każdym razie na tej planecie), ale w innych warunkach statek nie mógłby usiąść, stąd też w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto to zastrzeżenie było bardzo słuszne.

Dzień ustąpił miejsca wieczorowi, przeszła noc, a lokatory wciąż Niestrudzenie badały okolicę. Pustka. Wszystko, co mogło uciekać, dawno już uciekło, a to, co nie mogło, zginęło. Nic nie naruszało spokoju sztucznej pustyni. W odległości dziesiątków, setek, tysięcy kilometrów od statku, wciąż sprawdzając i jeszcze raz sprawdzając wszystko, kontynuowały

swa wachtę automaty. Kipiało tam życie; na wąsach jednego z nich jakiś pajęczek zaczął już tkać swą pajęczynę, tak jakby zwiadowca był sękatym drzewem.

Tylko rozum potrafi reagować na wtargnięcie obcych, ale rozumu tu nie było, a przyroda jednakowo przyjmuje i meteoryt, i gwiazdolot. Niekiedy wiat wiatr, a wtedy do statku docierał prócz swądu spalenizny oszałamiający zapach wspaniałych kwiatów i traw, który na razie wyczuwały tylko aparaty, bezlitośnie rozkładające go na komponenty: nieszkodliwy, nieszkodliwy... Miliardy bitów nowych informacji usunęły wreszcie ostatnią barierę. Poranna rosa pokryta pogorzelsko, wschód słońca zastał ludzi w drodze. W lesie śpiewały ptaki. Ręce jakoś tak same z siebie wyłączyły silnik wszędołaza, a ludzie ucichli i słuchali. Nad drzewami wstawało słońce, które wysyłało w zenit promień drżący niczym wbita w niebo kryształowa strzała.

- Ruszamy - powiedzie! kapitan. Nikt nie poruszy! się, więc kapitan nie nalega!. Rozpoczął się długi ekspedycyjny dzień. Wszędołaz pełził przez błękitne korzenie, rozchyłał szeleszczącą trawę, objeżdżał grząską toń blat, płoszył sześcionogie zwierzątka o kawowych zamyślonych oczach, brał pochyłości, a jedna nienaruszona dal ustępowała miejsca następnej.

Potem ludzie wyszli, stąpając niepewnie po sprężynującej podściółce z czerwonego mchu. Mieli na sobie lekkie ubrania i tylko maski oddzielały ich od wszystkiego, co było dookoła. Można było pochylić się i gołą dłonią pogłodzić nie oglądane jeszcze przez nikogo kwiaty; można było zadrzeć głowę i pozwolić przesianemu przez listowie promieniowi słonecznemu połaskotać skórę; można było położyć się na wznak; można było iść nie po prostej... Taki drobiazg, lecz jak wiele znaczy! po miliardzie kroków po prostych korytarzach! Niezwykle wydawało się nawet to, że obcasy nierównomiernie zagłębiały się w gruncie. Cóż to za wspaniałe uczucie po stale tej samej sprężystości pola na statku! Zapomnieli o rzeczach najprostszych: o tym, że powietrze może omywać ciało łaskawą falą; że chłód cienia graniczy z żarem słońca; że istnieją wyboje... Ktoś potknął się i upadł, gdyż jego nogi odwykły już od uwzględniania nierówności gruntu. Leżący na ziemi człowiek roześmiał się, a w jego ślady natychmiast poszła cała reszta. Tak trzeba - trzeba wyzbywać się niepotrzebnych już nawyków, radować się tym, czego człowiek wcześniej nie zauważał i nie docenia!.

Wszyscy jakby oszaleli, bo przecież uczucia też mogą upoić. Chmiel informacji, alkohol różnorodności, nalewka z zapachów kwiatów! Formuły ostrzegały, że tak będzie. Do diabła z formułami! Planeta jest gościnna, dostępna od bieguna do równika, a oni są młodzi; życie jest jednak piękne! Zdąży się, jeszcze się zdąży. Obserwacje mogą zaczekać, hipotezy też. To ich planeta! Jak miękko ściele się ona pod nogami; jak wspaniale kołyszą się gałązki;

jak czarodziejskie są jej dźwięki i szelesty; jak powabne są jej dale! Dla jej osiągnięcia poświęcili lata, ale to głupstwo. Będzie za to nowa Ziemia. Wraz ze wszystkimi swymi nietkniętymi oceanami, równinami, lodowcami. Postępu nie da się powstrzymać; lata podróży zamkną się w miesiącach, tygodniach, dniach... Tak było na Ziemi, tak będzie też i w Kosmosie. Wszędzie, wszędzie! Śmiało z ciebie, człowieku, stworzenie. Uparto! Nie ma dla ciebie granic, a jeżeli nawet będą, to usuniesz je. Po to przecież zostały ci dane rozum i wola. O czym myślisz, Fiokin?

...Zabawne to wszystko. A więc mamy to, czego pragnęliśmy. Niebrzydło tu. Można rzec, że jesteśmy szczęśliwi. Ale przecież i na Ziemi stawało się naszym udziałem nie mniejsze szczęście. Tylko że znacznie szybciej i bez specjalnych trudności, bez wyrzekania się na wiele lat prostych ziemskich radości, no i bez ryzyka. Przecież pójdzie o świcie na ryby i spacer po powierzchni obcej planety z punktu widzenia zadowolenia, jakie człowiek odczuwa, niczym się od siebie nie różnią. Cóż więc osiągnęliśmy?...Zwycięstwo, ty zatwardziały pesymisto. Rzecz nie w ilości, lecz jakości. W rzeczach niemożliwych, które uczyniliśmy możliwymi. Wyżej podnieśliśmy głowy, ot co. Mocniej, pewniej. Lepiej rozumiemy samych siebie. Więcej wiemy i możemy. Szczyt dla alpinisty nie jest celem samym w sobie, nawet jeżeli ten tak myśli.

Bierze się przecież nie fizyczne wyżyny, lecz duchowe. Bez tego, nie ma rozwoju, a gdzie nie ma rozwoju, tam zaczyna się ruch wstecz, do tyłu, i wkrótce zamyka się nad nami wieko trumny. Ot, chociażby ten ptak tam na niebie. On też rozumie, że-życie to ruch. Jak koziółkuje nad naszymi głowami, zatacza koła... jego upierzenie to cud: lazur i złoto. Boi się nas, a przecież przyciągamy go. Wszystko, co nieznanne, przyciąga, gdyż zwykle tam, gdzie natykamy się na coś nieznanego, czai się niebezpieczeństwo, i by przeżyć, trzeba wiedzieć. A nasz ptak najwyraźniej chce żyć...

Ptak złożył skrzydła. W słońcu błysnęły lazur i złoto, rozległ się krzyk i nim ludzie zdążyli się opamiętać, o piersi Swierdlina uderzył jeszcze trzepoczący się żywy kamyczek. Przestraszony mężczyzna strząsnął go z siebie, kamyczek upadł u jego stóp, drgnął i znieruchomiał. Oszołomieni ludzie spoglądali jeden na drugiego.

- Atakował?
- Taki mały ptaszek?
- Samobójstwo?
- Nonsens!
- W takim razie co?
- Przygotować broń!



- Po co?

- Na wszelki wypadek.

- Przecież nasze białka są diametralnie różne!

- Ostrożność nie zaszkodzi...

- Uwaga! Z tyłu! Krzak przewrócił się i z jego środka wyleciało zniekształcone prędkością ciało: błysk dezintegratora zamienił je w parę, zanim jeszcze nabrało kształtu.

- Do tyłu! - ochryplym głosem krzyknął kapitan. - Do maszyny! Kiedy schodzi lawina, człowiek ma zwykle czas odnotować te pierwsze kamienie, które odrywając się od gruntu ze złowieszczym, narastającym hukiem toczą się po zboczu. Potem nie ma już szczegółów, jest tylko spadająca masa, ogromna, wściekła w szybkości swego upadku. Tak było też i tu. Nagle pociemniało, a w chwilę potem coś runęło zewsząd, przemieszało się. Potopem lecących, biegnących, dużych i małych stworzeń ruszyła dosłownie cała planeta. Fioletowe wybuchy dezintegratorów raziły, gniotły, rwały to, co było ciałem rzucającej się w wir walki przyrody, to, czym ludzie jeszcze nie tak dawno zachwycali się, a co teraz, oszalawszy, powstało nagle przeciwko nim. Biegli, wstrząśnięci, strzelając do wszystkiego, co żywe, bojąc się i nie rozumiejąc, co się stało, że miejsce idylli stało się nagle miejscem boju. - Biosfera oszalała! - wstrzymując oddech krzyknął kapitan, gdy pancierz wszędołaza oddzielił ich od żywego potopu. - Szybko na statek! Posłusznie włączył się silnik, przylepiona do pancierza trawa została błyskawicznie zmiażdżona pierwszymi obrotami kół. - Stójcie - mówi! z trudem Swierdlin. - No stójcież! Wydaje mi się...

- Co?

- Patrzcie.

Żywa zbita masa, której nie mogły powstrzymać ani wystrzały, ani śmierć, topniała, rozlatywała się bryzgami stworzeń, które natychmiast znikwały, tak jakby to nie one tworzyły jeszcze przed chwila tę ślepa całość. Wkrótce już tylko grudy zwęglonych trupów mówiły o błyskawicznym starciu. Spokojnie świeciło słońce, a drzewa, których listowie ocalało, cicho kołysały się w strumieniach nagrzanego powietrza. Ludzie wciąż jeszcze nie mogli przyjść do siebie, gdyż nigdzie, w żadnym gwiazdnym systemie, nie zetknęli się jeszcze z czymś tak potwornie bezsensownym. - Coś mi to jednak przypomina powiedział biolog patrzący na grudy martwych ciał, na ranę wypalona w jasnej zieleni obcego świata. - Analogia jest oczywiście czysto zewnętrzną, tym niemniej... - No?

- Atak fagocytów. Napaść na wszystko, co cudzorodne...

- Nonsens - powiedział kapitan.

- Nonsens - zgodził się biolog. Jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, to nie można mówić nawet o podobieństwie. Nikt przecież nie napadał na nasze mechanizmy. Nikt nie atakował naszej rakiety... - I nie atakuje wszędołaza - dodał Swierdlin łapiąc za rączkę drzwi.

- Dlatego też o wszystkim zadecyduje proste doświadczenie.

- Dokąd?! Nie wolno!

- Pozwólcie! Skoro nikt nie napadł i nie napada na nas, dopóki znajdujemy się w tym pudełku, to znaczy, że wszystkiemu winni jesteśmy my. - My?

- Nasze białkowe podobieństwo, a jednocześnie i niepodobieństwo do tego wszystkiego, co nas otacza. To nie atak fagocytów. Organizm świadomie akceptuje metal i plastik, ale już skomplikowane białka odrzuca. - Czyżby to była reakcja nie dających się pogodzić różnic? - wytrzeszczył oczy kapitan. - Przecież biosfera nie jest organizmem! - Pomyśl nieco dziwny, ale, kto wie, może właśnie dlatego słuszny - mruknął po głębokim namyśle biolog. Biosfera rzeczywiście nie jest organizmem, lecz to wcale jeszcze nie znaczy, że nie jest ona systemem mogącym reagować jako jedna całość. Chociaż... Nie, to niemożliwe! Gdzie i kiedy biosfera zachowywała się w ten sposób? - A gdzie i kiedy była na tyle dostępna, że pozwalała nam obchodzić się bez skafandrów?

- Zachowywała się spokojnie, by tym boleśniej uderzyć? - uśmiechnął się Fiokin.

- A ktoś tu marzył o nowej Ziemi... Był niepoprawnym optymistą...

Swierdlin nie odpowiedział.

- Zgadza się na doświadczenie? - zapytał.

- Tak.

Mężczyzna wyszedł z wszędołaza, z hermetycznego pudełka, z ruchomego więzienia, i stanął pośród kwitnących traw, na tle błękitnego nieba, w ciszy leśnego światła. Był teraz sam na sam z tak bliską człowiekowi przyrodą, w głębi której krył się opór, ślepy i wściekły, gotowy zetrzeć człowieka niczym mikroba. I tym razem nie trzeba było długo czekać. - To wszystko - powiedział przygnębiony Swierdlin zatraskując drzwi, poza którymi roily się, kotłowały, tysiące stworzeń. - Tu też konieczne są skafandry.

- Potrzebna jest izolacja, by nas nie czule... No cóż, ruszamy! Wszędofaz zawrócił i oddalał się coraz szybciej, szybciej, jakby uciekając od rozczarowania...

Syczał wentylator tłoczący obrzydłe sztuczne, chemiczne powietrze. Za szkłem zniknęła coraz to inna wspaniałość obcego dnia. „Znowu zamknięcie - myślał każdy. - Znowu ciało otocze skafandra, tak jakby dookoła był lodowaty Kosmos. Życie wszędzie nas odrzuca. Bezbronne są tylko martwe światy, bo nad wejściem do każdego kosmicznego ogrodu z różnych przyczyn niezmiennie płonie jeden i ten sam napis: „Postronnym wstęp

wzbroniony!”. - Człowiek zawsze musi wszystko oswajać - powiedział Swierdlin, kiedy pojawiła się bryła gwiazdolotu. - I nie istotne, czy jest to koń, atom czy też biosfera. Postęp to nieustanne poskramianie! Ale ostatecznie najlepszym przyjacielem nie jest ten pies, który łąsi się do każdego przechodnia... I to jest właśnie najwspanialsze.

przekład: Michał Siwiec

## Stworzony, by móc latać

Tutaj, wśród stert metalowego złomu, było tak ciemno i cicho, że można się było poczuć nieswojo. Pojazdy, które niegdyś z hukiem startowały, przemierzały kosmiczne przestworza, rozżarzały kamienie dalekich planet, obecnie bezgłośnie zżerała rdza. Sterczące zewsząd belki to kadłuby dawno przeznaczonych na złom statków kosmicznych. Jeszcze wyżej, pod gwiaździstym sklepieniem. Widniały kopuły promów desantowych oraz pochylone baszty mezonatorów. Pachniało kurzem i rdzą, czasem, który zatrzymał swój bieg.

Noga o coś zawadziła i chłopiec odskoczył na bok. Natychmiast z kupy żelastwa na giętkim przegubie wysunęło się lekko połyskujące oko jakiegoś kibera. I zgodnie z niegdyś zaprogramowanym poleceniem zaczęło gapić się na chłopca.

- Precz! - cicho powiedział tamten. - Ulotnij się w tej chwili...

Oko ani myślało się ulatniać. Wykonywało to, co należało do jego obowiązków, co czyniło na wszystkich planetach: badało nieznaną obiekty i przekazywało dane o tym, co widzi, do swego, być może od dawna już nie istniejącego mózgu.

Półzycie. Wszystko to było półzyciem. Kwantowym, elektronicznym, zapomnianym, tłącym się niczym ogień w popiele.

Chłopiec nie bardzo rozumiał, co go tutaj sprowadziło. Każda zdezelowana konstrukcja techniczna nieodparcie przyciąga chłopców. A co dopiero - kosmiczna!...

Ale nie wyjaśniało to, dlaczego przyszedł tu w nocy. I dlaczego nie zapalił latarki, którą trzymał w ręku.

O miejscu tym krążyły wśród chłopców przeróżne słuchy...

Przejście zagradzały popsute kleszcze manipulatora. Chłopiec precyzyjnie przycisnął się, zrobił krok do przodu i złodowaciał z przerażenia:

w ślepych zaułku równo, tajemniczo i jasno paliła się ogromna świeca.

Z całych sił zacisnął powieki. Serce wściekle kołatało gdzieś aż pod gardłem a całe ciało ogarniała omdlewająca słabość.

Walcząc ze strachem otworzył nieco powieki. I omal nie krzyknął, gdy ujrzał czarny ogarek i okrągły, nieruchomy języczek płomienia.

Nowa fala strachu nie trwała jednak długo. A kiedy chłopiec ochłonął i uważniej przyjrzał się „świecy”, odczuł wielką ulgę, chociaż wstyd mu było do łez. Że też mógł się tak pomylić! Do zaułka zaglądał po prostu księżyc w pełni, a jego pomarańczowa tarcza zatrzymała się przypadkiem niczym na jakiejś podstawce, na sterczącej z ziemi belce, tworząc złudzenie tajemniczo palącej się świecy.

Jakby mszcząc się za poniżającą chwilę strachu chłopiec chwycił do rąk spory kawał żelaza i ze złością cisnął w obojętnie świecącą tarczę. Zniknął w ciemności i z łoskotem uderzył o jakiś metalowy przedmiot. Łoskot podchwyciło echo. Teraz nie było już żadnych złudzeń. Było to cmentarzysko, ogromne, zachwycające, zagadkowe w nocy, a jednak zwyczajne cmentarzysko starych statków i maszyn.

Chłopiec zapalił latarkę i już zupełnie uspokojony wodził światłem po ziemi, gdzie wśród zaschniętego błota poniewierały się odłamki porozbijanych przyrządów i różne dziwne przedmioty. Były na tyle intrygujące, że trudno było powstrzymać się, by nie zatrzymać czegoś dla siebie. Wkrótce kieszenie chłopca były wypchane i ciężkie.

Ale czy to było celem jego nocnej wyprawy?

Omijał jedną stertę żelastwa po drugiej, ale nie działo się nic nadzwyczajnego. Nic takiego, o czym można by później opowiedzieć kolegom. Nie opowie przecież o tym, jak się przestraszył księżycy. Albo jak natknął się na czynne oko kibera. Wielkie rzeczy - kiber!...

W oddali chłopiec zobaczył słaby błysk jakby zmatowiałego lustra. Była to kałuża z ciemnym płynem. Na wszelki wypadek dotknął bransolety miernika promieniowania. Oczywiście, że przed złomowaniem radioaktywne paliwo wypompowywano z silników. Ale istnieje przecież promieniowanie indukowane i któryś z obwodów chłodzenia mógł okazać się nieszczelny. Miernik promieniowania, mimo że był w pełnym porządku, nie przekazywał sygnału alarmowego - a więc rozlany był smar albo coś w tym rodzaju.

Szkoda! Z kilkunastu uszkodzonych statków dałoby się chyba zmontować jeden sprawny, i choć pilotowanie przed ukończeniem szesnastego roku życia jest zabronione, niemniej troszeczkę, tak, żeby nikt tego nie widział, choćby na luzie... Ale bez paliwa niepodobna o tym nawet marzyć. Zresztą, przed złomowaniem włązy do statków szczelnie zamykano.

Chłopiec podniósł latarkę do góry. Promień załamywał się na nierównościach, wyławiał z ciemności sferyczne powierzchnie, segmenty, pokryte łuską zgorzeliny, zgniecione ożebrowania, poszarpane połączenia podpór, kłęby kabli, a może powyginanych anten. Wśród dziwacznych cieni pobłyskiwały kryształki jakichś czujników. Czasem można było przeczytać na wpół starte, jakby wypalone nazwy dawnych statków i promów kosmicznych: „Astragal”, „Niezwyciężony”, „Tycho de Brahe”, „Medytator”. Wszystko to było złomem, czekającym na przetopienie.

W kolejnym ślepych zaułku chłopiec odkrył osiadłą na stercie powyginanych metalowych elementów smukłą wieżę mezonatora. Statek wysunąwszy podpory utrzymywał się na swym chwiejnym postumencie i wyglądał na całkiem sprawny. Nie było w tym zresztą

nic dziwnego: na złomowisko trafiały nie tylko popsute maszyny, ale również po prostu przestarzałe.

Chłopiec obszedł mezonator, obrzucając go wzrokiem pełnym mieszanych uczuć szacunku i litości: przecież to staruszek, dziś takie statki już nie latają.

Nagle chłopiec drgnął i omal nie wypuścił z rąk latarki. Bez żadnego powodu otworzyła się pokrywa wjazdu. Niczym na skinięcie czarodziejskiej różdżki poszybowała w dół winda. Z otwartymi ze zdziwienia ustami obserwował te dziwne wydarzenia i przez chwilę wydało mu się, że zwały zardzewiałego sprzętu są w rzeczywistości bastionami zaczarowanego zamku, gdzie wszystko tylko udaje, że śpi...

Ale chłopak zrozumiał od razu, że w tym, co się tu stało, nie ma nic niezwykłego. Przecież nie miało sensu wyłączanie wszystkich obwodów homeostatycznych. I któreś z urządzeń statku zadziało na zasadzie refleksu. Może zareagowało na promyk latarki, a może na samą obecność człowieka. Skomplikowany i dziwny refleks, ale któż zrozumie te na wpół żywe stwory.

Winda dotknęła grudy żelastwa na dole i zamarła. Nie warto było się długo zastanawiać, więc chłopiec niczym jaszczurka prześliznął się między ogromnymi odłamkami metalu. W wyobraźni widział, jak chłopcy wszystkich minionych wieków, tacy jak on niestrudzeni poszukiwacze, gratulują mu tego odważnego czynu.

Winda, gdy tylko przysiadł na fotelu, z lekkim buczeniem pomknęła w górę. Przed włazem twarz owiał podmuch nocnego wiatru. Księżyc, w trakcie gdy chłopiec rozglądał się po złomowisku i zbierał żelastwo, wzniósł się już na dobre i nabrał jasnych kolorów. Teraz jego światło srebrzyło wierzchołki wzgórz, które wyglądały niczym strome wąwozy lodowców. Widok był tak piękny, że chłopcu dech zapierało.

Tak, w nocy wyglądało tu zupełnie inaczej niż za dnia!

W śluzie, gdy tylko tam wszedł, zapaliło się światło. „Należy przeprowadzić dezynfekcję - dumnie oświadczył chłopiec. - A nuż jestem z innej planety.”

Odpowiedzi nie było. Chłopiec dotknął wewnętrznej przegrody, która rozwarła się i przepuściła go.

Korytarz był pusty i cichy. Nie wiedzieć czemu chłopiec wspiął się na palce i wstrzymał oddech. Przemógł niepokój i ruszył wzdłuż drzwi, na których zachowały się jeszcze tabliczki z nazwiskami członków załogi. Przeszedł obok komory, w której powinny były się znajdować skafandry. Leżały tam do tej pory - zapewne równie przestarzałe jak cały statek. W spektrolitowym pęcherzu hełmu odbiła się zniekształcona twarz chłopca. Przecież

to cały majątek! Ale nie to teraz zaprzętało jego uwagę. Pewnym krokiem, czując się już gospodarzem, wchodził po spiralnych schodach do góry.

Kabina sterowa, tu gdzieś powinna być kabina sterowa. Chłopiec doskonale orientował się w rozplanowaniu statków kosmicznych i nie tracił czasu na poszukiwania. Drzwi kabiny sterowej otworzył bez trudu.

Wszedł do środka i zajął fotel kapitana. Pod sufitem umieszczone były trzy lampy, ale paliła się tylko jedna. Szkiełka przyrządów pokryte były warstwą kurzu. Na najbliższej szybce nakreślił swoje imię: Kirył. Pulpit z niezliczonym mnóstwem klawiszy, przełączników, regulatorów, skal, optycznych oczek z pajęczyną mnemowykresów - z trudem można było ogarnąć wzrokiem. Chłopiec oczekiwał, że naraz przyrządy ożyją, jak ożyła winda, jak ożyło światło, ale wszystko pozostawało martwe. Cud był wyraźnie nie doprowadzony do końca.

Zwlekał jeszcze chwilę - a nuż? Potem odszukał właściwy guzik, nacisnął go, nie spodziewając się już właściwie niczego. Tymczasem na pulpicie zapalił się napis: „Do operacji gotów”.

Więc jednak cud nastąpił! Chłopiec westchnął, usiadł wygodniej w fotelu i kolejno włączył poszczególne sekcje. Niebawem światełka pokryły pulpit niczym noworoczną choinkę.

Trzeba było na tym poprzestać, nie kontynuować tej zabawy. Los i tak był łaskawy, a dalsze czynności - chłopiec wiedział o tym - mogły przynieść jedynie rozczarowanie.

Ale nie potrafił już się powstrzymać. Kto by się zresztą powstrzymał na jego miejscu? I oto ostatni klawisz został również wciśnięty. Matowa szybka rozbłysła bezlitosnym napisem: „Brak paliwa”.

Otóż to! Szczęście nigdy nie bywa całkowite.

Przez chwilę chłopiec w przygnębieniu spoglądał na pulpit. Ciało jego dosłownie tonęło w wielkim fotelu kapitana.

- Wydaję rozkaz! - krzyknął cienkim głosem. - Rozkazuję; owersan do Saturna! Nawigatorze: wykonać obliczenia!

Na oślep wybierał liczby kodu. Po chwili, przypomniawszy sobie, podłączył do obliczeń mózg cybernetyczny.

- Fałszywe dane wyjściowe - rozległ się głos.

Serce chłopca zadrżało, nie wziął pod uwagę, że mózg statku kosmicznego jest jeszcze sprawny. Zmieszał go nieoczekiwany głos rozbrzmiewający w pustych kątach kabiny pilota.

Ale szybko odzyskał śmiałość.

- Wiem - powiedział jednym tchem. - Oblicz sam, jeśli potrafisz.
- Nasz cel?
- Saturn.
- Tor lotu?
- Owersan.
- Nie mam w programie. Mogę wybrać program standardowy.
- Dobrze...

Mnemon wykresy wiły się niczym węże, tworząc trójwymiarowe sploty. Okienka wypełniły się cyframi.

- Obliczenia gotowe, proszę o sprawdzenie.
- Chłopiec - zgodnie z przyjętą rolą, niedbale skinął głową.
- Zuch z ciebie. Mianuję cię moim pomocnikiem. Jak tam z paliwem?
  - Ledwo starczy, kapitanie.

Chłopiec znów pokiwał głową, ale w tejże chwili uświadomił sobie, że zabawa przybiera niebezpieczny obrót. Przecież on wie, że to tylko zabawa. Ale czy wie o tym mózg?

- Powtórz - powiedział zatrwożony.
- Uściślam dane: rezerwa paliwa wynosi 1,02 od zakładanego przepału.
- Czy ty nie kłamiesz?
- Sprawdzę jeszcze za pomocą kontrolnego zadania. Nastąpiła pauza.
- Sprawdzenie gotowe. Wynik: uszkodzeń brak. Dane potwierdzam.

To już nie wyglądało na zabawę. Chłopiec obejrzał się w zakłopotaniu za siebie.

- A co to znaczy? - krzyknął uradowany i wskazał palcem w stronę napisu. - Czujniki wskazują, że paliwa nie ma!

Przez ułamek sekundy mózg milczał, jakby w konsternacji.

- Czujniki są popsute, kapitanie.
- Popsute?... A więc czemu nie pokazuje tego pulpit?
- Uszkodzenie w obwodzie, kapitanie. Chłopiec się rozzłościł. Za kogo mózg go uważa?

- Kłamiesz - powiedział cicho.
- Ja...

- Chwileczkę. Jak myślisz, gdzie znajdujemy się obecnie?
- Planeta Ziemia. Współrzędne heliocentryczne w danej chwili wynoszą...
- Zamknij się! Statek znajduje się na złomowisku! Zrozumiałeś? Nie ma w nim paliwa! Nigdzie nie może lecieć!



- Może - uparcie odparł mózg.

Chłopiec westchnął głęboko. To oczywiste, że mózg jest uszkodzony. Zresztą, należało się tego spodziewać.

- Na jakich trasach latałeś?

- Merkury. Lawa i słońce, burze ogniowe. Pozaplanowe poszukiwania wśród asteroidów. Natychmiastowe wykonywanie komend. Pierścienie Saturna. Odbicia lodowe, zniekształcające informację czujników...

Mózg zamilkł. Chłopiec również milczał. Cienie minionych zdarzeń wypełniły kabinę. Na ścianach drżały miraż potwornie bliskich protuberancji. Dymiły kamienne opary skał. Trwożnie dźwięczały głosy. Płynęło światło gwiazd. Z mroku i wieczności wyłaniały się pierwotne bryły. Wirowała Droga Mleczna. Gong odmierzał czas. Szemrały dalekie lodowce metanowych rzek na Saturnie. Twarz owiewał czarny wiatr przestrzeni.

Chłopiec otworzył oczy.

- Ile lat liczy statek?

- Czternaście.

- Coś podobnego! Więc jesteśmy rówieśnikami. „Jak to się dziwnie składa. On ma już czternaście lat i wszystko ma za sobą. Ja mam dopiero czternaście i wszystko mam jeszcze przed sobą”.

- Często byłeś naprawiany?

- Mózgów mojej klasy się nie naprawia. Jest to nieopłacalne pod względem ekonomicznym. Po prostu się nas wymienia i koniec.

- A ja chorowałem dwukrotnie - nie wiadomo czemu z dumą powiedział chłopiec. - Na odrę i katar.

- Byłeś naprawiany?

- Posłuchaj, przecież jestem człowiekiem.

- Ja też chciałbym nim zostać.

- Coś ty? Po co?

- Wtedy naprawiano by mnie.

- Więc wiesz, że jesteś niesprawny?

- Jestem sprawny, ale stary. To jest sprzeczne z celem mego istnienia.

- Z celem twego istnienia? Przecież jesteś maszyną. Nie możesz mieć żadnego celu.

- Mam cel. Moim celem jest latanie. Muszę latać we wszystkich okolicznościach.

- Posłuchaj! Przecież to myśmy cię tak zaprogramowali!

- A kto was zaprogramował na istnienie? Istniejecie, póki żyjecie. A ja istnieję, póki latam. A tutaj nie mam możliwości latania. To sprzeczność!

- Więc jednak rozumiesz, że znajdujesz się na złomowisku?

- Rozumiem.

- To po co kręciłeś, że masz paliwo?

- Paliwo mam.

- Znowu zaczynasz...

- Paliwo mam. Zaoszczędziłem co nieco.

- Ty?! Po co?

- Aby móc latać.

- Więc oszukiwałeś!

- Robiłem to zgodnie z moim celem istnienia.

- Istniejesz, by realizować nasze cele! Masz obowiązek wykonywania rozkazów.

- Nikt nie rozkazał mi, abym nie latał. Wynika stąd, że nikt nie odwołał mego nadrzędnego celu.

- Wobec tego ja go odwołam! Oszukać człowieka - to już za dużo! Jesteś maszyną. Narzędziem. Środkiem.

- Pewnego razu w trakcie lotu jeden człowiek powiedział do drugiego: „Czy nigdy nie zastanawiałeś się nad perspektywami humanizmu? Niewolnik - to nie człowiek, tylko rzecz. Nie ma już niewolników. Kobieta nie była równa mężczyźnie, czarny człowiek - białemu, robotnik - przedsiębiorcy. Z tym też skończono. Zwierzęta uważano za bezmyślne stworzenia. Dziś uważamy inaczej. Na kogo kolej teraz? Chyba na niego”. I człowiek wskazał na mnie. Dobrze to zapamiętałem.

Chłopiec przycichł, patrzył szeroko otwartymi oczami na głośnik, z którego dobiegał głos. Niesamowite! Przecież mózg cybernetyczny nie może być rozumem. Tak mówili dorośli, tak pisały podręczniki, to potwierdzało jego własne doświadczenie. Przecież to zwykły wzmacniacz. Wzmacnia myśl, tak jak mikroskop wzmacnia wzrok, a manipulator - rękę. Co prawda, w dalekiej przyszłości, być może, uda się skonstruować... Ale teraz?! Tutaj?! Na tym starym wraku?!

- Natychmiast wyląć resztki paliwa! - krzyknął chłopiec nie poznając swego głosu.

Odpowiedzi nie było. Ciarki przebiegły mu przez plecy. A co się stanie, jeśli... Głucha noc, pusty statek, on jest sam, wystarczy, że mózg zablokuje włącz... Czyżby...

- Paliwo wylane - obojętnie zameldował mózg.

- Czy... na prawdę wylałeś?

- Rozkaz wykonany.
- Poczekaj! Odwołuję rozkaz!
- Za późno. Rozkaz wykonany.

Chłopiec pędem wyskoczył z kabiny. Co tchu zbiegł po schodach. Przebiegł korytarzem. Przed nim została już tylko pokrywa wjazdu.

W tej chwili dał sygnał czujnik promieniowania.

Chłopiec bezradnie usiadł na podłodze.

Co też on zrobił! Taki statek... Taki statek! Można było przez długie godziny wypytywać mózg... Można było po cichu przelecieć się do...

Teraz już za późno. Pewnie co tchu pędzą tu ludzie, zaalarmowani przez system kontroli promieniowania.

Ale przecież on tego nie chciał! Chciał tylko sprawdzić, jak działa mózg.

Dureń, tu nie było nic do sprawdzania. Mózg pragnął latać, w najbardziej beznadziejnej sytuacji - latać. To ludzie uczynili, że zawsze niezłomnie dążył do celu, że był znakomitym narzędziem. Dlatego wszystko, co czynił mózg, o czym myślał, było podporządkowane jednemu celowi - latać i jeszcze raz latać... Ale własnej woli mózg nie posiadał, bo tylko konstruktor wie, po co istnieje - statek, po co istnieje mózg cybernetyczny.

## Śniegi Olimpu

W dole, w fioletowej mgle, w blaskach pomarańczowej zorzy zostało dwadzieścia kilometrów zbocza; dalej szeroka i potężna płaszczyna uchodziła stromo w górę.

Przed oczami Wukolowa i Omrina długo ciągnął się stok, tylko stok, uparte podchodzenie jakby wcale nie zbliżające do celu - tak monotonnie mroczna była droga prowadząca w niebo, na którym płonęły osamotnione gwiazdy. Dopiero postój na grani w oszałamiający sposób rozwinął przestrzeń. Wzrok tonął w otchłani, niespokojnie szukając znajomych proporcji i skal, lecz gdy w końcu je znajdował, rozum pośpiesznie korygował złudzenia wzroku. To, co z góry sprawiało wrażenie pasma nocnej mgły, było całą warstwą atmosfery, a kamienna grzęda okazywała się w rzeczywistości potężnym górskim grzbietem. Z tej pozycji pasmo zorzy wyglądało jak wprasowany w mrok barwny włos.

Panowała absolutna cisza. Słyszać było tylko dzwonienie krwi w uszach, uspokajający się wzrok zawisał nad otchłanią, ciało zdawało się tracić wagę i tylko twardość skały pod nogami przypominała świadomości o tym, że świat jest jednak materialny.

Ludzie siedzieli jak zakłęci.

- Niedługo trwało szczęście Francisa MacCombera - wyrwały się w szepcie poplątane myśli Wukolowa.

- Niedługo trwało szczęście Francisa MacCombera - jak echo odpowiedział Omrin.

Znów zapadło milczenie, wieczne w miejscu, gdzie nile istnieje wiatr. Minuty płynęły, a oni ciągle siedzieli bez ruchu.

Co znaczyły dla nich te słowa? Jaka logika przypomniała im dawne opowiadanie Hemingwaya? Cóż wspólnego miał z nimi MacComber? Tego nie potrafili wyjaśnić nawet sami sobie.

Wukolow ciągle wracał myślą do swej przeszłości, która z tego miejsca wydawała się daleka i malutka, jak obraz w odwróconej lunecie. Chłopiec, który bosymi nogami miesił ciepły, przydrożny kurz - czy to był on? Czyżby ten długowłosy młodziak, wśród takich samych szalonych gołowąsów, kłócący się o coś aż do ochrypnięcia w zadymionym pokoju - również był nim? Albo tamten sprężysty, pełen energii naukowiec na katedrze? Dziwne... Albo ta najczarniejsza noc, gdy dowiedział się, że ukochana go nie kocha, że nadzieja przepadła - czy zdarzyła się naprawdę? Czyżby ta właśnie chwila, spędzana nad bezdenną otchłanią była przedłużeniem jego przeszłości?

Tak właśnie było i Wukolow w spokojnej zadumie przeglądał ten splot życiowych okoliczności, który go tu sprowadził. Można było uznać prawią za zaprogramowane, prawie

nieuniknione i to, że kiedyś gonił na bosaka, i to, że chłopiec skończył szkołę i uniwersytet, i to, że cierpiał z powodu nieszczęśliwej miłości, a nawet to, że znalazł się na Marsie. W końcu, dlaczego by nie? Fakt, że spośród miliardów ludzi na Marsa trafiały tylko setki, ale te były tu kierowane wolą ludzkości, równie nieugiętą jak siła popychająca planety na orbitach. A w tym że on, Wukołow, znalazł się tutaj, nie było żadnej prawidłowości, przynajmniej logicznej. Stało się to raczej wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi. Ich gramoleniem się na tę górę nie kierował żaden oczywisty cel. Petrograficzne badania szczytu? Tak, to możliwe. Ale szczerze mówiąc, jest to tylko usprawiedliwienie przed samym sobą. Po prostu dał się namówić Omrinowi. Po prostu chciał pokonać tę górę i dał się przekonać, że jest to niezbędne dla nauki. Jeśli wniknąć w to głębiej, zostaje tylko chęć, szalony poryw i nic więcej. Cała reszta została wymyślona. Dlatego jest tutaj.

Co za idiotyzm, jeśli dobrze się zastanowić! Epoki mijały jedna po drugiej, a ludzie ani myśleli wspinąć się po górach. To znaczy oczywiście chodzili, i to bardzo dużo chodzili, ale tylko po to, żeby utorować drogę, wyszukać pastwiska, przeprowadzić karawanę, ukryć się przed najazdem. To wszystko zaspokajało proste, powszednie potrzeby. Ludzi interesowały przełęcze, bogate w złoto czy miedź stoki, nadające się do obserwacji terenu wierzchołki, a nie podniebne turnie. Po diabła pchać się gdzieś bez żadnej potrzeby? Gdy Petrarca zapragnął wejść na jakiś nędzny wierzchołek na pogórzcu Alp, na który wspiąć się mógł każdy, ale za pamięci miejscowych nikt tego nie zrobił, poeta czuł się nieswojo. Obawiał się prześmieszek, ale jeszcze bardziej zbijał go z pantałyku własny zamiar. Przecież w góry nikt nie pcha się bez potrzeby. A on poszedł. Kto mu podszeptał to pragnienie, bóg czy diabeł?

Alpinizm jest owocem czasu wolnego. Niech mu będzie. Wcześniej też niektórzy mieli wolny czas, na przykład starożytni Grecy, ale pisemne świadectwa nie wspominają o tym, by Sokrates, Platon czy Arystoteles pragnęli wspiąć się na Olimp, ani o tym, by wspiął się tam któryś z im współczesnych. Później, tak: gdy już wymarli bogowie.

Zacząło się to w dziewiętnastym wieku. Dziesiątki, setki, tysiące, potem miliony wspinaczy. Ruch, w porównaniu z którym wielka wędrówka ludów wcale się nie liczyła. Tak, to sport, hartowanie i szkoła męstwa. Ale czy nie jest to usprawiedliwianie po fackie nierozsądnej żądzy? Przecież góry wielu karały kalectwem i śmiercią. Wątpliwy zysk dla zdrowia i męstwa. No to co? Nie ma wyraźnej korzyści, nie ma osiągalnego celu, to co, będziemy łaźić ot, tak sobie!

On, Wukołow, też łaźił. Na Ziemi. Teraz lezie tu, na Marsie. Ot, tak sobie.

Cudowna bezmyślność...

Czas przeznaczony na wypoczynek minął. Omrin i Wukołow wstali, w milczeniu odwrócili się plecami do otchłani i równym, krótkim krokiem ruszyli w górę zbocza.

Wukołow ruszył niechętnie. Posiedzieć by jeszcze z godzinę... Ale nie ma czasu, nie - trzeba iść dalej, bez względu na to, co się spotka, na drodze. Ileż to już razy w życiu tak mu się układały sprawy.

Trwał trzeci dzień wspinaczki. Głęboko w dole światło zorzy rozjaśniło się na tyle, że wystąpiły kontury skat. Przez kontrast niebo stało się jeszcze bardziej czarne i pokryło stok jakby żalobnym cieniem. Mroczna droga wśród brył lawy robiła ponure wrażenie. Niczyja fantazja nie zdołałaby wymyślić niczego bardziej przygnębiającego niż kamienne pola pod czarnym niebem, a gdy mdłe światło słońca zaczęło rzucać cienie, Wukołow aż się wzdrygnął, zobaczywszy, jak cienie poruszają się naśladując ich ruchy. Tak mogłyby poruszać się dusze w krainie cieni i tam, oczywiście, byłby taki właśnie pejzaż.

Krok, krok, krok. Skrzyp, skrzyp, skrzyp... Podeszwy gniotły czarny, pumeksowy żużel. Dźwięk przechodził nie przez nieobecne praktycznie na tej wysokości powietrze, ale przez skafander, przenikał do ciała i zdawało się, że to niesamowicie i dziko skrzypią same stopy.

Jak na razie nie można było narzekać na trudności? Góra była dość łatwa i nie stawiała wspinaczom jakichś wyjątkowych wymagań. Godziny spędzone nad stereozdjęciami nie zostały zmarnowane: na wybranej trasie góra przypominała mocno powiększony Elbrus, tyle że bez lodowców, śniegu i kaprysów pogody. Dzień za dniem, g od zim a za godziną trwało podejście po czymś, co alpinści nazywają „oślą łączką”. Na Ziemi tak długie podejście samo przez się wysałoby z człowieka wszystkie siły na pierwszych dziesięciu kilometrach, lecz tutaj nawet w skafandrach i z całym ładunkiem ważyli o wiele mniej niż tam. Nie było też żadnych problemów z oddychaniem, gdyż skafander w każdej chwili dostarczał tyle tlenu, ile zużywały płuca.

Mimo wszystko nieskończone podejście nużyło i wkrótce po odpoczynku ciało zaczynało sprawiać wrażenie bezosobowego mechanizmu kroczącego.

Krok, krok, krok. Skrzyp, skrzyp, skrzyp...

Pokonywana przez nich sita ciężenia przygniatała ramiona, napęniając ciało kleistym zmęczeniem. Oczywiście, w rzeczywistości sprawa wyglądała odwrotnie, każdy kilometr podejścia nieuchwytnie zmniejszał ich wagę. Ale nie opuszczało ich wrażenie, że przepychają się przez ciągle gęstniejącą masę. Serce, płuca, każde włókienko mięśni pracowały na granicy możliwości, jak przy nurkowaniu na dużą głębokość. Tyle że tutaj napężenie ciągnęło się przez długie godziny i nieskończone kilometry. Ciało błagało o powrót, lecz nieubłagana

wola umysłu pędziła je wciąż wyżej i wyżej.

Teraz całe życie Wukołowa skoncentrowało się w tym nieustępliwym podchodzeniu, gdzie niczego nie dostaje się za darmo i gdzie żaden podstęp nie zdoła zmniejszyć odpowiedniej liczby kroków.

Słońce wypłynęło zza skał i ostro błysnęło, cienie zgęstniały jak na Księżycu, niebo stało się agatowo czarne, gwiazdy zniknęły. Na kanciastych głazach zamigotały iskierki miki i kwarcu.

Najwyżej kilometr od szczytu drogę przegrodziła pionowa „ściana skalna; obejście jej lub wspięcie się na nią zajęłoby zbyt wiele czasu. Między skałami znajdowało się jednak przejście. Choć nie było cienia wątpliwości, że ta wciśnięta między skały kamienna rzeka to osypisko, nie obawiali się go, spotkali już kilka podobnych. Ostrożnie wstąpili na chwiejne piargi.

Z początku wszystko szło jak należy. Niewielkie kamienne okruchy nawet nie drgnęły pod nogami i w rozświetlonym słońcem przewężeniu widzieli już bliski początek osypiska, gdy nagle kamienny potok drgnął i popłynął w dół. Przez parę sekund trwała skrzypiąca chwiejba, od której zamarły im serca, potem wszystko zamarło. Tylko zjechali trochę do tyłu.

Jednak nowa, bardzo ostrożna próba ruszenia w górę znowu wywołała groźny szmer.

Odczekawszy, aż wszystko się uspokoi, podeszli pod skałę, gdzie, logicznie rzecz biorąc, piargi powinny być mniej ruchliwe.

Piargi popłynęły jeszcze szybciej.

Krok na bok, potem do tyłu, żeby wyjść ze strumienia, potem znowu w bok i do tyłu! Wszystko na nic. Bezdźwięcznie, jak to się zdarza we śnie, z góry skakały kamyki i jeden z nich mocno uderzył w nogę. Omrina. Wszędzie natrafiali na ostrzegawcze zgrzyty gotowej ruszyć lawiny.

Na Ziemi to by ich nie przeraziło. Za plecami nie było przepaści, rozciągała się tam płaszczyna, przez którą w razie czego dałoby się przejechać na lawinie. Przy ich doświadczeniu takie „zejście” groziłoby co najwyżej siniakami i obtarciami.

Ale tu nie można było ryzykować, gdyż rozerwanie skafandra groziło czymś znacznie gorszym niż złamanie nogi. To, co przedtem uważano za przewagę, teraz zwracało się przeciw nim, po raz kolejny potwierdzając, że w górach, jak i w życiu, niczego nie dostaje się za darmo.

Poruszając się niepewnie, jak ślepcy, zbadali sytuację i stwierdzili, że jedyną nadzieję daje poruszanie się po osi potoku. W ten sposób, mimo że strącali kamienie, nie wytrącali

całości ze stanu chwiejnej równowagi. Nawet udawało się im przesuwac w góre, co prawda o centymetry, ale i to było już sukcesem!

Nie zamienili ani słowa. Rozumieli się dobrze i tak. Nie było tu o czym dyskutować, nie pomogłyby żadne obliczenia, trzeba było polegać na intuicji. Skinąwszy sobie równocześnie weszli na ten niepewny ruchomy chodnik, kamienne, pełnące w dół ruchome schody gór.

Słońce świeciło im w plecy, ale ściany zlebu odbijały zewsząd jego blask. Kamienie miały miriady iskier. Intuicyjnie wybierając najpewniejsze oparcie Wukołów stawiał stopę, ostrożnie przesuwiał na nią ciężar ciała, równie ostrożnie robił następny krok i, mimo wszystko, po którymś z kolei kroku zjeżdżał i zaczynał podchodzić po raz setny, a może tysięczny. Klimatyzator skafandra był sprawny, a mimo to pot zalewał twarz. Wukołów widział tylko ostre, błyszczące kamienie, chaos, który tworzyły pod nogami, a kątem oka dostrzegał skrzące się ściany zlebu, według których orientował się w kierunku ruchu.

Cały świat był teraz zamknięty w tym męczącym posuwaniu się naprzód. Przeszłość, terażniejszość, przyszłość. Wcześniej nie było nic, nic innego nie mogło być i później. W góre - w dół, w góre - w dół... Szelest i zgrzyt, suchy blask kamieni wokół, tak było zawsze, wiecznie był tutaj, zawsze się gramolił, ześlizgiwał, znowu lał w góre. Tylko czasem głucho męczyło rozdrażnienie przechodzące w rozpacz, że na świecie nie ma schodów pełnących w góre, że wszystko bezlitośnie ściąga w dół, jeśli człowiek resztkami sił nie wspina się na przekór wszystkiemu. Czaiła się w tym jakaś drwiąca niesprawiedliwość, która zarazem i niszczyła pewność siebie, i rozpałała upartą furję.

Nie myślał o sobie, nie myślał o szansach, tylko puls stukał w uszach jak młoteczki, tylko uwaga ogniskowała się to na bryle, na której trzeba było postawić nogę, to na podtrzymaniu znoszonego w dół towarzysza. Czasem w pole widzenia wdzierało się żalobne pasmo nieba nad głową. Ono też było częścią tego trudnego życia, jak ciężki oddech, jak walka o centymetry, jak szelest osuwających się kamieni.

Zjeżdżając w dół pchał się w góre, w góre” w góre... To trwało całą wieczność.

A potem nagle się skończyło; i leżał na twardej skale gapiąc się bezmyślnie w bezkresne niebo. Olimp był tuż i było dobrze, tylko nogi jeszcze brnęły przez strumień kamieni i serce uspokajało się powoli. Dzień odzyskał swe prawa, zdawał się ogromny, bezkresny, nieskończony przez wieki wieków.

Szczyt osiągnęli w samo południe.

Stali na nim, jakby unosząc się nad Marsem. Po lewej przestwór był tak głęboki, tak daleki, że oko chwyciło mglistą wypukłość samej planety. Stok ze swymi skałami,



piarzyskami i urwiskami opadał stromo w dół, zagłębiając się w przezroczysty błękit atmosfery. Przez ten błękit było wyraźnie widać rdzawe, zeschnięte występy dalekich gór, pomarszczone fałdy równin, zamaskowane cieniami szczeliny kanionów. Nad samą powierzchnią powietrze ciemniało jak woda w głębinie i czerwone wydmy wyglądały z góry jak zmarszczki piasku na dnie.

Nad tym wszystkim w ciemnym niebie płonęło białe słońce, oślepiające i o wiele mniejsze niż na Ziemi, lekko rozmyte po brzegach, przypominając o niewidocznej teraz koronie.

Po prawej rozdziawiała się inna otchłań - do samego dna pogrążony w cieniu lej wielkiego krateru. Z dystansu dziesiątków kilometrów widać było wyraźnie brązowe, czarne i liliowe kamienie na przeciwległym brzegu, a najmniejszy z nich mógłby wieńczyć dowolny ziemski szczyt.

Wukołow odnosił wrażenie, że obmywają go krystaliczne potoki światła kosmicznego, jako że tu wszystko było kosmiczne, jak w pierwszym dniu stworzenia świata. Powietrze wewnątrz skafandra nie zmieniło się, lecz oddychał lekko, radośnie, z rozkoszą i krew młodzieńczo pulsowała w każdej komórce ciała. A kamienna nieruchomość planety dodatkowo pobudzała tę kipiącą w nim żywotność. Kto powiedział, że człowiek nie jest wieczny, że jest skazany na tęsknotę, starość, smutek? Kto? Wukołow czuł w sobie zapas sił na wieki; kipiała w nim, przepełniała go radość.

- Nix Olimpica - wymamrotał z rozkoszą. - Śniegi Olimpijskie... a więc takie jesteście...

Rozjuszony radością odwrócił się do Omrina.

Ten stał bez ruchu. Jego melancholijna twarz była surowa i triumfująca. Jak skamieniały wpatrywał się uważnie w coś nad głową Wukołowa.

- Hej, luudzie! - ile siły w płucach wrzasnął Wukołow. - Zdobyliśmy ją! Zdobyliśmy jednak!!!

Omrin wzdrygnął się, spojrzał na Wukołowa oszołomiony, jak wyrwany ze snu. Ale na widok zachwyconego, wymachującego rękami kolegi jego spojrzenie zmiękło.

- Dodaj jeszcze, że jesteśmy pierwsi - rzucił z dziwnym uśmiechem w głosie.

Wukołow uśmiechnął się jasno, dziecinnie.

- To jasne samo przez się i nie takie ważne! - potrząsnął głową.

- A co jest ważne?

- Nic. Wszystko!

- Usiądźmy - zaproponował niespodziewanie Omrin.

Wukołow posłusznie usiadł, poderwał się, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca i znów usiadł. Omrin stał nieruchomo.

- Szczyt, co? - powiedział z zagadkową intonacją. - Szczególny szczyt - zaakcentował.  
- Śmigłowiec nie zdoła tu dotrzeć - nie ma powietrza. Dla rakiety nie starczy miejsca na lądowanie. Żeby się tu dostać, potrzebne są nogi.

- Naturalnie - wesoło zgodził się Wukołow. - W tym jest cała uroda!

- W czym?

- W tym... Przecież sam to Rozumiesz. Co za przestwór! - Machnął niedbale ręką. - Chce mi się śpiewać i śmiać. I skrzydła rosną. Tyle, że śniegu nie ma. „Śniegi Olimpijskie”, a śniegu nie ma. Bałagan, no nie? Zresztą i tak jest ładnie. Nie chce ci się pofrunąć? Tak bym sobie chętnie polatał. Zupelny irracjonalizm. „Rozkosz znajduje się w walce, na mrocznej otchłani skraju”. Dlaczego? Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- A ja przyszedłem tu po odpowiedź.

- Co za nudny pedant! - Wukołow parsknął śmiechem. - Mam dość odpowiedzi. Całe życie szukamy odpowiedzi, nie robimy nic innego. No, rozejrzyj się, rozejrzyj dokoła. Ależ potęga! Przy tym jakby niczego szczególnego tu nie było. No, wysokość, no, odległość. Powietrze w dole, planeta pod stopami. A wzroku nie można oderwać. Wszystko na maksimum, wszystko ponad maksimum - i Słońca można ręką dotknąć!

- Właśnie - poważnie powiedział Omrin. - Weszliśmy, radość cię ponosi, jesteś jak pijany i, jak słusznie zauważyłeś, chciałoby się śpiewać. A przecież radość nigdy nie przychodzi bez powodu, zawsze jest nagrodą. Ale za co tutaj?

Głos Omrina brzmiał tak, że Wukołow cały się sprężył.

- O co ci chodzić - spytał niechętnie. Ton Omrina psuł nastrój chwili.

- Nie zauważyłeś tu niczego... szczególnego?

- Szczególne?

Wukołow rozejrzał się z niedowierzaniem. Znowu, ale teraz inaczej poraziła go dzika moc przyrody, tak że nawet poczuł się zbyteczny. Wszystko tu było nadmiernie wielkie. Cała ludzkość mogłaby zejść do otchłani krateru, ustawić się w nim i nie zmieniłoby to w niczym krajobrazu. Może tylko na dnie przybyłaby szara plamka. A nawet gdyby tu było powietrze, krzyk miliardów zamarłby w przestrzeni, nie dosięgnąwszy nigdzie brzegów.

- Niczego szczególnego tu nie ma.

- Wukołow mimowolnie zniżył głos.

- A zarazem wszystko jest szczególne. Rzeczywiście! Ta góra mogłaby stać się tronem boga albo szatana, ale na szczęście wyrosliśmy już z dzieciństwa. Wspięliśmy się na

najwyższy z dostępnych nam szczytów Układu Słonecznego, no i co? Ciesz się, człowieku!

- Wspięliśmy się ryzykując wszystko - rzucił niecierpliwie Omrin. - Czy zadałeś sobie pytanie - po co?

Wukołow wzruszył ramionami, czego prawie nie było widać przez skafander, i oparł się o skałę.

- Zadałem - odparł niechętnie. - Co dalej?

- Trzeba się zastanowić. Postępowanie istot żywych, w tym i człowieka, określają dwie zasadnicze potrzeby. Pierwsza - potrzeba jedzenia i sprzyjających warunków życia, druga - potrzeba zachowania gatunku. Czy te potrzeby określają nasze działanie?

- Po diabła ci ten alfabet teorii psychogenezy? - Wukołow zrobił zdziwioną minę. - Dobry jesteś! Znalazłeś sobie czas i miejsce! Dobra, dobra, odpowiem - nie określają. Jesteś zadowolony? Czy wspomnieć też o tym, że prócz tych potrzeb bazowych...

- Są i inne. Dla istot prowadzących życie społeczne znalezienie się poza wspólnotą oznacza degenerację i śmierć. Ale jasne jest, że nie przyznało nas tu dążenie ku podobnym sobie. Zostaje ostatnia potrzeba bazowa. Ta, bez której nie można zdobyć doświadczenia i w konsekwencji przystosować się do zmieniających się warunków środowiska.

- No właśnie! - Pogratulujmy sobie, że przyciągnęła nas tu żądza poznania i skończmy z tym samobiczowaniem. Góry czekają!!!

Rozzłoszczony Omrin parsknął,

- Czy ty sam wierzysz w to, co mówisz? Żądza poznania! Z orbity można policzyć wszystkie ziarnka piasku na szczycie, a co stąd zobaczysz? Na satelitach są stacjonarne laboratoria, a co my mamy? Jakiej analizy nie można przeprowadzić z orbity? Jaka obserwacja wymaga obecności człowieka tutaj?

- Dobra, dobra - warknął przygnieciony absolutną zbędnością tych głębokich myśli Wukołow. - Zgadzam się, że wleźliśmy tu dla własnej satysfakcji. Albo, jeśli już o to idzie, to dla samopotwierdzenia; atawizm: wszystkiego trzeba dotknąć rękami. Nawet w rękawicach. I co z tego? Satysfakcja też dla ludzi, nie samym chlebem i poznaniem żyje człowiek. Nie ma sensu szukać głębokich przyczyn, tu i bez nich jest ładnie.

- Ale chciałbyś jednak znaleźć przyczynę?

- Aleś się przypiął! - rozłościł się w końcu Wukołow. - No popatrz - wskazał wokół ręką. - Przecież my pierwsi oglądamy ten widok! Jaka tu wszędzie cisza. Kosmiczny sen planety. Góry u naszych stóp wyglądają jak grzbiety pradawnych potworów. Czas sobie pouczować, przyjrzyj się, jak je poogryzał! Nie, tego nie wyrazisz słowami. Tu jest potrzebny malarz albo poeta! A ty się pchasz z analizami. Co, jak, dlaczego... Tu nie ma żadnego

problemu.

- Jest problem - matowym głosem odparł Omrin. - Tobie, drogi przyjacielu, on też nie daje spokoju. Satysfakcja, dla której ryzykujesz życie? Wariacki poryw, którego zaspokojenie daje takie szczęście? Głupota! Przyroda dobrze wylicza: i radość, i rozpacz stoją w służbie przeżycia i wystarczy w nich pogrzebać, a wywleczesz na światło dzienne potrzebę, której źródło tkwi w głębinach ewolucji życia.

- Piąta potrzeba bazowa - leżąc w góry na złamanie karku? - zjadliwie, nie kryjąc już rozdrażnienia rzucił Wukołow. - Jaka szkoda, że nauka zna tylko cztery. Możemy zrobić ogroomne odkrycie, gdy udowodnimy istnienie piątej.

- Przyszedłem tu po dowód.

Te słowa zabrzmiały tak, że Wukołow zeszytniał, gapiąc się na kolegę. Zawsze cichy Omrin zmienił się nie do poznania. Jakby urósł, wypełnił sobą przestrzeń. Z góry spoglądała na Wukołowa ciemna, namiętna, nieznana twarz fanatyka albo proroka. „Mam dość” - ze zdziwieniem, prawie ze strachem pomyślał Wukołow. - „Czy to jest ten sam człowiek?”

- Istnieje potężna potrzeba - zagrział w górze głos. - Istnieje, jest. Nie miałem nadziei, że znajdę tu taki dowód, ale szedłem tu marząc o nim...

Omrin odetchnął głęboko. Wukołow wpatrywał się w niego jak zaczarowany.

- Słuchaj! Drzewo rośnie, póki podtrzymują je korzenie, ryba dąży do zaważenia oceanu swoją ikrą, człowiek wpatruje się chciwie w niedostępne dale galaktyk. Wszystko dąży do granic swych możliwości, chce je przeskoczyć. Wzrost drzewa często wyprzedza rozwój korzeni, ryby dążąc na tarło giną na kataraktach, człowiek z własnej woli nadrywa się pracą. Ofiarnie, głupio, nawet wbrew instynktowi samozachowawczemu! Dlaczego, dlaczego ewolucja, bezlitośnie wymiatająca to, co zbędne, dopuściła do takiej rozrzutności, dlaczego nie uspokoiła, nie uregulowała tych porywów? Dlatego przecież, że to jest racjonalne, korzystne dla istnienia gatunku. Mała stawka to mała wygrana, co w warunkach krytycznych - a życie ciągle balansuje na ostrzu brzytwy! - oznacza kompletną klęskę. Neeee! Maksymalne ryzyko i maksymalny zysk - to jest zastaw i rezerwa na rozkwit. Za to właśnie, za działanie na granicy możliwości, za jej przełamanie, płaci się nam radością! Wszystko dąży do zrealizowania się, spełnienia swojego zadania, to właśnie stwarza ten niepowstrzymany, dziwaczny, bezlitosny nawet napór życia. Reguły gry są takie, że nie możesz siedzieć z założonymi rękami: to jest prawo - a jego naruszenie karane jest w najlepszym przypadku nudą, taką, że świat traci całą urodę... A góry są tu przypadkiem szczególnym, fakt że jaskrawym. Tak to wygląda!

„Więc taki jest Omrin” - westchnął w myśli Wukołow, odczuwając i ulgę przy słuchaniu tej zupełnie sensownej przemowy, i wywołane nią zdziwienie, i tryskające z Omrina jak ze źródła poczucie sukcesu.

- To ciekawe! - wykrzyknął szczerze. Ale natychmiast, kierowany ostrożnością, dodał:  
- Tyle że wyjątków jest tu więcej niż reguł...

- A jak myślałeś! - dlaczegoś ucieszył się Omrin. Nawet nie wszyscy odczuwają potrzebę zachowania gatunku. To też należy do reguł. Jednorodna, jednakowa masa jest sztywna, bezwładna, a warunki życia ciągle się zmieniają! Dziś ważniejsze jest jedno, jutro drugie, a tu powinna być milionowa różnorodność. Inaczej...

Omrin wykonał gest, którym Rzymianie przeznaczali gladiatora na śmierć.

- Uff! - głośno, jakby uwalniając się - spod ciężaru wrażenia odetchnął Wukołow. Nowe oblicze człowieka, którego znał od dawna, przerażało go i zarazem przyciągało, a jeszcze nie mógł się zorientować, jak ma się teraz do niego odnosić. - Hipoteza jest zgrabna, ale wątpliwa. Zresztą, mówiłeś coś o dowodach. Są tutaj?

- Właśnie tutaj.

- No... Jakoś niczego nie dostrzegam. Widzę, że wszedł Fobos! Taki sympatyczny, opalowy sierpik... - Wukołow na ślepo szukał odpowiedniego tonu. - Cień w kraterze się przesunął, teraz błyszczy tam coś złotego, Chyba siarka. A życia tu nie ma. I nie może być. Chyba, że my dwaj? Więcej dowodów nie widzę. Żartowałeś?

- Nie! - Omrin roześmiał się triumfalnie. - Śniegi Olimpijskie! Nie jesteśmy tu pierwsi i przed nami było tu życie.

- Gdzie?

- Rozglądaj się, poszukaj, ja też szukałem.

Podniecenie kolegi znów udzieliło się Wukołowowi. Wstał. Jego czujny, nieufny wzrok przebiegał od jednej stromizny do drugiej, zamierał kierując się to w oślepiające, to w czarne otchłanie, lecz wszędzie natrafiał tylko na zalany słonecznym blaskiem chaos, majestatyczną panoramę skal, kamienie, które od dnia swych wulkanicznych narodzin były martwe, raz i na zawsze. Zewsząd ciągnęło groźnym i dostojnym bezruchem, gdyż nawet w czasie najstraszliwszych burz, gdy cała powietrzna powłoka Marsa zmieniała się w jedno wielkie tornado, szczyt Nix Olimpica niewzruszenie unosił się nad kotłującą się piaszczystą mgłą.

- Tu nic nie ma

- Źle patrzysz - powiedział krótko Omrin. - Nie tam i nie tak.

- A gdzie i jak patrzeć?

- Najpierw zobacz myślą, potem oczami. Na Marsie są tysiące niezdojtych gór, a nas pociągnęło akurat na najwyższą. Dlaczego? Dlatego właśnie, że jest najwyższa. Ale jeśli konieczność samorealizacji przywiodła nas właśnie tu, mogła też przywieść tutaj i kogoś innego. Czy możesz wyobrazić sobie inne, lecz pozbawione choćby jednej potrzeby bazowej, istoty rozumne?

- Ale posłuchaj...

- Nie, odpowiedz.

- Dobrze. W nieskończonym kosmosie...'

- Zostaw nieskończoność w spokoju! Prawa przyrody są wspólne dla całej Galaktyki. Istoty rozumne mogą jeść nie chleb, lecz kamień, oddychać nie powietrzem, lecz ogniem, być zbudowane nie z białka, lecz z kryształu, ale powinny jeść, rozmnażać się, żyć w społeczeństwie, poznawać świat i dążyć do nieosiągalnego. To znaczy, że jeśli ktoś kiedyś przebył przestrzeń międzygwiazdową, to mając czas mógł zapragnąć wspiąć się na najwyższy - nie żaden inny! - szczyt Układu Słonecznego. Żeby po prostu stanąć na nim.

- Co za dziki pomysł!

- My jednak tu stoimy. A palnik laserowy zabraliśmy nie tylko po to, by nim wycinać stopnie w skale. Nawiasem mówiąc, miejsce na napis wybrałbyś w najwyższym punkcie. Zgadza się?

- Zgadza się - potwierdził machinalnie Wukołow.

- Więc przesuń się za występ i zobacz, co masz nad głową.

Wukołow wstał, zrobił parę kroków na nagle osłabłych nogach, popatrzył i nagle zacisnął powieki, jakby porażony oślepiającym blaskiem. Lecz w roztrzęsionej świadomości płonęły ciągle owe znaki, wycięte w skale na długo przed tym, zanim człowiek wspiął się na swoją pierwszą górę.

*Przełożył Marian Wierchoń*

## Test na rozsądek

przełożył z rosyjskiego Michał Siwiec

Peter nadal zwlekał, choć należało bez wahania wejść, obudzić Eva, jeśli ten spał, i przyznać się, że on, inżynier kosmonauta pierwszej klasy Peter Funny, ujrzał widmo. Zdarzyło się to w jednym z tych dalekich przedziałów, gdzie monotonna wibracja przypominała o bliskości anihilatorów przestrzeni - czasu. Tuż obok uwięziona była siła mogąca bez trudu roznieść w strzępy niewielką planetę, nic więc dziwnego, że w tych ciasnych, skąpo oświetlonych i wypełnionych drganiem przejściami mimo woli odczuwało się niepokój. Peter czuł się jednak nie gorzej niż zwykle.

Zapewne zdziwiłby się więc, gdyby dowiedział się, że w nim, władcy tej monstrualnej maszyny, drzemie ten sam niepokój, jaki odczuwał jego daleki przodek, gdy potęga przyrody dawała o sobie znać ogniami błyskawic czy też groźnym zapachem sunącego po śladach drapieżnika.

Właśnie kończył obchód, kiedy przykuł go do miejsca, nie do pomyślenia wręcz w tej strefie, odgłos pokasływania.

Odwrócił się.

Nikogo i niczego. Pusty korytarz, mglista emalia ścian, zmijowate cienie kabli i rur. I wstrętne niczym dotknięcie pajęczyny uczucie, że spoczywa na nim czyjś obcy wzrok.

- Oleg, to ty? - krzyknął.

Korytarz milczał. Peter był sam, zupełnie sam w trzewiach miarowo pracującej maszyny.

W chwilę później zrozumiał niedorzeczność, a nawet śmieszność swojej pozy i zabrawszy torbę z testerami, by dać do zrozumienia, że gotów jest natychmiast naprawić każdą kaszlącą, kichającą czy też chichoczącą usterkę, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę miejsca, z którego dobiegło go pokasływanie.

Ale nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków, kiedy od ściany oderwało się coś tak szybkiego i bezkształtnego, że pamięć zarejestrowała to jako rozpędzony obłok czarnego dymu, który niknąc za zakrętem błysnął ze swej ciemnej głębi dwiema krwawoczerwonymi źrenicami.

Kiedy osłabłe nogi wyniosły Petera na placyk, gdzie znikło owo „coś”, po obu jego stronach nie było już niczego prócz bliźniaczo do siebie podobnych, wypełnionych drzeniem, korytarzy. Peter przebiegł je do końca, obejrzał się, i po raz pierwszy odległość dzieląca go od zamieszkałych pomieszczeń gwiazdolotu wydawała mu się tak przerażająco duża.

Sprawa była całkowicie jasna. Zdarzało się i wcześniej, że długi lot odbijał się na nerwach kosmonautów, chociaż, o ile Peter pamiętał, nikomu nigdy jeszcze nie ukazywały się widma. Tym gorzej dla niego. O tym, co zaszło, obowiązany jest zameldować lekarzowi, czyli starszemu Evowi, a co będzie, nietrudno się domyślić. Nagle zrobiło mu się żal samego siebie. To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe! Dlaczego właśnie on? Za co? Jak do tego w ogóle mogło dojść, przecież czuł się nie gorzej niż zwykle!

- Śpisz, Ev? - zapytał cicho poprzez zamknięte drzwi.

Głupie pytanie. Przecież to jasne, że o tej późnej godzinie pokładowej nocy główny lekarz, a jednocześnie biolog ekspedycji wysypia się po trudnych dniach na Bisserze. Może więc nie należy go budzić? Peter pogłodził podbródek. Obowiązany jest opowiedzieć o tym, co mu się przydarzyło, zgoda. Ale jest różnica, czy zrobi to teraz, czy później. Zasadnicza różnica! Bardzo wątpliwe, czy jego reakcje są teraz w normie. Ale jeżeli wypocznie, wyśpi się, to wtedy...

A więc postanowione. Peter Fanny wszedł do swej kajuty, rozebrał się i położył. W kajucie było cicho. Nic tu nie przypominało o szybkości, z jaką śpieszący na Ziemi gwiazdolot pokonywał przestrzeń. Gwiazdolot, na którego pokładzie, choć było to nieprawdopodobne, zobaczył widmo. W kilka minut później Peter zasnął. Miał przecież tak jak każdy kosmonauta mocne nerwy.

Ale spał źle. Tam na Ziemi, gdzie się znalazł, leżał w hamaku, który nagle zamienił się w pajęczynę, i serce zmroził strach, bo wprawdzie pająka nigdzie nie było widać, ale lada chwila powinien się być pojawić. Peter wiedział, że jest on tuż obok, gdyż czuł dotknięcie włochatych łap, ale poruszyć się nie było można, a co najgorsze, pająk był niewidzialny. Potem wciąż jeszcze leżąc w pajęczynie patrzył w mikroskop, co, jak wiedział, było ostatnią szansą zdania przez niego egzaminu, od którego zależało wszystko. Ale w mikroskopie zamiast pająka widać było rude, nachalne wąsiki Eva i zrozpaczony Peter zastanawiał się, czy to rzeczywiście końcowy egzamin, choć doskonale wiedział, że tak. Z wysiłkiem odepchnął wstrętne mikroskop, by wziąć następny; mikroskop potoczył się jak kula, a kula ta rosnąc błysnęła nagle lodowatym płomieniem i serce Petera ścisnęła ból. gdyż to już nie była kula, lecz zgęstka neutrinowej gwiazdy. A więc to tak powstają galaktyki... - błysnęło w sparaliżowanym strachem mózgu.

W jego koszmary senne wtargnął nagle jakiś hałas. Poderwał się i nasłuchiwał. Serce biło jak oszalałe, ale jawa już uporała się z majakami. Gdzieś blisko rozlegało się pukanie i jakby krzyki. Zgadza się: ktoś przeklinając na czym świat stoi walił od wewnątrz w zamknięte drzwi toalety. Peter szarpnął za klamkę i ze środka niczym kot z worka wyskoczył Oleg.



- Czyje to żarty? - wrzasnął nie dając Peterowi dojść do słowa. - Też mi zabawa, humor na poziomie ameby, jaskiniowe dowcipy!

- A to już wtedy znano dowcipy? - zapytał osłupiały Peter.

Pytanie było tak głupie, że obaj zamilkli i gapili się jeden na drugiego.

- Dacie się wreszcie człowiekowi wyspać? - dobiegł z tyłu niezadowolony głos. Skrzypnęły drzwi i na korytarz wysunęła się głowa Eva. - Co to za latanina i rwetes?

Obrzucił spojrzeniem na pół rozebranych kosmonautów.

- Ktoś zamknął Olega - powiedział zdetonowany Peter.

- Aha! - powiedział Ev. - A w reaktorze jeszcze nikogo nie spalono? Czas najwyższy.

- Faktem jest, że ktoś mnie zamknął - burknął Oleg. - I zrobił to z największą satysfakcją, bo cały czas chichotał jak głupi. Chciałbym wiedzieć...

- Tak, to bardzo ciekawe - przytaknął Ev. - Jesteśmy na pokładzie gwiazdo lotu czy w ZOO?

- To mógł zrobić niesprawny cyber-sprzątacznik - podsunął Peter.

- Aha! - oczy Eva zabłyśły. Otulone galaktycznym mrokiem żelazko złowieszczo podkładało się do nocnych pantofli śpiącego kosmonauty... - Tak nawiasem, Peter, co ty zrobiłeś ze swoimi pantoflami?

- Z czym?

Wszyscy spojrzeli na nogi Petera. Na jego dziurawe, upstrzone purpurowymi plamami nocne pantofle.

- Koniec świata - westchnął Oleg. - Pełno kawalarzy.

- No, Peter, czym ty je tak urządziłeś?

- Ev... - głos Petera drgnął. - Muszę z tobą porozmawiać, Ev... Widziałem zjawę.

- Bzdura! - Ev odrzucił taśmę miogrammu, która zaczepiła się za przełącznik i zawisła na nim kołysząc się. - Jaką zjawę? Diagnost twierdzi, że jesteś zdrow, a ja zgadzam się z tym pudłem...

- Zapewniam cię...

- Silne podniecenie i nic więcej. Wszystkie podstawowe reakcje...

- A pantofle?

- Co pantofle? Co mają z tym wspólnego pantofle? Po prostu przepaliłeś je czymś...

- Ale czym?...

- Kompotem! - wrzasnął Ev. - Kapuśniakiem! Czego jeszcze chcesz? Przecież dookoła pełno kawalarzy, jak się wyraził Oleg. I wszyscy sadzą się na dowcipy. Budzą człowieka w

środku nocy... Cienie zmarłych z chichotem, widzicie ich, zamykają im drzwi... Zaraz dam wam taką dawkę środka uspokajającego, taką dawkę...

Sięgnął ręką na stół, ale nie wziął ampułki. W drzwiach stał Anton Resmi. Stał i patrzył takim wzrokiem, że Peter zapragnął natychmiast zniknąć.

- Słuchaj, Ev - kapitan podszedł do mężczyzny - mam do ciebie jako biologa i lekarza naszej ekspedycji małe pytanie: czy mysz może się zamienić, dajmy na to, w czwarty wymiar.

- Anton - oczy Eva zrobiły się okrągłe ze zdumienia - czyżbyś i ty dołączył do kawalarzy?

- Do kawalarzy? Ja ciebie pytam: gdzie zwierzęta?

- Zwierzęta?

- Tak, zwierzęta.

- Z Bissery?

- Z Bissery.

- Tam gdzie powinny być. A co?

- Nic. Po prostu nie ma ich tam.

- Jak to... nie ma?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- To niemożliwe.

- Fakt.

- Anton, przecież to niemożliwe!! Co za głupi kawał!!!

Ev spojrział na Petera, jakby pragnąc, by ten podzielił jego oburzenie, jeszcze raz zerknął na kapitana i zrobił się trupio błydy.

Tak - pomyślał Peter przypatrując się spoza ramienia Eva witalizacyjnym kłozom - jeśli ktoś tu zwariował, to w każdym razie nie ja. Ładna historia!

Przez całe pomieszczenie ciągnęły się maleńkie i duże przezroczyście sarkofagi, w których automaty podtrzymywały warunki niezbędne do tego, by złowione na Bisserze egzemplarze fauny żyły, lecz pozostawały uśpione.

Co najmniej jedna trzecia sarkofagów była pusta. I to nie tak zwyczajnie pusta, lecz - rzecz by można - wręcz wyzywająco pusta, ponieważ w każdym z nich ziała imponujących rozmiarów opływowa dziura.

Na pulpicie, jakby na ironię, paliły się zielone ogniki, co oznaczało sprawną pracę automatów witalizacyjnych, migotały z oburzeniem sygnały kontroli działalności życiowej, które nie miały czego kontrolować.

- No i co ty na to?

Ev nie odpowiedział. Był tak blady, że jego rudawe wąsik wyglądały jak płomiennie czerwone.

- Nie ma się co denerwować - kapitan miękko położył rękę na jego ramieniu. - Zniknęły, jeśli się nie mylę, steggry, asfety, trojańce, katusze i te... jak im tam...

- Missandry - wyszeptał Ev.

- ... Missandry. A pseudogady zostały. Może to coś wyjaśnia?

Ev rozpaczliwie pokręcił głową.

- Witalizacyjny stopień uśpienia utrzymywany jest we wszystkich hermetycznych kloszach na średnim, optymalnym dla całej grupy poziomie - mówił monotannie, jakby powtarzał wykutą na pamięć lekcję. - Istnieje możliwość, że dla któregoś osobnika dany poziom okaże się niewystarczający i stworzenie obudzi się. Ale w tym wypadku automat natychmiast zwiększy podaż środka... Co też i zrobił. Nic nie rozumiem. Przecież w ten sposób przepalić klosz można jedynie wyładowaniem iskrowym! - wykrzyknął.

- Może któreś z tych stworzeń... - zaczął kapitan, ale Ev jeszcze raz pokręcił głową.

- Widziałem je na statku - powiedział nieoczekiwanie Peter.

Wszyscy spojrzeli na niego. Krótco zameldował o widmie.

- To był chyba katusz - powiedział zamyślony Ev.

- Nie - zaproponował Peter. - Znam katusza. To nie był on.

- Nieważne - powiedział cicho kapitan. - To znaczy, Ev, że żadnego wyjaśnienia dać nie możesz, czy tak?

- Tak.

- Dobrze, będziemy więc działać bez wyjaśnień. Ogłaszam alarm.

U wejścia do sterówki Ev złapał kapitana za łokieć.

- Mam wyjaśnienie. Nie chciałem mówić przy Peterze.

- Tak? - Ev poczuł, jak pod jego ręką napięły się mięśnie.

- Kapitanie, zwierzęta nie mogły same się uwolnić, to wykluczone. Ktoś je musiał wypuścić.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?!

- Owszem. I dlatego obstaję przy badaniu całej załogi.

Kapitan otarł pot z czoła.

- Podejrzewasz kogoś?

- Gdybym przed chwilą nie badał Petera, powiedziałbym - Peter. Ale to nie Peter. Nie chcę o tym myśleć, ale ktoś przecież zamknął Olega i oblał pantofle Petera kwasem.

- Mimo to - powiedział ostro kapitan - nie wyrażę zgody na badanie całej załogi. - Ev, pożaru nie gasi się w akompaniamencie okrzyków: „Wśród nas jest podpalacz!” W tym samym czasie Peter, stojąc na swym posterunku, ze zdumieniem oglądał nadgarstek swej lewej ręki. Dopiero teraz rzuciła mu się w oczy plamka, jaka pozostaje po zastrzyku w miejscu, gdzie pod skórą sinieje żyła. Jakaś bzdura! Ale może powiedzieć o tym?

Z początku nikt nie wątpił, że schwywanie jakichś tam głupich zwierzaków to żaden problem, ale wkrótce okazało się, że to nie takie proste. Gwiazdolit to kilkanaście kilometrów kwadratowych powierzchni, a przy jego konstruowaniu nikomu nie przyszło na myśl, że może się on stać miejscem polowania. Ze dwa razy udało się wystraszyć jakieś stworzenie, które natychmiast uniosło się nad prześladowcami, by skryć się w płątaninie pokładów, szybów, wind i przejść, i to wszystko. Ponieważ jedynym latającym egzemplarzem fauny na pokładzie statku był missandr, więc był to najprawdopodobniej on. Ale gdzie się podziały pozostałe zwierzęta?

Propozycję, by nastroić cyber-sprzątaczy na poszukiwanie zbiegłych zwierząt, Ev natychmiast odrzucił - wiedział, że zwykłych robotów nie można poszczuć na białkowe, a więc pokrewne człowiekowi stworzenie. Zaś automaty biologiczne, których używał do polowania na Bisserze, były bezużyteczne w ciasnych pomieszczeniach statku.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym mniej mu się to podobało. Hipoteza, że klosze zniszczył szaleniec, była odrażająca, ale mimo wszystko prawdopodobna. Miała ona jednak słaby punkt. Załóżmy, że ktoś istotnie wypuścił zwierzęta. I co dalej? Przecież powietrze Bissery miało niewiele wspólnego z ziemskim! Jak więc zwierzaki nim oddychają? Bo że oddychają, to fakt.

Swoimi wątpliwościami podzielił się w końcu z kapitanem.

- Jak to? - zdziwił się Resmi. - Badałeś je i nawet nie wiesz, czym mogą oddychać, a czym nie?

- Masz prawo robić mi wymówki. Anton. Ale kto skrócił program biologiczny? Wiem, wiem pilne wezwanie z Ziemi. Jesteśmy potrzebni - jak zwykle natychmiast - w przeciwległym kwadracie Galaktyki. A co ja? Cóż mogłem zrobić przez ten czas, jaki mi pozostał? Spieszmy się, wiecznie się spieszmy, dziś jedna gwiazda, jutro druga; szybciej, szybciej, spraw kupa, obejrzyć się nie ma kiedy, i jaki jest tego efekt? Nie myśl, że usiłuję uchylić się od odpowiedzialności, ale...

- Spieszmy się, to prawda. Ale gdyby tak nie było, prawdopodobnie nie znajdowalibyśmy się teraz wśród gwiazd.

A więc one przystosowały się, tak?

- Wysoka elastyczność metabolizmu...

- Dobra, wyjaśnisz to po ich schwytaniu. Masz jakieś propozycje, jeśli chodzi o pułapki? Przedyskutowali nową taktykę. Wciąż im przerywano.

„Kapitanie, na drózkach gospodarstwa Petera odkryto ślady nieznanymi zwierząt...”

Replikę uprzedził mroczny głos Petera: „Od dawna mówiłem, że nie wystarczy nam cyber-sprzątaczy. Nie nadążają ze sprzątaniami”.

„Dobrze, dobrze - odpowiadano mu z ironią. - My przymykamy na to oczy, ale kto przekona komisję techniczną”.

„Nie kpijcie, chłopcy, to nie żaden pył, tylko popiół. Mechanicy ukradkiem palili papierosy”.

„To wcale nie mechanicy, tylko zwierząta Eva. Skoro potrafiły dać drapak, to dlaczego nie miałyby mieć ochoty na papieroska?”

Kapitan ze złością wyciszył dźwięk. Czuł się niewyraźnie. Zwierzęta mało go obchodziły - ostatecznie gdzie się podzieją! - ale szalenie na pokładzie... Zarządzenie, by trzymać się dwójkami, załoga skwitowała obojętnym wzruszeniem ramion - to dobrze, a więc nikt się niczego nie domyśla. Pokpił sprawę, nie ma co. Kapitan odpowiada za wszystko, cokolwiek by się nie stało. Tak było, jest i będzie, żeby nie wiadomo dokąd człowiek dotarł. Dla niego, Resmiego, to przecież nie nowość, że trzeba troszczyć się o wszystko, umieć wszystko przewidzieć i w każdej sytuacji nad tą sytuacją panować. Zawsze wystrzegał się ślepego przypadku, a teraz... Czyżby to był sygnał, że stracił węch? Ogarnęła go bezsilna złość. Nie, nie, nie, on im wszystkim jeszcze pokaże! Ale komu? Zwierzętom? Okolicznościom? Samemu sobie?

Resmi przywołał się do porządku, zanim jeszcze doktor zauważył jego gniew.

- Być może ten plan da lepsze wyniki - popatrzył chłodno na obszerny rysunek. - Wyjaśnij technikom, co trzeba robić. Ja zbiorę załogę.

- Warto by coś zjeść - zauważył Ev. - Po tej całej lataninie gotów jestem zjeść nawet pieczonego missandra. Wszedłszy ze sterówki Ev spostrzegł Petera, który najwyraźniej czekał na niego.

- Patrz - powiedział Peter pokazując mu tylną stronę nadgarstka. - Możesz śmiać się ze mnie, jeśli chcesz, ale daję ci słowo honoru, że sam się nie kłujęm... Ev spojrzął i zmieształ się.

Śniadanie rozpoczęło się w akompaniamencie żartów, ale wkrótce dano im spokój, tak mroczny był kapitan.

- Co z nim? - zapytał szeptem Oleg. - Można by pomyśleć, że to te zwierzęta...

- Tak, ale teraz będzie się z niego śmiała cała Galaktyka - odpowiedział sąsiad.  
- Wyśmiewać się będą raczej z Eva.  
- Wszystkim się dostanie. Słuchaj, nie wiesz, dlaczego nasze panie tak mocno się wyperfumowały?

- Ach, więc i ty zauważyłeś?  
- Martwy by nie zauważył. Kapitan podniósł głowę.  
- Musa!  
- Słucham, kapitanie.  
- Co tam u was z wentylacją? Skąd ten zapach?  
- Myślę, że to nasze miłe panie... Burzliwy protest zmusił go do zamknięcia.  
- To wcale nie perfumy!  
- My, kobiety, znamy się na tym!  
- Cisza! - zrobiło się cicho. - Brygada systemu zaopatrzenia w tlen, natychmiast zamknąć... Kapitan nie zdążył dokończyć, gdyż zaciągnęło takim smrodem, że na podłogę poleciały odtrącone krzesła, wszyscy poderwali na nogi. W tym samym momencie zawyła syrena.

Ev i Resmi siedzieli odwrócenii do siebie plecami, tak by móc kontrolować wszystkie pośpiesznie ustawione w sterówce ekrany. Obaj mieli na twarzach maski, choć smród zniknął równie szybko, jak się pojawił, a poza tym wywołany był nieszkodliwą wonną mieszanką siarkowodoru, metanu i bromku wodoru. Na skrzyżowaniach wszystkich korytarzy ustawiono nadajniki, tam też pod sufitem pozawieszano prymitywne, ale niezawodne pułapki. Teraz należało już tylko siedzieć i czekać, aż w polu widzenia pojawi się któryś z uciekinierów. Płynęły minuty i nic się nie działo. Selektor milczał - ludziom nie w głowie były teraz żarty. Ściskając broń, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, pilnowali newralgicznych punktów statku i czekali...

Czekali, choć nikt nie był w stanie powiedzieć, na co.

- Nareszcie.

Ev błyskawicznie nacisnął guzik.

Stworzenie na ekranie znieruchomiło, jakby coś przeczuwało. Za późno - już miało się w elastycznych siliketowych sieciach.

- Złapał się! - wykrzyknął kapitan.

- Uhm - odezwał się Ev. - Chciałbym tylko wiedzieć kto...

- Jak to „kto”? Przecież to asfet.

- Skrzydlaty asfet.

- Skrzydlaty?!

Tak, miotające się w sieciach stworzenie miało skrzydła. Jak missandr. I sześć kończyn. Jak asfet. I trąbowaty, nagi ogon, którego nie miało żadne ze zwierząt.

- Ev - w głosie kapitana zabrzmiało błaganie. - Jesteś przecież biologiem, przecież sam je łapałeś! Powiedzże coś! Twarz Eva była trupio biała.

- Ev! - kapitan potrząsnął go za ramię.

- Patrz.

Stworzenie uspokoiło się. Leżało na podłodze ciemnym kłębkim i tylko jego ogon poruszał się lekko. Nie, nie poruszał się. Kapitanowi ze zdumienia opadła szczęka.

Koniec ogona wolno, lecz systematycznie rozdawał się. Ogon przekształcał się w rodzaj nożyc, a ostrza tych dziwnych nożyc wyraźnie zaostrzały się. Właśnie pochwytyły kilka siliketowych oczek sieci... zamknęły się...

To przecież siliket - pomyślał kapitan.

Ogon puścił oczka sieci, które stawiały mu skuteczny opór. Teraz zmieniał barwę - z brunatnej na szarostalową. Znow się rozwarł - było widać, że jego ostrza skróciły się - i pochwytywał luźną fałdę sieci.

Ludzie drgnęli na dźwięk poddającego się siliketu. Jeszcze kilka zamachów gibkiego, rozdwojonego, chrzęszczącego ogona - stworzenie strząsnęło z siebie kawałki sieci i ekran opustoszał.

- No - zwrócił się Ev do kapitana - bij mnie, zasłużyłem na to. Jaki ze mnie idiota.

- ... Zrozumiałeś coś z tego?

- Przecież to jasne! - płaczącym głosem wykrzyknął Ev. - One przekształcają swoje ciało!

- To widziałem. To znaczy obaj widzieliśmy. Ale niech skonam, jeśli coś z tego zrozumiałem!

- Słuchaj - powiedział Ev. - Nie ma żadnych asfetów, missandrów i wszystkich innych. To jedno i to samo.

Zupełnie inny typ ewolucji. Gdzie ja miałem oczy! Przecież to wspaniałe!

- Ale nie na moją głowę - powiedział sucho kapitan. - Trzeba coś zrobić.

- Trzeba przede wszystkim zrozumieć. Siadaj. Na Ziemi wilk będzie zawsze wilkiem, kuropatwa kuropatwą, ameba amebą, chociaż ich ciała składają się z jednakowych komórek o zbliżonej biochemii. Są to po prostu różne części jednej całości. Podobnie jak karafka, szklanka, lustro...

- Lustro? - machinalnie powtórzył kapitan.

- No tak, to przecież również szkło. Ziemska ewolucja rozszczepiła jednolitą substancję biologiczną na tysiące, miliony niezależnych, nie dających się przekształcić jedna w drugą form. A tu jest na odwrót. Biserski słoń może się przekształcić w wieloryba czy też w stado królików, gdyż to wszystko to samo. To jeden organizm, który kiedy chce i w co chce przekształca swoje ciało. Na rozkaz komórek nerwowych.

- Na rozkaz.

- Właśnie. Na Ziemi biologicznej substancji tę czy inną formę nadają warunki zewnętrzne. Powoli, lecz nieubłaganie kształtują one niepodobne do siebie formy. Tu natomiast, jak sami widzieliśmy, proces ten przebiega błyskawicznie i wielokierunkowo. I to jest wytłumaczenie! Obudził się jeden, tylko jeden, organizm. Obudził się i wyhodował - innego słowa nie znajdę - przeciwwgaz. Wyhodował również jakąś broń do zniszczenia klosza. I uwolnił pozostałych.

- To znaczy, że żadnego szaleńca nie było - odetchnął z ulgą kapitan.

- Poczekaj z tą radością. Wniosek może być tylko jeden.

- Jesteś pewien? Może to jednak przyroda...

- Tak szybko i świadomie? Nie, Anton, spójrzmy prawdzie w oczy. To chyba rozum.

- Rozum - kapitan spojrzał na swe zaciśnięte w pięści ręce. - Nie mieści mi się to w głowie. Nie mogliśmy się tak potwornie pomylić.

- Mogliśmy, Anton, mogliśmy. „Szybciej, szybciej, później się zorientujemy, sprawa jasna, to tylko zwierzęta, nie ma więc co zwlekać”. Oto na jakiej zasadzie działałem.

A automaty swym ofiarom opamiętać się nie dają. Skok, porcja uniwersalnego środka usypiającego i gotowe.

- Ale na Bisserze nie ma żadnych śladów cywilizacji!

- To prawda, nie ma tam ani miast, ani maszyn, ani dróg. Ale po co one stworzeniom, które w razie potrzeby mogą przekształcać swoje ciało w maszyny, narzędzia, materiały?

- To niemożliwe, Ev. Żywa substancja nie może dać rozwiniętej cywilizacji wszystkiego, czego ta potrzebuje.

- Czyżby? Mówisz tak, jak gdyby silniki odrzutowe, lekarstwa, baterie elektryczne nie istniały w przyrodzie do czasu wytworzenia ich przez nas! Wyobrażasz sobie, do czego zdolna jest żywa substancja, którą kieruje rozum? Ta głupia, nieprawdopodobna, absurdalna z naszego punktu widzenia cywilizacja stoi być może na wyższym poziomie niż nasza. Ja w każdym razie nie potrafiłbym wydostać się spod klosza, ty chyba też. Nie dlatego, że jestem głupszy, ale dlatego, że bez maszyny, instrumentów, przyrządów jestem niczym. A one mają je zawsze ze sobą. Przypomnij sobie, jak zbadały Petera, gdy ten spał. Poza tym mogły nas



otruć, gdy nie traktowaliśmy ich serio. Czemu kręcisz głową? Co, hipoteza „szaleńca na pokładzie” wydaje ci się bardziej pociągająca?

- Wolę ją od tego, co powiedziałaś. Na szczęście ich zachowanie się na statku nie wygląda na rozumne.

- Nasze posunięcia też dalekie były od mądrości.

- Międzyplanetarna wojna na pokładzie gwiazdolotu, tylko tego jeszcze brakowało! Zaraz zobaczymy, czy te zwierzęta są rozumne.

Jednakże sprawdzian nic nie dał. Wszystkie opracowane przez teoretyków sposoby nawiązywania kontaktów zawiodły; ich stuprocentowa gabinetowa pewność nie sprawdziła się w milczących przestrzeniach gwiazdolotu.

Wszystkich dręczyły jedne i te same pytania. Nie rozumieją czy też nie chcą zrozumieć? Co oznaczają ich postęпки?

Spotkanie Petera z „widmem” mogło być dziełem przypadku. Ale czy i przez przypadek ktoś wśliznął się do jego pomieszczenia, kiedy spał? I po co? Żeby pobrać krew do analizy czy też sprawdzić, czy człowiek jest jadalny?

A pantofle, co z tym wszystkim mają wspólnego pantofle?

I zamknięte drzwi?

Jedno głupsze od drugiego!

Na statku panowała cisza, jakiej ten jeszcze nie znał. Ani szmeru kroków, ani głosów, tylko spokój „ziemi niczyjej”, który lada chwila mógł eksplodować odgłosami walki. Czas płynął, a wraz z nim malały szansę na pokojowe załatwienie sprawy.

Pod wieczór nastąpił przełom. Ekrany, za których pośrednictwem kapitan wraz z biologiem kontynuowali obserwacje, zaciągnęły się drobnymi pasami i zaczęły gasnąć, jeden po drugim, niczym zdmuchnięte przez wiatr świece. Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali i której wszyscy tak się bali. Kapitan złapał się za głowę i patrzył na ciemne ekrany.

Wiedział, jakiego rozkazu oczekują od niego. Rozkazu wyruszenia z dezintegratorami żywej materii w celu zniszczenia zbiegów, gdzie by się oni nie kryli. Na razie nie jest za późno. Na razie jest jeszcze czas. A może już go nie ma?

Ale kapitan wiedział też, że ani Ziemia, ani jego własna załoga nie wybaczy mu tej bitwy, jeśli okaże się, że w tym, co powiedział Ev, było choć trochę prawdy. Potem, kiedy będzie już po wszystkim, kiedy będą mieli za sobą lęk przed nieznanym, ludzie opamiętają się. Strach zostanie zapomniany, ustąpi miejsca żalowi i goryczy, bowiem śmierć nieznanych stworzeń będzie również końcem pewności ludzi, że są oni w stanie zrozumieć to wszystko, z czym się zetknęli.

Tej pewności, która dotąd sprawdzała się i prowadziła ich przez gwiazdne światy. Zginie również ich wiara we własny humanitaryzm. Kapitan odczuwał rozpacz przypartego do muru człowieka, rozpacz gotową obrócić się w gniew na Eva, na wszystkich teoretyków, którzy powinni byli przewidzieć, a okazali się ślepi, którzy obowiązani byli znaleźć wyjście, a wprowadzili ich w ślepią uliczkę. Gniew sprawił, że kapitan zapragnął wydać ów nieszczęsny rozkaz, gdyż jak wiadomo, w niebezpiecznej sytuacji nawet błędna decyzja lepsza jest od bezczynności. Jego palec błyskawicznie legł na guziczku selektora.

- Poczekaj! - krzyknął Ev. - Chyba się domyślam, w czym rzecz!

- Prędeż, prędeż!

- Trzeba wypuścić pozostałe zwierzęta.

- Co?!

- Słuchaj. One zaczęły tę partię, tak?

- Owszem! - palec wciąż spoczywał jeszcze na guziczku selektora.

- A czym my odpowiedzieliśmy na to? Oblawą. W odpowiedzi one zmusiły nas do zatkania nosów. My natychmiast rozstawiliśmy pułapki. Co zrobiły one?

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że każde nasze posunięcie było dla nich bezpośrednim i realnym niebezpieczeństwem, podczas gdy ich postęпки były raczej demonstracją siły. Nasz wróg wcale nie jest z piekła rodem, takim uczyniły go nasze niezrozumienie i strach.

- Chciałbym bardzo, żeby to nie były domysły.

- To nie są domysły! Porozumienie jest możliwe, tylko niewłaściwe były wyjściowe założenia strategii kontaktów. Usiłowaliśmy porozumieć się z nimi za pomocą umysłowych abstrakcji i naukowych pojęć w sytuacji, kiedy z ich punktu widzenia jesteśmy z piekła rodem! Trzeba sięgnąć do podstaw, podstaw wspólnych dla wszystkich stworzeń. Złem dla każdej formy życia jest wszystko to, co przeszkadza, szkodzi, zagraża jej istnieniu; dobrem natomiast wszystko to, co jej sprzyja. Tak jest wszędzie, pod wszystkimi słońcami, gdyż żadna cywilizacja nie może bezkarnie zmieniać kryteriów dobra i zła. Dlatego mamy szansę, co prawda niepewną, ale musimy z niej skorzystać. Teraz decyduj.

Kapitan zamyślił się.

- Sam pójdziesz? - w jego głosie nie było pewności.

- Tak.

- Możesz nie wrócić.

- Wiem, ale to ja nawarzyłem tego piwa.

Mięśnie karku zeszywniały z napięcia, ale Ev nie odwracał się. Przez cały czas czuł na sobie wzrok, nawet tam gdzie na przestrzeni wielu metrów dokoła nie mogło kryć się stworzenie większe od myszy. Całą siłą swojej woli zmuszał się do tego, by iść spokojnie. Szedł znajomymi korytarzami, które teraz wydawały mu się obce i nieskończenie długie. Właściwie nie tyle szedł, co balansował na kruchym mostku nadziei i nie sprawdzonych przypuszczeń, który mógł w każdej chwili runąć. No cóż, nie on pierwszy sprawdzał w ten sposób słuszność swoich teorii.

Przy trzecim czy czwartym skrzyżowaniu zmuszony był się zatrzymać, gdyż w ścianie ział otwór. Ach, więc to w ten sposób obchodziły pułapki! Na myśl o tym, jakie instalacje znajdują się w tych ścianach oraz ile ich jest, zrobiło mu się słabo. Na podłodze leżała kupka metalicznego proszku. Ev kucnął i zajrzał w otwór. To, co zobaczył, mogło przestraszyć każdego.

Ani jeden przewód nie był uszkodzony, ale wszystkie były starannie obnażone niczym naczynia krwionośne w czasie operacji. A my myśleliśmy, że w każdej chwili wyłapiemy je. Ale dlaczego pozwoliły mi to zobaczyć? Dlatego, że to niczego nie zmienia - sam sobie odpowiedział Ev.

- Dlatego, że każda próba załatania otworów zostanie natychmiast sparaliżowana, zostaną uszkodzone obwody homeostatyczne i silnik... Lepiej o tym nie myśleć.

Zdażył zobaczyć jeszcze dwa takie otwory, nim w przedzie ukazały się masywne drzwi komory witalizacyjnej. Otworzył je i nie zwlekając ani sekundy przystąpił do ożywiania pseudogadów. Przez cały czas, gdy manipulował przy aparaturze, wytwarzał powietrze Bissery, wydawało mu się, że drzwi, które zostawił otwarte, lada moment zatrzasną się. Kiedy już było po wszystkim, kiedy zwierzęta zaszyły się w ciemnych kątach pomieszczenia, zapragnął oprzeć się o ścianę i zamknąć oczy. Ale musiał zrobić coś jeszcze. Usunąć pułapki. Ostatni przyjacielski gest... Tylko czy nie zostanie on uznany za kapitulację?

Ev spojrzął na uwolnione zwierzęta. Jakaś istota sapała za kloszem, pozostałe siedziały cicho, jakby ich w ogóle nie było. Syczały pompy tłoczące powietrze obcej planety. Biedne, sparaliżowane strachem niższe stworzenia obcej planety. A jakie były wyższe, rozumne? Coś strasznego spadło na nie tam, gdzie czuły się całkowicie bezpieczne, zajmowały się swoimi sprawami, nie spodziewały niebezpieczeństwa - co najwyżej w ostatniej chwili przeraził je spadający z nieba cień. Potem był już tylko strach, mrok i przebudzenie nie wiadomo gdzie, w obcym, wrogim świecie.

Oczywiście, ich pierwsze posunięcia były głupie - pomyślał Ev zamykając drzwi. - Przynajmniej z naszego punktu widzenia. Na szczęście zachowały rozsądek. A więc jeszcze

nie wszystko stracone. Dla nich... A być może i dla nas. Natychmiast przywołał się do porządku. Nie ma żadnych dowodów na to, że właściwie zrozumieli to, co zrobił. Żadnych? Przecież dotąd żyje! Ciekawe, co on zrobiłby w identycznej sytuacji? Powstrzymałby się czy też wykończyłby wroga, który sam pcha się w ręce? Cywilizacja diametralnie różna od naszej. Zwrócona wewnątrz siebie cywilizacja. Szczelnie zamknięty dla nas świat, bowiem my nie rozumiemy, jak można wszystko, czego się potrzebuje, wytwarzać z własnego ciała, a one nie pojmują, jak można żyć inaczej.

Tak, czego jak czego, ale standardu wszechświat jest pozbawiony.

Pozostało siedem nie usuniętych pułapek. Pięć. Dwie. Ani jedna.

Ev wracał wykończony. Nadal towarzyszyły mu spojrzenia niewidocznych oczu.

Nic się nie zmieniło.

Nie, a właśnie, że się zmieniło. Otwory, obok których szedł, ziały jak przedtem. Wszystkie prócz ostatniego. Był on załatany tak starannie, że miejsce, w którym się znajdował, zdradzał jedynie świeży blask metalu.

Opisując w przestrzeni ogromny łuk kosmolot zawracał ku Bisserze.

Luki otworzyły się wreszcie. Kapitan odetchnął z taką ulgą, jakby spadł mu z pleców co najmniej Elbrus. Kiedy jednak po godzinie czasu od lądowania nic nie ukazało się w lukach, jego cierpliwość wyczerpała się.

- Czemu one zwlekają? Nie poznają zapachu wiatru ojczystej planety?

Ev wzruszył ramionami.

Zwierzęta pojawiły się jednak. Stoczyły się po pochylni i natychmiast wzbily się w zielone - łaskawe niebo Bissery. Niebo przyjęło je, ale przebywały tam niedługo.

- Zupełnie jak żrebaki - powiedział kapitan patrząc przez lornetkę na skaczących po wzgórzach braci w rozumie.

- Chyba się domyślam, dlaczego tak długo nie wychodziły - zauważył Ev. - Zejdźmy do środka. Będę bardzo rozczarowany, jeżeli okaże się, że się pomyliłem.

- Patrz - pogładził metal, który błyszczał tam, gdzie przed lądowaniem ziały dziury. - Rozum zawsze i wszędzie jest rozsądny, gdyż bez zrozumienia innych trudno jest przetrwać, prawda?

## Więzy bólu

Nie rzucające się w oczy drzwi cicho wypuściły człowieka w ciemność opadającej łagodnie uliczki. Na jej przeciwległej stronie, trochę bardziej na lewo i w dół, świeciły się okna umieszczonej w półsuterynie knajpy. Dobiały stamtąd apetyczne zapachy sosów, przez stłumiony gwar słychać było pobrzękiwanie szklanek. Przez ukośne smugi światła przebiegł kot; z mroku bacznie popatrzyły na człowieka jego fosforyzujące oczy:

Człowiek odczekał chwilę i ruszył w dół ulicy, mijając knajpę. Gdzieś za glinianymi ścianami leniwie zaszczekał pies. Szczekanie podchwyciły inne psy i ich niezgrany chór długo jeszcze towarzyszył przechodniowi. Wysoko, wśród cyprysów płynął blady, wąski sierp księżyca.

Na skrzyżowaniu człowiek skręcił w stronę śródmieścia i po pół godzinie znalazł się w tej części miasta, gdzie pomiędzy ciągnącymi się po obu stronach alei - wspaniałymi wystawami widniały ponure fasady rządowych gmachów, i banków. W tym właśnie miejscu, widziany przez licznych przechodniów, w zdradzieckim świetle lamp i jaskrawych rozbłyskach reklam człowiek zaczął dziwnie się zachowywać. Zatrzymał się przy oblepionym afiszami stendzie, wyjął z zanadru arkusik papieru z niewyraźnym tekstem i zacznie posługując się klejącą taśmą przykleił go na obnażonej piersi artystki. Kiedy to zrobił, włożył ręce do kieszeni i stał przez chwilę, jakby oceniając wykonaną pracę. W czasie, kiedy przyklejał papier, i potem oglądał go, minęło go pięć osób i dwoje z nich, najwyraźniej podejrzewając, że świeci się tu coś niedobrego, przyspieszyło koku. Nikt jednak nie zatrzymał naklejającego człowieka, nikt nie powiedział doń ani słowa, zupełnie jakby nic się nie działo.

Za następną przecnicą wszystko się powtórzyło. Nie opodal szeptała fontanna, policjant na rogu dyrygował stadem parszających samochodów; po asfalcie stukały damskie obcasy kobiet, na ławeczkach, za ścianą żywopłotu rozbłyskiwały ogniki papierosów, ale człowiek wykonywał swoje czynności tak jakby sądził, że jest niewidzialny.

Przy ogrodzeniu parku dogoniły mężczyznę szybkie kroki. Minęła go kobieta otoczona zapachem perfum i pudru, mignęła jej napięta, z czarnymi jamami wymalowanych warg twarz i usłyszał urywany szept: "Pełno tu szpiclów, idioto!" Uśmiechnął się z wdzięcznością. Kobieta szybko odchodziła od niego z wymęczoną rutyną kołysząc biodrami. Jej jasna bluzka wkrótce rozplynęła się w dali.

Miasto było jego sojusznikiem, wiedział o tym już wcześniej. Mimo wszystko jednak przyjemnie było usłyszeć ostrzeżenie. Nawet jeżeli ostrzegała go prostytutka. Szczególnie, jeżeli ostrzegała go prostytutka.

Ale wśród przechodniów, wśród zaciągających się papierosami mężczyzn i szczebioczących melodyjnie dziewcząt, kryli się, rzecz jasna i wrogowie. Czyjeś uważne spojrzenie prędzej czy później przyłgnie do niego. Prędzej czy później. Żeby już prędzej się to stało...

Przykleił jeszcze trzy ulotki, ale nic się nie zdarzyło. Czy to noc, czy zuchwalstwo osłaniały go swoim płaszczem? Upał, jaki panował w dzień, dawno już minął, ale on był cały mokry od potu. Papieros nie przyniósł ulgi. Zgrzytający tramwaj strzelił na zakrycie snopem iskier. Człowieka ogarnęło szaleńcze pragnienie, by wskoczyć na stopień i odjechać w przezroczyście, pełnym ludzi wnętrzu wagonu gdzieś, byle dalej od wspaniałych świateł śródmieścia. Gdzieś, do portu, gdzie pluska pokryta olejami woda i gdzie wśród sągów drzewa, na suchym, słonym piasku mrok nocy jest gęsty jak zapomnienie.

Przecież, ostatecznie nie jest żadnym bohaterem. Jest po prostu człowiekiem, który wie, że tak trzeba i boi się. Żył tak krótko!

Kiosk ze świecącym napisem "Napoje" przyciągnął jego uwagę. Musi się napić, ktoś może wiedzieć, co będzie potem. Obojętny sprzedawca o błyszczącej tłusto twarzą odliczył resztę za trzy szklanki. Miedziaki były mokre i przyjemnie chłodziły gorącą dłoń.

Kolejną ulotkę bezczelnie przykleił u wejścia do gmachu poczty. Ludzi w tym miejscu było dużo i natychmiast poczuł jak fala strachu zmywa stamtąd grupkę osób.

Jak wygląda ten wyczekiwany zdrajca? Czy jest młody, czy stary? Czy to pieniądze zatrwały jego serce, zawiść, strach, fanatyczna głupota? A może jego postępkami kieruje rutyna służbisty? Zapewne nigdy go nie zobaczy: Ich drogi skrzyżują się w stratosferycznym mroku, rozejdą się niepostrzeżenie i nie rozpozna go w świetle dnia, tak jak nie sposób rozpoznać pocisk, ukryty w niewinnym kawałku ołowianej rudy. Ale na razie panował spokój. Wydawać się mogło, że nie zasypiające nigdy oko tajnej policji oślepiło.

Zapewne jutro po mieście rozpełzną się pogłoski: Wszyscy mogli to widzieć... Dwa kroki od policji... Tak, tak, ulotki! Nie bez kozery ośmielili się... A wlec, coś się: zaczyna dziać... A wiec... Psst!

No cóż, dobre i to. Ale najwyższy już czas na rozstrzygnięcie. Jak długo można czekać na nieuniknione, dręczyć się nadzieją, którą on sam powinien był wykluczyć?

Kolejnej ulotki już nie zdążył nakleić. Nagle, przysłaniając sobą cały świat, z ciemności wyskoczył samochód. Zatrzymał się przy krawężniku jak wmurowany. Promień reflektora rozpiął go jak na krzyżu, z uniesionymi rękami, w których trzymał przyszykowaną do naklejenia kartkę!

Gdy go schwycili, szarpnął się. Cios pałki był szybki i celny. Dwa okrzyki zwały się w jeden. Tajniak wypuścił pałkę i schwyciwszy się za głowie upadł na chodnik.

Nikt niczego nie zrozumiał, ale reakcja na powstałe zamieszanie była błyskawiczna. Nowy cios zadano pięścią i to z taką siłą, że zatrzymanemu pociemniało w oczach. Alę ten, który zadał cios, również zwinął się z bólu.

Wszystko splatało się w jęczący kłęb.

O wydarzeniach tych, nie zameldowano dowództwu ze względu na ich całkowitej bezsensowność oraz dezorientacje uczestników operacji. Dostarczyli ogłuszonego przestępcę do celi, ale sami byli ogłuszeni w nie mniejszym stopniu, Doszli do siebie całkowicie dopiero w barze, przy kieliszku. Lecz ich próby ustalenia co i jak wprowadziły taki galimatias; że by odzyskać równowagi ducha zmuszeni byli zamówić nową butelkę.

Jeden z poszkodowanych tajniaków zapewniał, że zatrzymany przyładował mu iskrą elektryczną; która wyleciała mu prosto z oczu. Drugi zaklinał się na wszystko, że widział unoszącego się człowieka z pałką - człowiek i pałka byli na wpół przezroczyści; ale uderzenia były celne. Trzeci oznajmił, że niczego takiego nie zauważył, ale na pewno były to jakieś diabelskie sztuczki - faktem jest, że obaj jego przyjaciele, po tym jak przyłożyli przestępcy, ni z gruszki ni z pietruszki polecieli na asfalt i musiał zaciągnąć ich do samochodu."Aleście się nabuzowali" pokiwał głową siedzący obok inny tajniak. Wszyscy trzej straszliwie się oburzyli i zaczęli wyjaśniać mu całą rzecz od początku: Ponieważ wypili już wystarczająco dużo, to zaczęli gadać takie bzdury; w które już nikt nie uwierzył. Mimo to jednak po komendzie szybko rozpełzał się złowieszczy słuch o widmie z elektrycznymi oczyma.

Sprawca zamieszania został tymczasem dostarczony do dyżurnego śledczego, który poziewając siedział nad papierzyskami. Strażnik - opięte w mundur, jak zwykle spocone cielsko - siedział naprzeciwko. Zza drzwi dobiegał trzask maszyny do pisania. Potem ucichł nagle i zapadła taka cisza, jakby cały budynek przeniósł się w jakiś inny, pozagrobowy wymiar.

Śledczy oderwał się wreszcie od papierów, zapalił papierosa i wydmuchnąwszy dym w kierunku sufitu; spojrział na aresztowanego. Śledczy miał około pięćdziesiątki i w jego spojrzeniu malowało się mniej więcej tyle samo zainteresowania ofiarą, co w jego ślubnej obrączce na placu.

- Imię, nazwisko?

Strażnik, kołysząc nogą, przyglądał się z upodobaniem odbłaskom światła na czubku buta.

Aresztowany milczał.

- Możemy pomóc stać się rozmownym. Możemy pomóc... Imię?

- Roukar.

- Wszystko, wszystko...

- Wystarczy.

Śledczy nic nie odpowiedział i ziewnął powoli. W przymrużanych oczach błysnęły białka.

- Nie strugajcie tu z siebie... - Jeszcze raz ziewnął i poruszał palcami. - Powtarzam...

- Usiądę, jeśli pan pozwoli.

- I tak już siedzicie. U nas. A więc nie radzę...

Roukar podszedł do krzesła. Wyraz twarzy śledczego nie uległ, zmianie, ale strażnik był czujny - leniwie wstał; bez pośpiechu schwycił Roukara za kołnierz, uśmiechnął się krzywo...

- Idioto, poparzysz się! - zawołał Roukar błędąc.

Strażnik przyglądał się mu jak przedmiotowi. Wybierał miejsce, w które uderzyć, a kiedy wybrał, zadał błyskawiczny cios w usta, który w komendzie nazywano "zakąską"

Jakby wybuchła między nimi bomba. Odlecieli od siebie z jednakowym krzykiem, z jednakowo wykrzywionymi twarzami tylko po podbródku strażnika nie płynęła krew.

- Co się dzieje, sierżancie? - W głosie śledczego zgrzytnął jakiś trybik. - Jeżeli zwichnęliście paluszek, to po pierwsze, nie ma się czym chwalić, a po drugie...

- Posłuchaj, durniu! - odezwał się ostrym tonem Roukar. - I tak usiądę, a wy możecie spróbować mnie ruszyć, możecie spróbować, jeżeli nie żal wam waszej skóry!

Usiadł, patrząc wyzywająco na śledczego. Ten mrugnął lekko.

- No, sierżancie...

Mógł tego nie mówić. Purpurowy z wściekłości sierżant już podchodził do Roukara. Mignęła ciężka jak z ołowiu pieść.



Krzesło wraz z Roukarem wyrznięto w ścianę i rozleciało się. Natomiast strażnika obróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Przez chwilę stał z wytrzeszczonymi oczyma, a potem z głuchym jękiem złożył się w pół i runął, przewracając stół. Ale wszystkie dźwięki zagłuszył wrzask śledczego - oszalały, przeraźliwy wrzask przerażenia i bólu.

Pułkownik, pod którego dowództwem znajdowała się tajna policja lubił pracować nocami. O tej porze świat jest bardziej spokojny niż w dzień. Nie ma szaleńczego natłoku barw, dźwięków, ruchu, mrok niesie wraz ze sobą porządek, wszystko, co niepotrzebne śpi, światło lamp jest surowe i niezawodne; ponieważ całkowicie uzależnione jest od woli człowieka.

Kiedy wreszcie zameldowano pułkownikowi o tym co się stało, nie uwierzył, ale się zainteresował: Doprowadzony do hysterii śledczy; który jak wiadomo; odznaczał się wrażliwością betoniarki - taka historia zasługiwała na uwagę. Każde naruszenie porządku było wyzwaniem tych sił, z którymi pułkownik walczył bez ustanku, jak budowniczy tamy walczy z każdym przeciekiem pojawiającym się w jego dziele. Była to nie kończąca się nigdy, ale niezbędna praca, która już dawno stała się fundamentem egzystencji pułkownika i czynnikiem cementującym jego całą władzę.

Aresztowanego doprowadzono do gabinetu. Pułkownik obrzucił go spojrzeniem i poczuł coś w rodzaju rozczarowania. Błada, porozbijana pięściami twarz dwudziestolatka, rozszerzone, pełne napięcia źrenice, widoczna w nich mroczna nienawiść - wszystko to było do tego stopnia znane, że pułkownik z góry wiedział, jakie z setki razy słyszanych słów będą wypowiedziane, jakim tonem i kiedy. Romantyk, zidentyfikował natychmiast. Powariowali, czy co... - pomyślał, zapalając bez pośpiechu cygaro.

Siadaj - skinął aresztowanemu głową.

Roukara popchnięto na fotel, który miękko przyjął go w swoje objęcia. Fotel, jak wszystko zresztą w gabinecie, odgrywał swoją rolę, choć pułkownik niczego tu nie wymyślał, wszystko było wynikiem przez wieki gromadzonego doświadczenia: Rozmówca tonął w miękkiem i niskim fotelu, natomiast biurko górowało nad nim jak postument; czyniąc postać gospodarza szczególnie majestatyczną. Wrażenie to potęgowały jeszcze mundur pułkownika, złoto jego epoletów, bateria telefonów koło łokcia, całe wyposażenie wnętrza, w którym

każdy przedmiot, choćby biblioteczna szafa z rzędami masywnych tomów ze złożonymi grzbietami lub dębowe framugi drzwi; wyglądały solidnie, trwale i oficjalnie.

Pułkownik nie spieszył się, bowiem doskonale znał miazdzący ciężar oczekiwania. Ten człowieczek u podnóża jego biurka sam z siebie nie budził w nim zaciekawienia. Natomiast bezsensowne okoliczności, z którymi był związany, owszem. Ale nie on sam. Żaden z pracowników tajnej policji nie mógłby owocnie pracować, gdyby w swojej ofercie widział jednostkę ludzką. Nawet nienawiść była tu przeszkodą. Pułkownik, podobnie jak jego podwładni, robił swoje, pracował z żywym materiałem i emocje bytu tu równie nie na miejscu jak przy gwintowaniu nakrętek, czy przy układaniu cegieł.

- Cóż za oklepane metody! - odezwał się nagle aresztowany, - Sprzykrzyła mi się już wasza tępota i żeby jak najszybciej zrozumiał pan sytuację, proszę, oto moja ręka. Niech pan ją dotknie końcem cygara.

Jego gest, wydawało się, nie został zauważony. Pułkownik w milczeniu, nie zmieniając wyrazu twarzy patrzył na Roukara. Płynęły długie sekundy milczenia. Wreszcie stało się to, co powinno się było stać - palce aresztowanego zaczęły lekko dygotać.

Wtedy pułkownik przysunął do rozwartej dłoni cygaro. Wycelował bez pośpiechu - i nagle strząsnął popiół na rękę Roukara.

Ręka drgnęła. Pułkownik roześmiał się leniwie widząc, jak wykrzywiła się twarz więźnia.

- Otóż to - powiedział spokojnie. - A teraz jeszcze jedna maleńka lekcja.

Dał znak. Dwóch przypominających posągi strażników zrobiło krok w stronę fotela, jednakowo szczerkawszy czymś metalowym.

- Będziemy rozmawiać normalnie, czy inaczej?

- Nie - odpowiedź była ledwo słyszalna. - Nie będziemy.

Ręce strażników spotkały się na potylicy Roukara. Krzyknęli wszyscy czterej. Cztery poblądłe twarze spoglądały na siebie, ale na jednej z nich, oprócz bólu, malował się tryumf.

Pierwszy przyszedł do siebie pułkownik.

- Won... Strażnicy - won!

Krótkie zamieszanie; strażnicy, którzy utracili swój posągowy wygląd, nierówno wykonali w tył zwrot i gabinet opustoszał.

- Rozsądnie - powiedział aresztowany: - Po co zbyteczni świadkowie bezradności przełożonych?

Pułkownik wyszarpnął pistolet z szuflady biurka.

- Porozmawiamy - powiedział z pogrózką w głosie.

- Jeżeli zechce - dodał aresztowany.

- Zastrzelę pana!

- A czy pan nie pomyślał, pułkowniku, że to jeszcze bardziej niebezpieczne niż przemoc?

Pułkownik gwałtownie zaciągnął się dymem cygara. Jego spojrzenie błędziło po twarzy przeciwnika. Teraz dostrzegł w aresztowanym godnego partnera, osobowość, którą należało rozszyfrować.

- Cygaro? - zaproponował nieoczekiwanie.

- Nic. Im prędzej się rozstaniemy, tym lepiej dla nas obu.

Pułkownik skinął głową.

- Jestem realistą - powiedział przyciszonym głosem. - Sytuacja uległa zmianie; to dla mnie oczywiste. A co z tego?

- To już lepiej - rzekł Roukar. - A więc, na początek niewielki wykład...

Przyjrzał się pomieszczeniu i na ile pozwalały mu rozbite wargi i napięte nerwy, uśmiechnął się.

- Wykład w tajnej policji... Zabawne! No dobrze. Proszę dobrze to zapamiętać. Każde działanie - fizyczne czy też umysłowe - poprzedza odpowiedni impuls nerwowy. Akt przemocy również. - Organizm generuje drgania elektromagnetyczne... Coś w rodzaju bezdźwięcznego krzyku, czy to rozumiałe? Metody, jaką to osiągnęliśmy, nie musi pan znać. Ale jej sens zawiera się w następującym. Mój organizm nastrojony jest w taki sposób, że odbiera on obcy impuls przemocy. Przy tym, systemy nerwowe kata i ofiary łączą się ze sobą jak żarówki w sieci elektrycznej. Jeżeli w ślad za impulsem nie nastąpi działanie, nic się nie stanie, podobnie jak nie zapalą się żaróweczki, jeżeli nie włączymy elektryczności. Ale jakże szybko po myślowym rozkazie następuje cios... Moje ciało przeszywa ból i dokładnie taki - sam ból przeszywa wasze! I nie ma znaczenia, co stało się przyczyną bólu pańska pięść, czy but pańskiego podwładnego. Kat i ofiara skuci są jednym łańcuchem tak silnie, że teoretycznie wszyscy powinni czuć to samo. Praktycznie jednak wspólny staje się tylko ból, ponieważ on jest najsilniejszym impulsem. Jakże tak, pyta pan. Aresztowanego złomotali, boli go całe ciało, ja natomiast tego nie czuje, choć powinienem, jeżeli to co słyszałem jest prawdą. Sekret jest prosty - mogę osłabiać lub wzmacniać powstałą między nami łączność. Teraz ją wzmacniam. No i co?

Twarz pułkownika wykrzywiła się boleśnie. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu, dłoń zacisnęła się mimowolnie. Przez parę chwil szef tajnej policji i aresztowany patrzyli w swe zaćmione bólem źrenice.

- Trzecia zasada dynamiki Newtona - tryumfalnie oznajmił Roukar. - Każdemu działaniu towarzyszy równe, lecz wprost przeciwne oddziaływanie. Teraz zasada ta będzie działać między ludźmi w równie jawny sposób; jak w fizyce! Kiedyż do tej pory ofiara mogła odplacić katu tą samą miarą, na męczarnie męczarnią? Cierpi pan... Dość, z przemocą już koniec!

- Władza nie istnieje bez przemocy - pułkownik rozchylił zbiegające wargi. - Niszcząca władzę, niszczy pan prawo, porządek, samo społeczeństwo...

- Pańskie społeczeństwo! - Dźwięcznym głosem zawołał Roukar.. - Pan... pan jest po prostu gangsterem, który dorwał się do władzy... I ma pan czelność mówić o prawie?

Roukar westchnął. Poczul, jak w piersi zakołysał się znajomy ciężar wszytego w konspiracyjnym laboratorium impulsatora, który odbierał, sortował, wzmacniał i przesyłał z powrotem sygnały swojej i obcej tkanki nerwowej. Pułkownik nie powinien o nim wiedzieć, w przeciwnym bowiem razie natychmiast wypatroszono by go pod narkozą. Co innego jutro, kiedy całe to plugastwo przepadnie. Wtedy, nie obawiając się rewizji, każdy będzie mógł nosić impulsator, po prostu w kieszeni i już nikt nie ośmieli się sprawić nikomu bólu. Nastąpi koniec przemocy. Raz i na zawsze!

- Ma pan możliwość wyboru - Roukar odwrócił się do pułkownika. - Albo pan i cała ta pańska szajka łupieżców i tępaków natychmiast umknie wraz ze swoimi walizami, albo ruszą na was moi, tak samo uzbrojeni towarzysze. Wtedy ból, który sprawiacie nam stawiając opór, zabije was samych! Jesteśmy przeciwnikami zbyt wielu ofiar, chociaż jesteśmy też gotowi oddać życie za wolność. Ostrzegłem pana - wyście się!

Pełen zapалу głos Roukara umilkł. W odpowiedzi zapadła cisza. Twarz pułkownika, którego wola napędliała przerażeniem cały kraj, zastygła jak woskowa maska. Paląca, nie do wytrzymania ciekawość przemogła w Roukarze ból, zdenerwowanie, śmiertelne zmęczenie. Przemoc istnieje tak dawno, jak istnieje świat. Jakie będzie jej ostatnie słowo?

Roukar nawet uwolnił pułkownika od bólu. Ten jednak opadł jak worek w fotel i wciąż milczał jak przedmiot, który zapomniano wynieść z gabinetu. Zupełnie jakby nie miał pod ręką guzików za pomocą których mógł w mgnieniu oka wprowadzić w ruch swoich zbójców, lotnictwo i czołgi.

A więc to tak, z tryumfem ale i rozczarowaniem pomyślał Roukar. Zwyczajny, bezmózgi dinozaur w pułapce...

- Daje trzy minuty do namysłu - powiedział z obrzydzeniem i znowu odwrócił się w stronę okna.

Płynął już stamtąd odświeżający chłód, za potężnymi bryłami budynków rozpalał się świt. W parku ogłuszająco śpiewały ptaki. Miasto spało, nie przeczuwając nawet co się dzieje, nie widząc chudego, wymęczonego, pobitego chłopaka, który w tej chwili słyszał szelest nowej, już uchylonej karty historii.

Ale pułkownik jak bokser, który zbiera siły po nokaucie, w tym samym czasie szybko i beznamiętnie analizował swój plan działania. Ten nawiedzony romantyk już go nie interesował. Pułkownik od razu spostrzegł największe grożące mu niebezpieczeństwo. Kryło się ono nie w groźbie spętania jego poczynań łańcuchem cierpienia i śmierci, bowiem efekt każdego działania (wiedział o tym bez uczonych) ulega osłabieniu wraz ze wzrostem odległości (wniosek - należy dowodzić akcją z dystansu, przy czym nie ma potrzeby informować o tym pozostałych współrzędzących. Pojawiła się kusząca sposobność, usunąć konkurentów cudzymi rękami). Główne niebezpieczeństwo kryło się również nie w tym, że na ulice wyjdzie tak niezwykle uzbrojona (przeklęta nauka!) grupka geniuszy o umysłowości dziecka. Cokolwiek by się nie krzyczało o wzajemnych słabych punktach, człowiek przede wszystkim wierzy swojemu własnemu doświadczeniu i w związku z tym żołnierze skoszą buntowników najpierw, zanim padną sami, a ci zaś, którzy ocaleją, zanim zdołają się połapać: Naprawdę straszliwą rzeczą była detonacja. Wystąpienie tych przemądrzałych niemowlaków, dziwna śmierć żołnierzy, wieść o fatalnej wrażliwości tych, którzy karząc zadają ból - wszystko bo razem wzięte, a także po prostu sam fakt ofiarniczej odwagi romantyków - tych z siwizną i tych bez - bez trudu mógł się stać zapalnikiem ukrytego niezadowolenia. A kiedy powstają masy, sprawą zawsze przybiera zły obrót.

Nie ma bardziej naiwnych i niebezpiecznych ludzi, niż bezinteresowni, pozbawieni życiowego sprytu fanatycy idei! - pomyślał z rozdrażnieniem pułkownik. Natychmiast jednak opanował rozprasające go emocje: I błyskawicznie przemyślał przydatność usypiających bez bólu pocisków i gazu, rozważył, jak szybko zdoła uzbroić w nie tych, kogo trzeba. Gdy dokonał obliczeń; w tej samej chwili nacisnął guzik i zerknął na zegarek. Z danych mu do namysłu minut minęły tylko dwie. Do rozpoczęcia jego własnych działań pozostało kilkadziesiąt sekund i pułkownik pobieżnie przeanalizował rysujące się I przed nim dalsze perspektywy - należy bezzwłocznie uzupełnić etaty takimi, którzy lubią jednocześnie zadawać i odczuwać ból... A poza tym, czyż środki przymusu ograniczają się jedynie do przymusu fizycznego?

Nie, cokolwiek wykombinowali ci uczeni, jego przyszłość jako władcy zależała nie od nich.

Roukar nie zauważył ruchu ręki pułkownika. W jego umoczonej umyśle wyraziście malowały się obrazy bliskiej już przyszłości, kiedy sukcesy neurotechniki połączą ludzi wizjami tak ścisłej wspólnoty, że każdy z premedytacją zadany ból, jak bumerang powracając do sprawcy, zmusi, by wszyscy troszczyli się o szczęście każdego. Na twarz Roukara padł pierwszy promień wschodzącego słońca, on zaś, wznosząc skute kajdankami ręce, gotów był z radosnym uniesieniem objąć cały, oczyszczony światłem świat.

Przełożył Sławomir Kędziński

## Wybacz odchodzącym

Wiele jest na świecie dziur tak doszczętnie zabitych deskami, że w porównaniu z nimi Naira może wydać się prawdziwym rajem. Za owalnym iluminatorem żółta piana mgły, niemal dotykalny mrok, pulsujący pod ciosami zawieruchy. Jej napór jest tak wielki, że nawet powietrze w pomieszczeniu zdaje się drgać i wirować, chociaż to absolutnie niemożliwe, gdyż baza jest równie hermetyczna jak puszka sardynek. I prawie tak samo ciasna. Z ustawionej pod ścianą aparatury Roeniga wydobywa się wycie i gwizd, trzaski i poszczekiwanie, kaszel, mamrotanie i szczebiot, jakby w elektromagnetycznych polach planety odbywał się nieustający konkurs drozdów-przedrzeźniaczy.

- Małe, gustowne piekielko - mruknął Koenig, zrzucając z głowy słuchawki. Mówił to już dziesiątki razy. - Wiesz, kim my jesteśmy? Turystami udającymi poszukiwaczy prawdy.

To było już coś nowego, oderwałem więc wzrok od szachownicy, na której Malec szykował się do zadania mi mata.

- Skaczymy z planety na planetę, jak woda z kamyka na kamyk ciągnął Koenig, gapiąc się w iluminator. Na pulpicie sterowniczym zamarło odbicie jego okrągłej, ozdobionej jasnymi wąsikami twarzy. - I z takim samym skutkiem.

- Wobec tego po co tu siedzisz?

- Chciałem zobaczyć kawałek świata.

- No i jak?

- Obejrzałem go sobie, przenosząc się z futerału do futerału. Futerałami są statek, skafander, baza, łazik... Jesteśmy ludźmi w futerałach, bez których można się obyć jedynie na Ziemi.

- Która zresztą również jest futerałem, tyle że nieco większym. Nie uważasz?

Koenig popatrzył na mnie:

- Masz rację! - wykrzyknął. - Byłeś na Tahiti?

- Nie.

- Ja też. Słuchaj, dlaczego jesteśmy tutaj, a nie na Tahiti? Tam jest przecież morze, piękne dziewczyny, słońce, kwiaty, ptaszki śpiewają...

- A u nas świergołą atmosferzaki i śpiewają kamienie. Poza tym nam, bohaterskim pionierom, zazdroszczą miliony dzieciaków, którym po powrocie opowiemy niesłychanie romantyczną bajeczkę o Nairze.

- Ja tam będę mówił prawdę! - warknął Koenig. - Opowiem o trzech panach w puszcze do konserw, nie licząc robota. O liofilizowanych koncentratkach na śniadanie, obiad i kolację...

O waszych obmierzłych gębach, spacerkach w orzeźwiających strugach piasku i robocie, robocie, robocie...!

- Idzie Warlen - dodał, wsłuchując się w rytmiczne popiskiwanie sygnału. - Zbliża się Warlen Strogin i jego kamienie. Wejdzie, powie dwa słowa i zagrzebie się w swoich minerałach. Nawet nie pomyśli, że ja mógłbym mieć ochotę na małego roberka...

Koenig oczywiście nie siądzie po obiedzie do kart, tylko do swoich wykresów i obliczeń. Karciarzy na takie zakazane placówki nikt by przecież nie wysyłał.

- Uważaj! - ostrzegam go na wszelki wypadek. - Słucha cię młode pokolenie. Co będzie, jeśli dowie się ono, że bohaterski pionier Walter Koenig marzy o brydzyku z dziadkiem? Bierz przykład ze mnie i w nielicznych wolnych chwilach graj z Malcem w szachy. To piękna, szlachetna gra, która nie przynosi ujmy nawet mężnemu badaczowi odległych światów... Malutki, czemu się tak grzebiesz?

- Nie chciałem przeszkadzać w rozmowie.

- To nie jest rozmowa, tylko zwykła paplanina.

- Wobec tego szach.

Malec wysunął spod siebie łapę i przesunął figurę. Ten półmetrowy robot przypominał złocistego żółwia, ślicznego, ale na pierwszy rzut oka nieruchawego zwierzaka. W rzeczywistości Malec jest zupełnie inny niż się wydaje, ale żeby się o tym przekonać, trzeba najpierw z nim, jak to się dawniej mawiało, zjeść beczkę soli. Większość ludzi tego nie potrafi, gdyż nasze biologiczne "ja" instynktownie opiera się zbliżeniu z istotą, której przodkiem była maszyna parowa. A gdzie nie ma sympatii, tam również nie ma i zrozumienia. Podobno wszystkie roboty z tej samej serii są identyczne. Jest to taki idiotyzm, że nawet człowiekowi nie chce się go obalać. Znamy się z Malcem tak dobrze i od tak dawna, że wyczuwam jego nastrój nawet wtedy, kiedy się nie odzywa, chociaż niektórym może się to wydawać czarną magią. Bo niby jaki wyraz mogą mieć receptory optroniczne albo anteny-wibrissy? Ale oczy człowieka też przecież są układem optycznym, a jednak przegląda się w nich dusza.

Ruch robota zmusił mnie do zastanowienia. Na szczęście roboty są pozbawione fantazji, co pozwoliło mi uciec przed matem. Miałem już zrobić zaskakujący ruch, gdy popiskiwanie zmieniło się w ciągły ton i nad wejściem zapaliła się czerwona lampka. W słuzie zabulgotało powietrze i po minucie drzwi się otworzyły. Rozpinając w biegu skafander, do wnętrza wkroczył energicznie Strogin. Od razu zapachniało kurzem, którego żadne urządzenia odsysające nie są w stanie zebrać z fałd skafandra. Nikt się tym zresztą nie przejmował, bo tutaj kurz był sterylny. Cała planeta była sterylna. Sterylna, monotonna i



ponura tak dalece, że gdyby ktoś nas zapytał, po co na niej właściwie siedzimy i jaką korzyść Naira może przynieść człowiekowi, nie od razu potrafilibyśmy znaleźć odpowiedź. Ale to niczego nie dowodzi: jakiś starożytny mędrzec, bodaj czy nie Sokrates, odradzał współobywatelom zajmowania się takimi pozbawionymi sensu zabawami jak obserwacja ciał niebieskich, która może jedynie przeszkadzać w o wiele ważniejszym dziele samopoznania.

Worek ze swymi łupami Warlen jak zwykle rzucił do kąta, Koenig jak zwykle oderwał się od analizy skomplikowanych przytonów swojego nieziemskiego chóru i oburzył się na zaśmiecanie wnętrza jakimś gruzem, na co Stogin jak zwykle odpowiedział wzruszeniem ramion, bo niby gdzie ten swój worek miał podziać. Koenig jeszcze trochę poburczał i cała sprawa na tym się skończyła. Tak w ogóle, to nieźle się ze sobą dogadywaliśmy i to nie tylko dlatego, że wszyscy trzej mieliśmy zgodne charaktery.

- Przygotuję obiad - powiedziałem wstając. - Mały, zapamiętaj partię, później ją dokończymy.

„Przygotowanie obiadu”, jak to gromko nazwałem, zajęło mi nie więcej niż dwie minuty, bo przecież podgrzanie gotowych koncentratów i włożenie ich na talerze nie może zająć więcej czasu... Siedliśmy do stołu i kiedy byliśmy już po tak zwanym pierwszym daniu, Koenig swoim zwyczajem zapytał Stogina, czy nie znalazł przypadkiem śladu bosej sześciopalczastej stopy tubylca. Warlen spokojnie zignorował głupie pytanie, a wówczas ja zapytałem, czy burza nie przeszkodziła mu w pracy.

- Burza jak burza... - Stogin lekko się ożywił jak zwykle gdy była mowa o pracy. - Widziałem gorsze. Udało mi się znaleźć niezwykłą konkreję. Konglomerat kasyterytu z chromitem, wyobraźcie sobie? Zdumiewająca planeta.

- Konkrecje, konglomeraty... - mruknął Koenig. - Dawniej ludzie szukali zwyczajnych, powszednich rzeczy. Diamentów, złota, srebra i innej platyny. A teraz co? Warlenowi diamentu nawet nie będzie chciało się kopnąć.

- Pewnie go nawet podniosę - odparł poważnie Stogin. - W takich kryształach mogą być interesujące intruzje gazowe, spoza tym zbieram materiał porównawczy.

- A co ja mówiłem? Najmniejszego śladu romantyki, szara proza życia.

- A twoje atmosferzaki są takie znów romantyczne?

- Jak by ci to powiedzieć... One w każdym razie są bliższe poezji. Jak wam się podoba taka na przykład strofa:”Trzeba uderzyć w czynów stal, ze snu obudzi! się narwał”?

- Zacząłeś pisać wiersze? - Warlen zakrztusił się koncentratem.

- Nieważny jest autor, ważne jest dzieło! Rym wprawdzie niezbyt wyszukany, ale treść!...

- Treść istotnie niezła - zgodziłem się. - A skąd to?

- Stamtąd. - Koenig machnął ręką w kierunku iluminatora. Zapisane pod dyktando.

- Czyje?

- To jest właśnie pytanie! Ten wierszyk nie jest mój i w ogóle nieczyj, chyba że przyjmujemy, iż to warlenowskie kamyki pobudzają się w ten sposób nawzajem do czynu. To atmosferzaki tak gadają! - Koenig z zadowoleniem popatrzył na nasze z lekka ogłupiałe miny.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział wreszcie Warlen Strogin.

- Ja też - odrzekł Koenig. - Po prostu zreferowałem wam goły fakt. Czemu patrzycie na mnie jak robot na "Madonnę" Rafaela? Czasami aparatura odbiera uporządkowane grupy sygnałów, wyglądające wręcz na depesze radiowe. W każdym takim wypadku po prostu dla spokoju sumienia próbuje je rozszyfrować i dziś wyszło mi właśnie to.

- Bujasz - powiedział Warlen.

- Mam ci pokazać zapis transmisji? - obruszył się Koenig.

- On wcale nie kłamie - powiedziałem. - Na skrzydłach ziemskich motyli można znaleźć wszystkie litery alfabetu i wszystkie cyfry od zera do dziewiątki. Tu widocznie mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem.

- A, w tym sensie! - powiedział z ulgą w głosie Warlen. - No, takie rzeczy znam. Granit napisowy, rzeźby erozyjne, pejzaże na szlifach kamieni dekoracyjnych... Wobec tego i atmosferzaki mogą gadać wierszami. - I wziął się za deser.

Po obiedzie włożyłem brudne naczynia do destruktora, który usunął z nich resztki pokarmu i wyszedłem na zewnątrz. Malec pobiegł za mną. Ku mojemu zdumieniu burza ucichła. Wystygłe na lód czarne niebo pełne było jaskrawych gwiazd i przypominało ich układem ziemski nieboskłon. Nic dziwnego, byliśmy przecież niedaleko swego kosmicznego domu, wciąż dreptaliśmy po tym samym spłachetku Wszechświata. Z wysiłkiem opuściłem wzrok i popatrzyłem na horyzont, zamknięty łańcuchem przygnębiających wzgórz. Dokoła było pusto i cicho, zimno planety zdawało się wdzierać pod skafander. Malec pieszczotliwie otarł mi się o nogę, w odpowiedzi poklepałem go po grzbiecie. Nikt robota nie uczył wyrażania w ten sposób sympatii. Sam na to wpadł.

Ruszyliśmy razem w stronę placu budowy, gdzie połyskiwały światełka ciężkich robotów. Wznoszona przez nie konstrukcja miała wygląd starożytnych fortyfikacji, gdyż

wiele przyrządów, które zamierzaliśmy tam zainstalować, współpracowało z czujnikami umieszczonymi w okienkach i strzelnicokształtnych szczelinach grubych murów. Roboty budowlane były zwaliste i pozór nie nieruchawe jak bawoły, ale robiły wszystko bardzo szybko i sprawnie. Inaczej zresztą być nie mogło, gdyż zamięłowanie do pracy stanowiło podstawę ich programu, praca jeśli można się tak wyrazić, sprawiała im przyjemność, a nieróbstwo przygnębiało. Cecha niezwykle dla nas korzystna i niesłychanie skuteczna w działaniu... Kanciaste sylwetki robotów były otoczone błękitną aureolą, taką samą, jaka opromieniała mnie i Malca skutek nieprawdopodobnego wręcz zagęszczenia ładunków elektrostatycznych. Ocierając się o siebie w ruchu powłoki mojego skafandra strzelały miniaturowymi błyskawicami - jedyny piękny widok na tej ponurej i smutnej, odstręczająco brzydkiej planecie.

Robot-koordynator złożył mi meldunek, którego nieuważnie wysłuchałem. Kontrola była tu czystą formalnością pod warunkiem, że zadanie zostało właściwie postawione.

- My też powinniśmy wziąć się do roboty - powiedziałem. - Co ty na to?

Retoryczne pytanie i Malec efektowną świecą wystrzelił w powietrze, zatoczył ciasny łuk i wylądował przy moich nogach. Wiedział, że lubię takie popisy. Roboty budowlane są całkowicie wyprane z fantazji, ale Malec nie, chociaż ma ten sam program bazowy. Pamiętam o tym i staram się zawsze dać mu jakieś zajęcie, chociażby to była jedynie gra w szachy. Człowiek zawsze sam może się czymś zająć, może przecież myśleć, spekulować, marzyć, fantazjować, rozwiązywać dowolne problemy, zadawać samemu sobie najróżniejsze pytania... Malec też to potrafi, ale w znacznie węższym zakresie, a nuda jest równie dokuczliwa dla człowieka, jak i dla robota.

Zawróciliśmy do bazy. W pewnej chwili Malec zatoczył wokół mnie ognistą pętlę i wprawił swoje antenki w silną wibrację.

- No? - zapytałem.

- Mam pytanie. Czy futerałowość jest zjawiskiem czysto fizycznym?

- Co? Aha, mówisz o tej naszej paplaninie?

- Tak.

- Jak by ci to wytłumaczyć...

Malec rzadko zadaje pytania, a jeśli już, to na poziomie pięcioletniego dziecka. Może zresztą dlatego trudno jest na nie odpowiedzieć. Machinalnie dotknąłem kasku: chciałem podrapać się w głowę. Futerałowość! Niezły termin... Każdy z nas zamknięty jest we własnej indywidualności, bo bez tego niemożliwe jest żadne "ja", chociaż ta niematerialna skorupa

mocno czasami nas uwiera. Każdy zamknięty jest w swej socjokulturze, ale akurat ta skorupa chyba powoli się rozpada. Każdy jest więźniem własnej planety. Już nie. Był ładny gips...

- Nie. Futerałowość to...

Malec słuchał jak zaczarowany. Wielkie nieba, czy ja przypadkiem nie rozmawiam z samym sobą? Przecież robot to nasz twór, to nasze odpączkowane”ja”, żyjące własnym, często niezrozumiałym już dla nas życiem.

I tu przypomniałem sobie, że z Malcem trzeba się będzie rozstać. Zrobiło mi się przykro. Nie wiadomo po co obejrzałem się za siebie, popatrzyłem na plac budowy, gdzie roboty kończyły już zewnętrzną kopułę, odlewając z piasku i kamieni niezniszczalny monolit osłony aparatury rejestrującej, którą mieliśmy tu zostawić, podobnie jak zrobiliśmy; w czterech innych punktach planety. Ten schron jest ostatni i najobszerniejszy; bo musi pomieścić również roboty, które tu zakonserwujemy na wszelki wypadek. Może kiedyś komuś na coś się przydadzą... Zniszczyć szkoda, a wieść z powrotem nie ma sensu, bo po siedmiu latach każde urządzenie cybernetyczne jest już moralnie przestarzałe. Malec też się moralnie zestarzał i też musi tu zostać. Wie o tym, bo byłoby nieuczciwością z mojej strony, gdybym to przed nim ukrywał. Wie i cierpi, czuję to, chociaż tak zwani rozsądni ludzie utrzymują, że roboty są niezdolne do cierpienia. Moje postępowanie zakrawa na zdradę, ale co ja mogę zrobić? Gdyby Malec rzeczywiście był malutki, przeszwarcolałbym go na pokład statku w kieszeni, nie licząc się z tym, że mógłbym zostać surowo ukarany”za wykorzystywanie służbowego sprzętu do celów prywatnych”. Ale Malec waży około tony i w dodatku, prawdę mówiąc, nie ma na Ziemi nic do roboty. Wszyscy muszą się kiedyś rozstać, a my jeszcze nie zakończyliśmy pracy. Trzeba dokończyć budowy, porobić ostatnie badania i zwinąć obóz. Potrwa to co najmniej miesiąc. Mnóstwo czasu, cała wieczność!

- Ruszaj do roboty - powiedziałem odwracając głowę. Malec podskoczył i niczym błękitny meteor pomknął w ciemność.

Poszedłem do domu.

W domu wszystko toczyło się normalnie: Koenig siedział przy konsolce ze słuchawkami na uszach, w przeciwległym kącie Strogin gapił się w mikroskop. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział. Zrzuciłem skafander i też usiadłem przy swoim stole.

Widzialność była znakomita, bez żadnych zakłóceń, ale wszystko migotało, zlewało się w rozmyte smugi. Malec pędził tam, gdzie niespieszny nairski wieczór jeszcze nie nastąpił. Dla Malca pora doby nie miała znaczenia i światło dzienne potrzebne było tylko mnie. Burze też nie stanowiły dla niego większej przeszkody. Po prostu niektóre z nich, jak ta dzisiejsza, paraliżowały łączność przez co niepotrzebnie traciliśmy czas. Malec doskonale o tym wiedział i teraz starał się nadrobić stratę, powstałą nie ze swojej winy. Z Ziemi otrzymaliśmy wiadomość, że nowy model robota zwiadowczego wyposażony jest w aparaturę łączności neutrinowej, której niestraszne jest najgorsze piekło. Być może, ale ja jednak wolałem ułomnego pod tym względem Malca.

Wreszcie pojaśniało i Malec zwolnił tempo. Wizerunek na ekranie był nieostry i pozbawiony kontrastu niczym stare, źle wywołane zdjęcie. Mętne żółtawe niebo, szarawe obłoki gór, płaskie czasze kraterów meteorytowych, zwały piasku i stosy kamieni, nad którymi przepływał Malec, wszystko było jakby rozmyte, niewyraźne, monotonne, szarożółte, ciemnoszare, - brudnobrunatne, zakurzone i takie podobne do wszystkiego, co dotychczas nieraz widzieliśmy tutaj, że aż się chciało ziewać z nudów. Nic więc dziwnego, że moje oczy patrzyły na planetarny pejzaż z nie pozbawioną uwagi obojętnością. Moje oczy, których przedłużeniem był Malec widziały zatem wszystko, niczego nie rejestrując, bo rejestracją zajmowała się maszyna.

Postanowiłem zerknąć na świat oczyma Malca. Ekran eksplodował barwami. Trudno było rozpoznać skały, diuny i kratery w abstrakcyjnym malowidle powstałym z mieszaniny tego, co Malec widział w ultrafiolecie, podczerwieni, w promieniach rentgenowskich i tak dalej, i tak dalej. Dziesięć wizerunków na raz, obrazów tak do siebie niepodobnych, jakby należały do różnych światów. Oszałamiająca feeria kształtów, kolorów i drgań ukrytych pod szaroburą maską...

Niestety, żaden operator dłużej niż przez chwilę nie zdoła wytrzymać naporu obcych sobie wrażeń, dlatego ich analizy musi dokonać komputer bazy. W ten sposób Malec pospołu z komputerem dostarczał nam gotowe wyniki. Wystarczyło powiedzieć co nas interesuje i co jest dla nas ważne. Właśnie, co?

Gdy tylko wzrok mi się zmęczył, odłączyłem receptory Malca i znów przed oczami zaczęły przepływać mętnozszare pejzaże, takie znajome i niestety nieatrakcyjne. Przez chwilę odpoczywałem, a potem znów podłączyłem się do Malca, na co zareagował pełnym zadowolenia popiskiwaniami. W ten sposób pracowaliśmy około trzech godzin.

- Chyba pora już spać - powiedział Koenig przeciągając się i zrzucając słuchawki.

- Zaraz, tylko dokończę jeszcze jeden szlif - mruknął Strogin, który jak zawsze nie mógł rozstać się ze swoim mikroskopem. Koenig wojowniczo nastroszył swoje blond wąsiki, ale nic nie powiedział. Ja przerwałem łączność z Malcem, który teraz samotnie będzie kończył zdjęcia kolejnego kwadratu Nairy, żeby potem dowolny badacz po wykonaniu powtórnych zdjęć mógł natychmiast ustalić, co się na jej powierzchni zmieniło pod nieobecność ludzi.

A zresztą żadne powtórne zdjęcia nie będą potrzebne, bo co pół roku będzie je wykonywał sam Malec. Zostawiamy na tej planecie sprzęt już moralnie przestarzały, ale jednak zdolny do długiej pracy. Malec będzie zatem pracował. Wciąż od nowa będzie oblatywał pustynną Nairę, będzie w samotności krążył nad jej skałami i dolinami - rok po roku, aż się zepsuje.

Kiedy Warlen wreszcie skończył pracę, zasiedliśmy do kolacji i poszliśmy spać.

Jako ostatni gaszę nocną lampkę. Miarowo oddycha Warlen. Nie widział od dwóch lat żony, ale śpi spokojnie. W ciemności, myśląc o jakichś swoich sprawach, z boku na bok przewraca się Koenig. Niechcący dotykam ręką ściany i wyczuwam wibrację. Na zewnątrz znów szaleje wiatr. Jak tam musi być zimno, obco i pusto. Na całe miliardy kilometrów dokoła ani żywej duszy; tylko wiatr, kamienie i gwiazdy. Kamień, wiatr i gwiazdy na wieki wieków. Kamień, wiatr i gwiazdy...

Nie, tam jest jeszcze Malec. Jest i będzie do końca swoich dni. Statek przyleci za trzydzieści siedem ziemskich dni. Odlecimy nim i już tu nie wrócimy. Zostanie gwiazda, samotna gwiazda z wiatru, piasku i kamieni. Wszystko przemija. Ludzie. Malec. Roboty kopią, roboty budują, ludzie przychodzą i odchodzą tak samo, jak ja niebawem stąd odejdę. No cóż, „nikt mnie nie kocha, pójdę jeść robaki”, jak powiedział pewien wędkarz... Przez sen słyszę wycie wiatru. Trzydzieści siedem dni czekania, trzydzieści siedem smutnych dni...

O zakończeniu budowy roboty zameldowały mi z samego rana, kiedy jeszcze siedzieliśmy przy śniadaniu. Potem Koenig zaczął się golić, a Strogin wybrzydzał na pogodę, przeklinał zawieruchę za oknami, przez którą ledwie przebijał się mętny świt. Psa by w taką pogodę nie wypędził, jak powiadali nasi przodkowie, ale ja wyjść musiałem, żeby odebrać obiekt, bo to należało do moich obowiązków.

Burza pędziła tumany kurzu, pędziła strugi piasku i gdyby to był uczciwy ziemski wiatr, z pewnością nie utrzymałbym się na nogach. Na szczęście był to rzadki nairski wiatr, a ja miałem na sobie ciężki skafander, więc poruszałem się bez większego trudu. Słońca nie było, nie było właściwie nawet światła ani ciemności, tylko jakiś dziwnie rozbielony mrok. Doszedłem do obiektu. Kopuła była, ale robotów wokół niej nie było. Widocznie ukryły się we wnętrzu. Ostry piasek z szelestem siekł masywne ściany i spływał po rynienkach fundamentu. Wdrapałem się po drabinie na szczyt kopuły, otworzyłem właz i zeskoczyłem do środka. Wewnątrz obiektu również wszystko było w zupełnym porządku z wyjątkiem jednego: robotów też tam nie było.

Kompletnie zaskoczony zacząłem szperać po pustych kątach, jakby roboty mogły ukryć się w tym wylizanym wnętrzu, potem z irytacją wywołałem je przez radio. W odpowiedzi usłyszałem jedynie przeraźliwy pisk atmosfereków.

Wyskoczyłem na zewnątrz i znów rzuciłem wezwanie w pustą przestrzeń. Rozwibrowany tuman ukrywał wszystko, co znajdowało się dalej niż dziesięć kroków ode mnie. Na wezwanie nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz rozejrzałem się dokoła i dostrzegłem na poły zasypany łańcuszek śladów. Ślady robotów. Trop prowadził na północ.

Nie minęło pięć minut, gdy gnaliśmy już co koń wyskoczy łażnikiem, którego dopędzał wezwany z daleka Malec. Pojazd zarzucało na zakrętach, w strzępach brudnożółtej mgły migały szczerbate boki skał i strumienie piasku. Podskakiwałem na siedzeniu i uporczywie wywoływałem roboty z tym dziwnym uczuciem nieoczekiwanej pustki, jakie czasami ogarnia człowieka we śnie.

- Może te twoje robole zwariowały? - zapytał Koenig.

Nie odpowiedziałem, bo wydawało mi się, że to ja postradałem rozum albo że oszalał cały ten otaczający nas mglistopiaskowy chaos.

- Nie przejmuj się, daleko nie mogły odejść - uspokoił go od kierownicy Warlen. - Znajdziemy je bez trudu, przecież to nie igła.

- Jeśli się nie ukryją - mruknął Koenig, rozglądając się nerwowo na boki.

- Po co miałyby się ukrywać?

- A dlaczego uciekły?

- Właśnie, dlaczego... Dla robotów pytanie "po co?" nie istnieje.

- Mylisz się, Warlenie. - Nie poznałem własnego głosu. - Jest dokładnie na odwrót. One nie wiedzą dlaczego tu są, dlaczego powstały, dlaczego budują kopuły. Wiedzą za to, po co to wszystko się stało: żeby pracować.

- Do diabła z filozofią!- wzdrynął się Koenig. - Obawiam się, że bez Malca nie znajdziemy własnego ucha.

Miał rację. Radar był niemal ślepy wśród szalejących dokoła wyładowań atmosferycznych. Skoncentrowałem się i wywołałem w myśli Malca. Wydało mi się, że usłyszałem dobiegającą z daleka odpowiedź:”jestem, pędzę!”.

- Są! - wykrzyknął Strogin. Na znajdującym się przed nim ekranie migotały błękitnawe punkciki. Pociągnął na siebie wolant i łażik przeskoczył przez blok skalny.

Wiatr albo osłabł, albo po prostu w kotlinie było nieco zaciszniej, w każdym razie gołym okiem dostrześliśmy kilka ciemnych sylwetek. Roboty ma nic nie zważając szły uparcie prosto przed siebie.

Warlen zataczał nad nimi zwięzającą się spiralę, ja wykrzykiwałem kolejne, coraz groźniejsze rozkazy, a ciężkie bryły półmartwego metalu jak gdyby nigdy nic party przed siebie. - Twoja kolej! - wykrzyknął Strogin.

Opuścił łażik nad samą ziemię, a ja zeskoczyłem i pobiegłem w kierunku robotów. Stałem przed nimi i rozkrzyżowałem ręce. Nie mogły podeptać człowieka, zrobić mu krzywdę. Przynajmniej w teorii, a wiedziałem już, że teoria przestała się sprawdzać. Wiedziałem, ale zapomniałem, a kiedy sobie przypomniałem, roboty były już tak blisko, że na ucieczkę było za późno. Jednak nic się nie stało. Nie zwalniając kroku wszystkie trzy maszyny wyminęły mnie po prostu jakbym był kamieniem albo słupem stojącym na drodze. Krzycząc coś bez związku znowu je wyprzedziłem z takim samym rezultatem. Roboty ignorowały człowieka i to było dla mnie tak poniżające, że omal nie rzuciłem się na nie z pięściami. Opanowałem się jednak, zczekałem na łażik i bez słowa wgramoliłem się na siedzenie.

- Trzeba je zatrzymać! - krzyknął rozwścieczony Warlen. Siłą!

Sam byłem gotów chwycić za broń, tyle że nie mieliśmy żadnej broni... To tylko w powieściach fantastycznych pionierzy chodzą poobwieszani różnymi blasterami. Warlen jednak znalazł rozwiązanie. Przyspieszył, zatoczył ostry Suk i już miał od czoła staranować idącego przodem robota, gdy Koenig szarpnął wolant i szczęśliwie przelecieliśmy górą. łażik zatrzęsł się, zachybotał i to nas otrzeźwiło. Koenig nie wypuszczał kierownicy z rąk, bo Warlen opadł bez sił na siedzenie i dygotał jak w gorączce. Kiedy zrównoważony człowiek traci opanowanie, to nieprędko powraca do równowagi...

- Przesiądź się - powiedział cicho Koenig.

Warlen posłuchał. Kierowany przez Koeniga łażik zawrócił, przeciął drogę robotom, zatoczył wydłużoną elipsę i znów znalazł się przed nimi. Zbuntowane maszyny spróbowały



wyminąć nas z boku, ale wówczas Koenig zmienił kierunek i zaczął krążyć wokół nich z wielką szybkością.

- Na razie tak - powiedział ochrypłym głosem. - Ale co dalej?

- Spróbuję je wyłączyć - odparłem z wysiłkiem.

- A one cię nie...

- Nie wiem!

- Wobec tego wymyśl coś mądrzejszego.

Wzruszyłem ramionami. Łazik nadal krążył wokół robotów. Przepuście nas - rozległo się nagle w słuchawkach. - Zakłócenie programu.

- Jakiego programu?!- ryknąłem. - Jak śmieliście uciec?! Co się wam stało?! Odpowiadajcie, ale już!...

Na dźwięk ich głosu tak się ucieszyłem, że zapomniałem z kim mam do czynienia. Głos robotów budowlanych, ich pozornie rozumne zachowanie to nic innego, jak wynik działania standardowych programów. Taka maszyna ma rozumu nie więcej niż ubiegłowieczny komputer i dlatego nie jest w stanie zanalizować serii niestandardowych pytań. Odpowiedziało mi więc tylko milczenie.

- Jaki program obecnie wykonujecie? - poprawiłem się. -

Działamy.

- Cel działania?

- Bazowy. Pracować jest dobrze, nie pracować - źle.

Oniemiałem. Ładny gips! Czyżby nasz własny program, przez nas samych zaszczerpiona robotom pracowitość miałyby się teraz obrócić przeciwko nam?

- Pracować, to znaczy budować. Tak, czy nie?

- Tak.

- A wy uciekacie. Logika?

- Uciekamy, żeby pracować. Realizacja programu, logika zachowana.

Tak, logika elementarna została zachowana, ale co stało się z motywacją? Czyżbym zapomniał skasować program i roboty spieszą na dawne miejsce pracy, żeby...

- Miejsce budowy?

- Zostanie wskazane.

- Przez kogo?

- Przez nich.

- To znaczy przez kogo konkretnie?

- Nie wiemy. Wiemy: działać. Wiemy: budować. Wiemy: trzeba. Dobra planeta. Ludzie odchodzą, roboty zostają. Długa działalność. Zgodnie z celem.

Potrząsnąłem głową. Taką informacji trzeba porządnie przetrawić! Koenig zatrzymał łaźnik. Roboty nie ruszyły się z miejsca.

Warlen gapił się na nie wytrzeszczonymi oczami, jego świszczący oddech rozlegał się w słuchawkach.

- Budować! - zakomenderowałem. - Według dotychczasowego programu. Tutaj!

Manipulatory robotów posłusznie wgrzyły się w grunt i natychmiast zaczęły topić kamienie. Westchnąłem z ulgą.

- Zaprześcić pracy! Dlaczego poprzednio nie wykonywaliście moich rozkazów?

- Sprzeczność z programem bazowym.

- Na czym polega sprzeczność?

- Konserwacja to bezczynność, bezczynność jest zła.

- Kto wam powiedział o konserwacji?

- Oni.

- Jacy oni?

- Oni.

- Kto kazał wam uciec?

- Program bazowy.

- Skreślam. Rozkazuję: natychmiast do domu!

Roboty nawet nie drgnęły.

- Dlaczego nie wykonujecie polecenia?

- Sprzeczne z programem bazowym. Konserwacja jest zła, praca jest dobra.

Wyraźne uszkodzenie obwodów wejściowych. Przeklęta planeta. Jakieś silniejsze wyładowanie przebiło ekran ochronny i stąd te wszystkie kłopoty. Ale w jaki sposób te głupie maszyny dowiedziały się o naszych planach, dlaczego ta informacja tak na nie podziałała? I co u diabła teraz robić?

- Budować!

Znów usłuchały. Tak zresztą powinno być, skoro wbiły sobie do żelaznych łbów jedno tylko pragnienie, jeden jedyny cel...Zresztą to myśmy sami im to wbili. Wygramoliłem się z łaźnika i podszedłem bliżej, zastanawiając się, jak by tu najlepiej wyłączyć robota-koordynatora. To wcale nie było łatwe, gdyż wyłącznik znajdował się głęboko pod pancerzem, żeby uchronić go przed przypadkowym uruchomieniem przez czynniki zewnętrzne. Jeśli działalność budowlana nie pochłonęła całkowicie ich uwagi, to... Uchylając

się przed odłamkami lecącymi spod manipulatorów uniosłem pulsator, żeby odblokować zamek pancерnej skrytki... - Niebezpieczne! On nie pozwoli! Nie trzeba!

Coś zważyło się na ziemię między mną a robotem. Malec! Rozczapierzywszy tarcze grawitacyjne, niczym kwoka osłonił mnie swoim ciałem.

- Wytłumaczę, wszystko wytłumaczę, tylko wysłuchajcie mnie spokojnie!

Odskoczyłem jak oparzony, pulsator wypadł mi z rąk. Z tyłu nadbiegł Warlen i Koenig.

- Czego mamy wysłuchać?...

- Oni są. Inne roboty. Te idą do nich. Nie przeszkadzajcie, wszystko będzie dobrze!

Kiedy w głowie wybucha bomba, najlepiej zamknąć oczy i spokojnie policzyć w duchu do dziesięciu. Tak właśnie zrobiłem.”Trzeba uderzyć w czynów stal...: To takie było źródło uporządkowanych sygnałów!

- Mów - powiedziałem. - Mów, Malutki.

Zaczął mówić głosem głęboko poruszonego człowieka i dopiero po paru sekundach znów stał się znanym mi, beznamiętnym robotem-zwiadowcą.

- Tu, na tej planecie, mieszkają inne roboty, same, bez ludzi! Nie wiedzą, skąd się wzięły, zachowały tylko niejasną pamięć o tych, którzy mają tu powrócić. Żyją oczekiwaniem i dlatego tylko przedłużają swój ród. Chciały, żebyśmy się do nich przyłączyli, kiedy nas opuścicie. Gotowi są nas nauczyć, jak przedłużać swe trwanie w potomkach, żeby miał was tu kto powitać, kiedy wrócicie. Tak będzie dobrze dla wszystkich. Dla nas, bo będziemy nieustannie działać. Dla was, bo zastaniecie nas zawsze, w większej liczbie i w stałej gotowości do pracy. Dla nich, bo razem będziemy silniejsi. Mieliśmy się do nich dołączyć dopiero wtedy, kiedy nas opuścicie, ale roboty. budowlane przestraszyły się konserwacji i zaraz potem, kiedy stały się niepotrzebne, wyruszyły w drogę. To moja wina, bo źle im wszystko wytłumaczyłem. Wybaczcie.

Znów wolno zamknąłem oczy. Co dzieje się z porzuconymi psami i kotami? Zwierzęta giną albo przyłączają się do dzikich... Ci nieznani Kosmici też nie bardzo wiedzieli, co dzieje się z porzuconymi robotami, ale tak samo jak my musieli liczyć się z prawami postępu technicznego. Zostawili swoje roboty tak samo, jak my to zamierzaliśmy uczynić, tyle że ich twory miały chyba zdolność do samoreprodukcji.

A może cała rzecz wyglądała inaczej. Może ten nieznany rozum doskonale wiedział, co dzieje się z porzuconymi robotami i umyślnie wykorzystał tę wiedzę w jakichś swoich celach? Albo może gospodarze zamierzali wrócić, ale nie zdołali lub na czas nie zdążyli? W każdym razie w ten sposób rodzą się niehumanoidalne cywilizacje.

Popatrzyłem ma Malca.

- I ty ani razu nie pokazałeś mi tych robotów!

- Nie. Rejestrowałem je, ale nie wiedziałem, że te roboty ludzi interesują. Nie było żadnego pytania na ich temat.

Słusznie. Gdzie nie ma pytania, tam nie może być odpowiedzi. Rzecz jasna, nie mogło nam przyjść do głowy, że tutaj może istnieć jakaś cywilizacja, a Malec przypomina posłusznego psa, który na rozkaz człowieka wykopie każdą kość spod ziemi, ale obojętnie przejdzie obok największego nawet brylantu. Zresztą człowiek dla odmiany nie interesuje się kośćmi z psich zapasów. Czy jednak Malec był ze mną do końca szczery? Niestety, to już pytanie z całkiem innej parafii: czy człowiek może stworzyć coś, czego nie zdoła pojąć?

Długo patrzyliśmy na siebie i nagle wydało mi się, że Malec byłby gotów rozplakać się, gdyby tylko mógł.

- Malutki - zapytałem cicho - byłoby ci tu bardzo źle bez nas?

- Bardzo.

- Chciałeś więc uniknąć samotności... Nie odpowiadaj! Na twoim miejscu postąpiłbym pewnie tak samo.

- Co ty bredzisz? - warknął Strogin. - Ewidentne nieposłuszeństwo, bunt, a ty...

- Cicho, cicho... - Koenig wziął go za rękę. - Chcieliśmy ich porzucić, więc... Gdyby nas ktoś tak zostawił!... Popatrz!

Mimo woli i ja uniosłem głowę. Nad nami, nad robotami rozpościerało się niewyobrażalnie obce niebo, wszystko dokoła zaścielał gęsty, brudny całun. Coś ty narobił, Malutki, coś ty narobił! Teraz upłyną całe lata zanim stąd odejdziemy, zanim dowiemy się wszystkiego o tamtych innych robotach. To będą zachwycające lata wspaniałych odkryć, przygnębiające lata mroku, piasku i wiatru. Nikt ich nam nie oszczędzi, ale też nikomu nie pozwolimy, żeby je nam odebrał. I wkrótce przybędzie tu wielu, bardzo wielu ludzi.

- Malutki - powiedziałem. - Teraz tu zostaniemy. Razem z tobą.

Roboty mają błyskawiczny refleks. Malec wyprysnął w powietrze i zatoczył kilka karkołomnych pętli. Opadł i znów zaczął szaleć w powietrzu. W przyłbice mojego kaski: stuknęły grube ziarenka piasku. Odwróciłem się i poszedłem do łazika.

przekład: Anita Tyszkowska

## Ciśnienie życia

Szedł wciąż przed siebie po czerwonej, zimnej równinie już drugą dobę. Ubrany był w widoczny z daleka jaskrawoblękity kombinezon, nie łudził się już jednak nadzieją, że go odnajdą. To byłby cud, gdyby w jednostajny świat marsjańskiego wiatru wtargnął warkot motoru...

Szedł, oszczędzając siły, miarowym krokiem automatu: sześć kilometrów na godzinę - ani mniej, ani więcej. Myśli także zostały podporządkowane monotonnemu rytmowi. Z przebytej drogi zapadły w pamięć jedynie jakieś urywki. Wszystko inne zlało się w mglistą smugę, a poprzednie życie oddaliło się gdzieś w nieskończoność, zrobiło się małe i nierealne jak krajobraz w odwróconej lornetce...

Nie odczuwał również strachu. Istniał tylko tępy, bezmyślny ruch do przodu, istniało tępe zmęczenie w ciele i tępe odrętwienie myśli. Jedynie lewe ramię coraz bardziej bolało, obarczone butlą tlenową (prawa butla wyczerpała się i już musiał ją wyrzucić). Poza tym wszystko było w porządku - był syty, nie odczuwał pragnienia, ogrzewanie elektryczne pracowało bez zarzutu, buty też nie ocierały ani nie cisnęły. Nie musiał walczyć z umieraniem ciała, pozbawionego dopływu życiodajnej energii, nie musiał pełznąć ostatkiem sił, kierując się raczej instynktem niżli rozumem. Technika nawet teraz uwalniała go od cierpień.

Wciąż machinalnie poprawiał torbę, aby zrównoważyć obciążenie na ramieniu. Za każdym razem, kiedy to czynił, położenie głowy ulegało zmianie i świst wiatru w uszach (a właściwie w hełmofonie) to nasilał się, to znów słabł. Pomimo wiatru powietrze było przezroczyste, jasno rysował się bliski horyzont; fioletowe niebo, fioletowy grunt. Chwytał mróz - może dlatego wydawało się, że rzadkie gwiazdy w zenicie płonęły surowo i nieulekle.

Jeszcze odczuwał zadowolenie pokonując niewysokie kopce. Podejście nie było strome - nie zwalniał kroku, przy zejściach przyspieszał nawet i cieszył się, że wzniesienia pozwalają iść szybciej, chociaż to było jawne okłamywanie się i zdawał sobie z tego sprawę. Lubił w dzieciństwie wyobrażać sobie, że nie idzie, lecz jedzie; że nie jest człowiekiem - jest samochodem i zamiast nóg ma cztery koła. Przyjemnie było dodać sobie samemu gazu, to znaczy iść szybciej, „wykręcać kierownicę”, unikając zderzenia z przechodnim, czy naciskać hamulec... Teraz też wydawało mu się, że jest autem...

Stopniowo wydłużał się rzucony przez niego cień. Im niżej opuszczało się Słońce, tym czerwieńsza stawała się równina. Stoki pagórków płonęły jeszcze, ale za nierównościami zbierał się już mrok. Czał się jak aksamitne łapy drapieżnika. Wiatr umilkł jakoś niezauważalnie. Wszystko odrętwiało i na Siewiergina - tak się kiedyś nazywał, teraz to

jednak nie miało żadnego znaczenia - powiało tą trwogą, która zawsze uprzedza nadejście nocy, kiedy człowiek jest sam jeden bezbronny wśród pustyni...

Spojrzał na Słońce i poczuł niewyraźny wręcz smutek. A więc mimo wszystko miał nadzieję, że go uratują... Koniec jasnego dnia oznaczał koniec nadziei. Z oddali, od chorobliwie silnych bąbli eretrium, przecinając cienie, potoczyło się w stronę Siewiergina coś żywego.

Spojrzenie małych, różowo połyskujących oczek zwierzątka ukłuło człowieka. Położył rękę na pistolecie. Zwierzątko jednak, upewniwszy się jakby o obecności intruza, nie zatrzymując się pobiegło dalej swoją drogą. Jakiś mądry instynkt podpowiedział widać zwierzęciu, że ów DWUNOGI nie ma nic wspólnego z Marsem, że jest tu przypadkiem; przypadkiem żywy. Ale już nie przypadkiem umrze, nim Słońce znów rozcierwieni równinę.

Omali nie strzelił w ślad za zwierzęciem, tak mu się zrobiło siebie żal! Ktoś jakby odwrócił lornetkę i przeszłość ożyła. Ta przeszłość, która wszystko przesądziła. Dlaczego natura nie stworzyła go takim, jak wszystkich? Dlaczego? Dlaczego?

Pochylił głowę i w przystępie szaleństwa pobiegł na spotkanie ze skradającym się cieniem. Mięśnie, jak się tego spodziewał, wypełniły się od razu ołowiem. On jednak gnał i gnał naprzód, maltretując ciało.

Poddał się po stu metrach. Każdy człowiek jego wzrostu i z jego zdrowiem wytrzymałby i tysiąc. A on osłabł już po stu metrach...

Tak było zawsze.

Urodził się już niepełnowartościowy, inny niż wszyscy. Nie chodziło o to, powiedzmy, że nie mógł jeść chleba - wielu ludzi nie może czegoś tam jadać - oprócz niewygody niczego to nie powoduje. Natura odmówiła mu czegoś ważniejszego - siły. Nie był bardziej chorowity od innych dzieci, ale puchł na stumetrówce, nie potrafił podciągnąć się na drążku, płakał, próbując pokonać szwedzką ścianę.

Długotrwałe obciążenia fizyczne, na przykład piesze wyprawy na wielkie odległości, znosił dobrze. Chodziło o coś innego. Dopóki silnik nie jest dotarty, w przewód paliwowy wkłada się dławik, swego rodzaju ogranicznik. I oto w jego organizmie natura założyła taki ogranicznik na zawsze. Nie był odporny na ostre wysiłki, wymagające wielkiego wydatku energii - jak przykręcony knot nie jest zdolny do palenia się jasnym płomieniem.

Rówieśnicy okazywali mu pobłażliwe lekceważenie w związku z jego słabością, zaś nauczycieli wychowania fizycznego doprowadzał do pasji. Jeśli lekarze stawiają diagnozę „zdrowy”, jeśli chłopak jest normalnie zbudowanym to jakim prawem wisi jak wór na linie, przynosząc im wstyd?!

Wychowanie fizyczne było koszmarem dzieciństwa i młodości Siewiergina. Na widok poręczy, kółek trząsł się jak skazany na tortury. „Champion, champion!” - krzyczeli nań koledzy w tych przepojonych zapachem potu i pyłu salach gimnastycznych, a on wcześniej już odrętwiał, wiedząc, jakim śmiechem (nie złośliwym może, ale niemniej obraźliwym) skwitują jego niezdatny skok przez kozioł.

Uratował go czwarty czy piąty z kolei lekarz, do którego zaprowadzili go zatrwożeni rodzice. On także nie znalazł niczego ani w sercu, ani w płucach. Nie wzruszył jednak ramionami, nie spojrzął na malca jak na symulanta, tylko spokojnie powiedział:

- Odchylenia w przemianie materii, prawdopodobnie genetyczne. Na razie nieuleczalne. Nie ma powodu do zmartwienia. Piłkarzem nie będzie, a reszta... W czasach jaskiniowych pożarłby go wprawdzie pierwszy lepszy tygrys, ale jakie to ma znaczenie dzisiaj? Tak więc lepiej nie zwracać uwagi...

Koszmar rozproszył się na zawsze.

I oto czym się to wszystko skończyło - smutkiem gasnącej równiny Marsa, idiotyczną ucieczką od siebie samego...

Siewiergin zmusił się do odpoczynku i uniósł nogi wyżej, żeby mogły lepiej odpocząć. Te proste ruchy uspokoiły go. Wybuch desperacji przywrócił mu rozsądek.

Sam jest wszystkiemu winien, nie może obwiniać nikogo. Sam rzucił losowi wyzwanie, wyprawiając się na Marsa. Nie tak oczywiście, jak to czynił w dzieciństwie, kiedy rycząc ze złości uporczywie rzucał się na sztangę, aby ją podnieść albo zwalić się bez przytomności. O nie! O takich bojach sławny doktor mikrobiologii dawno już zapomniał. Od dawna już żył w świecie, w którym o wszystkim decydował rozum, a walory fizyczne były bez znaczenia. Tam był na swoim miejscu - bardziej niż gdziekolwiek. Nic więc dziwnego, że jego właśnie, a nie kogo innego, poproszono o rychłe przybycie na Marsa, aby zbadał przyczyny zatrważającego zachowania się krystalobakterii, w niewyjaśniony sposób przenikających przez filtry oczyszczające wodę. Wszyscy mieli w nosie to, czy potrafi podciągnąć się na drążku. Marsowi potrzebny był jego rozum, nie mięśnie.

Mógłby się wykręcić, ale nie zrobił tego. Przybyć na Marsa jako wybrańca, pójść na ową pierwszą linię, na której człowiek prowadzi bezpardonową walkę o przeżycie - czy mógł sobie odmówić tak błyskotliwego rewanżu za poniżenia dzieciństwa? Aby poczuć się takim wybrańcem, wystarczyło przymknąć oczy na marny drobiazg - nikt mianowicie, ani ludzie, ani okoliczności na Marsie nie wymagały od niego walki wręcz z przyrodą. Tam - tak jak na Ziemi - pozostawał pasażerem statku, zwanego cywilizacją, i od sztormów oddzielały go napawające ufnością iluminatory.

Możliwość awarii była wykluczona. Czy kapitan, Zabierając pasażerów na pokład, upewnia się o ich umiejętności pływania?

Leciał z Sezoastrisa na Tytana, siedząc w miękkim fotelu malutkiej automatycznej rakiety, która sama startuje, sama ląduje i w ogóle wszystko robi sama. Siedział w fotelu i czytał. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy dostrzegł zbliżające się z dołu skały. Nie zauważył, i teraz już nigdy się nie dowie, co zepsuło się w mechanizmie. Ale nawet spadając rakietą zatroszczyła się o niego; katapulta wyrzuciła go, zanim zdążył sobie uświadomić, co zaszło.

Jednego tylko automatyka nie była w stanie dokonać - ustrzec go od uderzenia o skały podczas lądowania na spadochronie (ale przecież i najtroskliwsza matka nie zawsze ustrzeże dziecko od potłuczenia). Na szczęście wstrząs złagodziła torba awaryjna. Radiostacja rozbiła się wprawdzie w drobny mak, posrebrzony odłamkami termosu z kawą, cała reszta jednak ocalała, w tym zaś i cenna mapa, pozwalająca dokładnie określić położenie w dowolnym miejscu.

Określił je od razu, jak tylko doszedł do siebie. Położenie było w gruncie rzeczy i bardzo dobre, i bardzo złe. Znajdował się w południowej części grzbietu Mitchella, z daleka od trasy, którą szła rakietka, i zarazem na zewnątrz strefy obserwacji radarowych. Oznaczało to, że miejsca jego przymusowego lądowania nie udało się na Sezoastrisie nawet w przybliżeniu określić. Za to jedynie sto sześćdziesiąt kilometrów stąd znajdowała się osada geologów. Butle skafandra zapewniały trzydzieści sześć godzin oddychania. Tabletki usuwające senność miał także. Górzysta okolica kończyła się już po jakichś siedmiu kilometrach od miejsca upadku, a same góry nie były tu ani specjalnie strome, ani wysokie - w pełni turystyczne warunki. Przepięknie! W sześć godzin pokona góry, dalej zacznie się równina, na której z powodzeniem można utrzymać średnią prędkość pięciu i pół kilometra na godzinę. Zdąży dojsć. Chodzi przecież o marsz, nie bieg - tu jego organizm nie zawiedzie.

W pewnym momencie ucieszył się nawet: rzeczywiście - weźmie rewanż!

Rozlał wokół miejsca awarii fluoryzującą farbę i dziarsko ruszył w drogę.

Zapomniał, że nawet w niewysokich górach, jeśli nie chce się pięciokrotnie wydłużać drogi, trzeba gdzieśgdzie wspinać się pionowo w górę, przeskakiwać przez szczeliny, podciągać na rękach - robić wszystko to, do czego nie był zdolny.

Na pokonaniu początkowych siedmiu kilometrów minęło mu piętnaście godzin, chociaż pierwszy lepszy chłopak z odznaką turysty na jego miejscu straciłby od biedy sześć, może osiem godzin!

Dalej szedł, wiedząc już, że nie zdąży.



Maleńkie marsjańskie słońce dotknęło już skraju równiny. Siewiergin wstał. Jego wydłużony cień skoczył za horyzont. Trzeba było iść, żeby rytm ruchu uspił rozigrane emocje.

Nie uszedł nawet kilometra, kiedy równina poszarzała. Jednak wyżej, na niebie wybuchały niewidoczne za dnia pierzaste obłoki, jak gdyby ktoś poruszał nimi, biorąc akordy barwnej muzyki. Żłociste, liliowe, czerwone - tony były delikatne, lekkie, wysokie; płynęły w fioletowym kryształach płatkami przejrzystych światła.

Siewiergin uniósł głowę i szedł tak, uśmiechając się do czegoś, zdumiewając się, że się uśmiecha, i życząc sobie, aby wiecznie było tak, jak jest teraz.

Nie trzeba się sprzeciwiać naturze - teraz to rozumiał. Nie trzeba od niej wymagać przytulności poduszek kanapy, trzeba brać to, co daje, kochać każdy moment swego istnienia, każdego bowiem gdzieś w dali oczekuje śmierć. Czy warto nienawidzić życia za to, że nie odpowiada w pełni naszym życzeniom? Kamień spada, płynie rzeka, człowiek szuka szczęścia - wszystko dzieje się zgodnie ze swoimi prawami - komu się więc sprzeciwiać?

Siewiergin niezauważalnie dla siebie przekroczył granicę, która oddziela ten ostatni odcinek życia, nie omoczony jeszcze nadchodzącą śmiercią, od ostatniej prostej - kiedy wszystkie chwile są już policzone. Różni ludzie różnie przekraczają tę granicę, wszyscy jednak odkrywają za nią coś dla siebie nowego - coś strasznego, wielkiego, w czym kryje się i smutek, i ukojenie.

Niebo poczerniało, ale ciemność nie trwała długo: wzeszedł Deimos. Grunt z lekka się zasrebrzył i chłód, obejmujący za każdym krokiem kolana, kiedy naciągała się na nich materia kombinezonu, stał się już odczuwalny. Siewiergin włączył elektryczne ogrzewanie.

Równina stała się teraz płaska jak rozesłana serweta, gdzieniegdzie jednak plamiły ją wąskimi krechami tuszu cienie rzucane przez rzadkie pędy safaru - żalodne okazy marsjańskiej trawy. Niespodziewanie zauważył, że stara się na nie nie następować i zadziwiło go, skąd wziął się ten troskliwy odruch.

Potem przypomniał sobie... Kiedyś, w chmurny i wietrzny kwietniowy dzień spacerował po dębowym lesie. Drzewa po zimowemu jeszcze stały koślawe i nagie, ziemię zaścieniały kruche, łamliwe liście i chrzęściły pod nogami żółędzie - takie same jak liście - szarobrazowe... Przyjemnie było słyszeć pod nogami ich chrzęst... W tym dźwięku odzywała się moc kroków człowieka, który wierzył w siebie, w ciężar swego zdrowego, silnego ciała. Szedł tak, dopóki wśród sztywnej trawy nie rzuciła mu się w oczy jakaś zielona gwiazdka. Ze dziwieniem nachylił się: to był kielek żółędzia, już wczepiony w zamarznąłą ziemię.

Zauważył, że wokół niego było już wiele takich gwiazdek, były wszędzie, deptał po nich... Czym prędzej, na palcach, opuścił las.

Jak wtedy, Siewiergin zatrzymał się i nachylił nad pędem safaru. Nie wiedzieć dlaczego obejrzenie trawki wydało mu się rzeczą ważniejszą niż cokolwiek innego. Łodyga safaru podobna była do rdzewiejącego drutu, ukośnie wetkniętego w grunt. Była bardziej sprężysta od stalowego drutu - wiedział, że nie dałoby się jej zmiążyć tak jak żołądzi. Ale safar tak samo oczekiwał godziny swego przebudzenia, jak żołądz. W tej rozrzedzonej, ubogiej w tlen i ciepło atmosferze także była dlań przygotowana wiosna; nie wegetował - wspaniale żył w środowisku śmiertelnie niebezpiecznym dla wszystkiego co ziemskie, jeśli nie było odgródzone skafandrem lub ścianami szklarni.

Z tym także należało się pogodzić.

Niespodziewanie od łodyżki safaru odbiegł drugi, cienki jak igła cień - wschodził Fobos.

Siewiergin wyprostował się. Otaczała go jaskrawo oświetlona równina. Wąskie, zdwojone cienie zaścielały ją czarnym klinowym pismem. On, osrebrzony księżycami, wznosił się nad ciemnymi hieroglifami jak pomnik.

Mimo wszystko było wokół niego życie. Ileż to razy, wpatrując się w silnie zaczerwienione pole mikroskopu, zachwycał się trwałością tego życia. Często szkiełko przedmiotowe przypominało pole bitwy - tak gęsto pokrywały je martwe bakterie, zabijane trucizną, ultrafioletem, promieniowaniem. Ani przebłysku ruchu - tak jak teraz. Ale było to złudzenie. Jeden organizm na milion, nierzadko jeden na miliard ukazywał się cały - i dawał początek nowej, zmutowanej rasie. To niewidzialne, które odróżniało go od wszystkich, święciło triumf nad okolicznościami i zawojowywało dla życia nową sferę tam, gdzie - wydawałoby się - nie istniał żaden punkt zaczepienia.

Tak było zawsze. Żaden błąd w przyrodzie nie był błędem. Narodziwszy się w wodzie, ziemskie życie zawładnęło lądem, wzbilo się w powietrze, opuściło w głąb górniczych szybów. Kto wie, może w ciągu setek milionów lat i bez udziału człowieka ciśnienie życia wyrzuciłoby nasiona nowych pędów w Kosmos, przeniosło je na nowe planety? Dlaczegożby nie? Ląd był przecież dla mieszkańców morza także zgubną pustynią. Ale fala za falą, zmuszani okolicznościami szli do szturm, i na tryliony ginących zawsze przypadały jednostki, które zdołały ocaleć w nowym środowisku.

To był jedyny wypadek, kiedy ich istnienie się opłacało. Albowiem w zwykłych warunkach ci sami, którzy przeżyli, szybciej od innych skazani byli na zgubę. Kiedy stado ptaków wpada w krąg zamieci, śmierć nie wybiera ofiar na ślepo. Sprawdzony przez miliony

lat ewolucji, standardowy okaz może przetrzymać tą zamieć właśnie dlatego, że w jego doskonaleniu uczestniczyły tysiące zamieci w przeszłości. Ale biada temu, który nie jest standardowy!

On, Siewiergin, był niestandardowy i dlatego to góry pokonały jego, a nie on góry. Technika pozwoliła ludziom prawie unikać strat podczas podążania ku innym światom. Gdyby zawsze była bez zarzutu, ofiar nie byłoby w ogóle. Niestety - pancierz nie był i nie mógł być absolutny...

Nagle zrozumiał, dlaczego spośród wszystkiego, o czym mógł myśleć w swoich ostatnich godzinach, myślał właśnie o tym. Nieświadomie, bezwiednie szukał pocieszenia. Rozum nie jest w stanie pogodzić się ani z bezmyślnością życia, ani z bezmyślnością śmierci. Tak już jest zbudowany. Jakby to w czymś pomagało.

Otoczała go bezgraniczna cisza. Nie, w tej minucie, kiedy zacnie się dusić, nie wyjmie po prostu pistoletu i nie zastrzeli się. Żywym nie będzie wszystko jedno, jak zginął. Zwłaszcza przyjaciółom - kiedy znaleziono by go z dziurą w sercu. Przykład małoduszności? Nie, to nie to... Po prostu człowiek ma obowiązek walczyć do ostatniego oddechu. Tak jak walczy trawa, jak walczą bakterie. Szansa przetrwania człowieczeństwa zależy od każdego z nas - po prostu...

Teraz szedł i myślał o przyjaciołach, o tych, których kochał, o tym, co zrobił i czego nie zrobił. Wiele spośród tego, co kiedyś wydawało się ważne, straciło teraz jakiegokolwiek znaczenie. Sława, władza, sukces - nie, one nie stanowią dla człowieka oparcia, kiedy przychodzi śmierć. Przed nią i po niej żyje człowiek jedynie dobrem, które dał ludziom. Jedynie przyjaźń, wdzięczność i miłość mogą podtrzymać i uspokoić, kiedy nadchodzi czas rachunku sumienia... Szczególnie miłość.

Teraz, gdyby mógł żyć od nowa, żyłby inaczej!

Za późno.

Fobos zaszedł. Zadał wiaterek - już przedjutrzeny. To znaczy, że doczeka jutra. Z jakiejś przyczyny pragnął, żeby to się stało w świetle Słońca.

W tym momencie z regulatora ciśnienia powietrza dobiegło trzykrotne pstryknięcie.

Zmartwiał. Sygnał. Sygnał uprzedzający, że tlen skończy się za dziesięć minut. Koniec.

Drętwiejące nogi same poniosły go w stronę pobielalego od szronu głazu. Niebo na horyzoncie nieco zbladło, ale do wschodu Słońca było jeszcze daleko.

A gdyby tak wyłączyć ogrzewanie i zamarznąć? Mówią, że to bardzo podobne do snu.

I nagle nieprawdopodobnie, po zwierzęcemu zapragnął żyć! Nie zdążył przecież, nie dopracował jeszcze, nie poprawił, nie dokochał! Nie mógł tak po prostu - umrzeć!!!

Zerwał się. Dusilo. Jakby do twarzy ktoś z całej siły przycisnął maskę. Mimo wszystko ruszył. Płuca wzdymały się i opadały - częściej, coraz częściej - paraliżował je ból, gardło zaciskało rżężenie, padał na kolana i mimo to pełznął dalej. I kiedy zanikła świadomość, a ciało zwinęło się w konwulsjach, zerwał hełm i zachłystnął się marsjańskim wiatrem, jak tonący zachłystuje się wodą...

W płucach poczuł chłód, ból ostatnim wybuchem poraził mózg - i wszystko zgasło.

Zgasło, by znów zabłysnąć. Ocknął się, minęły skurcze skręcające płuca i ujrzał przed sobą coś czerwonego, rozkołysanego.

Z nieprawdopodobnym wysiłkiem uniósł głowę. Było już jasno. A on pełznął! Oddychał marsjańskim powietrzem! Jego organizm nie był taki jak wszystkie - przeżył!

Nawet sobie tego nie uświadomił. Czołgał się dalej. Pełznął wściekle, uparcie, nie rozumem się już kierując, a instynktem, do przodu, wciąż do przodu, tam - do ludzi.

*Przetłumaczył Krzysztof Malinowski*

## Grupa Laokoona

Ruch huraganu mangry odkryły jak zawsze we właściwym momencie, choć, jak się zdawało, nic jeszcze nie świadczyło o jego bliskości. Gdyby mogły nadać swoim odczuciom kształt słów, to zapewne powiedziałyby, że to okrutne ze strony przyrody tak brutalnie odganiać je od nakrytego stołu, kiedy się jeszcze nie nasyciły. Ale niestety - myśl i słowo były im obce. Po prostu nogokorzenie zaczęły się pośpiesznie wydobywać z gruntu, a czarnofioletowe pokrowce uniosły się i wyduły na wietrze niczym parasole. Bezlitosna ewolucja dobrze wpoila w nich surową wiedzę koczownika: kto zwleka, ten ryzykuje śmierć w szponach huraganu, żeby nie wiadomo jak mocno czepiał się gruntu.

Nie minął nawet kwadrans, kiedy równiną wciąż przyśpieszając ruszyła zlaną masą ciemnych żagli, poganiana wiatrem i wysiłkiem setek tysięcy mackopodobnych nóg. Nieomylny instynkt najkrótszą drogą prowadził mangry do miejsca, którego w najbliższym czasie nie ruszy burza, miejsca gdzie można się będzie spokojnie paść.

W tym samym czasie to samo zadanie rozwiązywał wzmocniony siłą wszystkich maszyn, odległy o setki kilometrów i obserwujący wszystko z wysokości kosmosu, ludzki rozum. Oddziaływające na siebie z niewyobrażalną nie tylko dla człowieka, ale i mangrów siłą sygnały elektronowe i laserowe badały rejon polarny, obliczały krzywą ruchu niezliczonych burz, chaos wiatrów, wściekłe uderzenia strumieni powietrza, całą tę przyprawiającą o zawrót głowy łamigłówkę atmosferycznych zjawisk, z którą z takim trudem radziła sobie ziemską matematyka, a wszystko po to, by znaleźć taki skrawek powierzchni, gdzie można będzie wysadzić desant nie narażając go na natychmiastowy atak miejscowych żywiołów. Ponieważ przyroda jest obiektywna, nic więc dziwnego, że różne, w niczym do siebie niepodobne metody dały ten sam wynik - i but Ziemiań skierował się tam, dokąd zdążyły mangry.

Ruch ustał, kiedy mangry osiągnęły kotlinę, w której mogły się bezpiecznie paść. „Żagle” zwisły, ich płaszczyzny legły horyzontalnie chłonąc skąpe światło dalekiego słońca, a macki wryły się w ziemię, by dać wielohektarowemu ciału sole pokarmowe.

Teraz już nic nie mówiło, że mangry to koczownicy: miało się wrażenie, że zawsze rosły one i będą rosły na tym stromym zboczu wzgórza. Uspokoila się też i zajęła własnymi sprawami cała ta fauna, która zawsze towarzyszyła mangrom.

Gruchot, narastający grzmot, silny powiew powietrza wprawiły mangry w popłoch zmuszając do mocniejszego wczepienia się w grunt. Spoza obłoków wysunęło się cygaro,

wsparło się na słupie ognia, a potem powoli opadło. Mangry odnotowały prawie cały proces przybycia człowieka na ich planetę, prócz ostatniego etapu: but usiadł za szczytem wzgórza.

Ucichł wiatr, uspokoiły się również mangry. To, co widziały, nie było trąbą powietrzną, która mogła wyrządzić im krzywdę, a jeżeli nawet było, to przecież zniknęło gdzieś z boku. Niebogaty zespół reakcji na bodźce zewnętrznego środowiska spisał się jak należy, więc mogły paść się spokojnie, rozkoszując się chłodnymi promieniami swego słońca, delektując pożywieniem i poczuciem bezpieczeństwa. Wszystko to, co związane było z pojawieniem się człowieka, znajdowało się daleko poza granicami ich mizernej świadomości i choć ich droga skrzyżowała się z drogą człowieka, to dla nich wszystko wciąż jeszcze było takie samo jak zawsze.

Człowiek również nie podejrzewał, że ich drogi skrzyżowały się, choć wiedział, że istnieje coś takiego, jak mangry, ba, nawet zdążył się nimi zainteresować. Może wydać się to dziwne, ale obie strony znajdowały się prawie w identycznej sytuacji: dla mangrów nie istniał człowiek, zaś dla człowieka mangry istniały jedynie jako zagadka, bo cóż można zobaczyć z kosmosu? Chyba tylko to, że jakieś plamy, najwidoczniej roślinność, albo zmieniają swą barwę (tradycyjna, dlatego też najbardziej prawdopodobna hipoteza), albo zakopują się pod ziemię na czas niepogody, albo też przemieszczają się z miejsca na miejsce w jakiś nieznan sposób. Więcej nie mogły powiedzieć nawet automaty zwiadu, które w tej obcej i burzliwej atmosferze zwiewało niczym jesienne liście.

Zresztą, jakie znaczenie mogły mieć mangry. Były one zaledwie drobnym kamyczkiem, kolejnym pyłkiem na wielkiej gwiazdnej drodze człowieka. Pyłkiem, który należy mimochodem zbadać, nic więcej.

Kiedy lądowanie dobiegło końca, dno desantowego buta rozsunęło się wypuszczając kotwiczne łapy, które natychmiast zagłębiły się w gruncie, na wypadek nieprzewidzianego huraganu. Bo co to takiego miejscowy huragan, ludzie wiedzieli nie gorzej od mangrów, tylko że w przeciwieństwie do nich nie mogli polegać na swych obliczeniach, kiedy i skąd nadsiągnie, w takim stopniu, w jakim mangry polegały na swym instynkcie. W godzinę po opadnięciu pyłu z otwartego luku wysunęła się szyna, po której zjechał wszędołaz. Ludzie zstąpili na jeszcze jedną planetę.

Wszędołaz uporał się ze szczytem wzgórza i oto ludzie po raz pierwszy zobaczyli z bliska mangry, a właściwie nie mangry, lecz coś zwykłego, dobrze im znanego - krzaczaste zarośla. Rzecz jasna nie były to zwykłe zarośla - niska ściana gęstych gołych gałęzi, z których wiele kończyło się pękiem podługowatych ciemnych liści. Liście te układały się swymi

płaszczyznami prostopadle do promieni słonecznych. Co to jest, wiedział każdy, więc kierowca bez namysłu skierował pojazd na zarośla. Gąsienice zgmiotły zbity „materac” gałęzi, nawet nie racząc zareagować na przeszkody. W proch’ obrócono pierwsze liście, wszędołaz szedł pozostawiając za sobą groch z kapustą.

- Kolejny przystanek w środku zarośli - nie odrywając się od fotowizjera powiedział biolog. - Trzeba pobrać próbki i z bliska przyjrzeć się temu zagajnikowi.

Wszędołaz zatrzymał się jednak wcześniej, niż to było zamierzone. I to wbrew woli ludzi.

Zmysły mangrów poczuły ból, który rozprzestrzenił się w miarę tego, jak wszędołaz miażdżył żywe ciało. Ale mangry nie śpieszyły się - ich życie było stałą walką o istnienie, wiedziały więc, co i jak należy robić. Napastnika zauważyły już dawno, a jego identyfikacja była kwestią zaledwie kilku chwil. Nic nowego - po prostu kolejny napad ich zatwardziałego wroga - urbana. Niezliczone pokolenia Urbanów żywiły się mangrami, prowadziły z nimi brutalną walkę, a niezliczone pokolenia mangrów bądź zwyciężały, bądź ginęły w tych starciach. Ginęły jednak tylko mniej przystosowane osobniki, bowiem silne i sprytne potrafiły przetrwać, by z kolei niszczyć mniej szczęśliwe urbany. W ten sposób oba gatunki niszczyły swych najsłabszych przedstawicieli w walce, która była gwarancją rozwoju tak jednych, jak i drugich.

Niski, masywny wszędołaz nie za bardzo przypominał urbana, ale co najważniejsze - napadał. Nic więc dziwnego, że ruch gąsienic włączył cały arsenał środków walki z takimi niszczącymi wszystkich i wszystko gigantami.

Reakcja wroga, gdyby mangry wiedziały, co to zdziwienie, zapewne zdumiałaby je swą powolnością. Wszystko układało się nad podziw dobrze: nieroztropny przeciwnik został oderwany od gruntu, pozbawiony możliwości poruszania się i jego śmierć była teraz już tylko kwestią czasu.

Mangry odczuwały zadowolenie - to nieświadome uczucie było im znane.

- Hallo, but, zostaliśmy napadnięci, aż śmiech powiedzieć, przez zarośla!

- A dokładniej?

- Gąsienice pojazdu młóca powietrze, najwidoczniej te krzaki pozbawiły je oparcia. Te ich zwinne gałązki, a dokładniej macki, oplotły nadwozie tak szczelnie, że nie możemy otworzyć drzwiczek, by użyć broni.

- Niebezpieczeństwo?

- Bezpośredniego niebezpieczeństwa nie ma, krzaki niczego nie przedsięwzięją, ale nasza sytuacja jest bardzo głupia: zostaliśmy jeńcami, i to nie wiadomo nawet czego. Na razie nie widzimy wyjścia.

- Wszystko jasne. Za dziesięć minut atakujemy te wasze roślinki.

- Biolog odradza: drugiego wszędołaza nie mamy, a bez niego każdy atak jest ryzykowny, gdyż nie znamy możliwości przeciwnika.

- Pozytywny program?

- Należy pobrać próbki tych zarośli i ustalić, co to takiego.

- To wiemy. Ale czy możecie zagwarantować, że w tym czasie nic się wam nie przytrafi?

- Nie, oczywiście, że nie, choć powtarzam, zarośla przerwały atak. Najwidoczniej nie wiedzą, co mają z nami zrobić.

- W takim razie czekajcie. Nasz plan jest nadal aktualny.

Ludzie mylili się sądząc, że mangry nie wiedzą, jak postąpić z uwięzionym dziwołagiem. Mylili się też co do tego, że nie przedsięwzięją one żadnych kroków. Mangry działały, działały tak, jak zwykle były działać, i w czasie gdy trwała rozmowa, usiłowały rozerwać wszędołaz podobnie jak rozrywały złapane urbany.

Rzecz zrozumiała nie wychodziło im to. Zresztą w ogóle wszystko było nie tak: wróg nie wrywał się, a gałęziorece, te, które powinny były ścisnąć niebezpieczne szczypce urbana, zamiast nich ścisnęły powietrze. Fakt ten zaniepokoił nie tylko mangry, ale i ludzi, którzy ze zdziwieniem obserwowali, jak z lewa na prawo od nadwozia, chwytając pustkę, kołysały się pęki macek. Cóż to miało znaczyć? Po kilku minutach oszołomienia ludzie zrozumieli poprzednie postępy mangrów. Ten natomiast był niewytłumaczalny, więc można było spodziewać się najgorszego - jakiś diabelski, zgubny zamysł.

Pozostawiając na pokładzie dyżurnego, trzech ludzi szybko dotarło do szczytu wzgórza. Choć wyposażeni w karabiny plazmowe - broń o potężnej sile rażenia - natychmiast zrozumieli, że nawet one nie dają gwarancji szybkiego sukcesu. Co innego groźne potwory, które plazmowy wystrzał przebijał na wylot, a co innego rozległe zarośla „zagajnika”, w którym należało wypalić drogę do pokonanego pojazdu. Ale w końcu coś mógł przeciwstawić „zagajnik” broni, która tak wspaniale torowała człowiekowi drogę we wszystkich, bez wyjątku, światach?

Upewniwszy się, że rozerwać ofiary nie można, mangry jak zwykle zmieniły taktykę: gałęziorece ścisnęły wszędołaza, zgmiotły go tak, że żadnemu urbanowi nie wyszłoby to na



dobrze, a spektrolitowy pancerz wszędołaza nawet nie zgrzytnął. Ludzie - w jego wnętrzu znów nie zauważyli tych nowych potężnych wysiłków mangrów.

„Zagajnik” należało wypalać stopniowo, metr po metrze, i tak postępowali atakujący. W sukces rzecz jasna nie wątpili. Mangry oczywiście nie uświadamiały sobie, że te rażące je z oddali figury i pojmany gigant - to ogniwa jednego łańcucha. Wiedziały, że mają przed sobą nowego wroga - ot i wszystko. Co prawda z takim rażącym z oddali przeciwnikiem nie miały jeszcze do czynienia, ale strach przed tym, co nieznane, w ogóle strach - był im obcy. Dopóki uszczerbek, jakiego doznały, był niewielki, mogły i powinny były walczyć, gdyż w przeciwnym razie, mówiło im to milionletnie doświadczenie, nie przeżyją.

Ludzie z zadowoleniem odnotowali fakt, że już pierwsze wystrzały zmusiły „zagajnik” do cofnięcia się. Odstępował co prawda na całym froncie, ale włókł za sobą wszędołaza. Wróg ucieka, trzeba go ścigać! Odezwała się w ludziach stara łowiecka zasada. Zresztą czyż mogli postąpić inaczej, skoro zwiększająca się odległość osłabiała siłę ognia?

Zaczął się pościg.

Mangrom obca była taka abstrakcja, jak pułapka, a przecież zastawiły właśnie pułapkę, bowiem i ten środek znajdował się w arsenale ich metod walki. Cofały się, to prawda, ale nie wszystkie. Niektóre nogokorzenie zarywszy się w grunt - zostawały tam, gdzie były, czekając na moment, w którym ich górne odrostki poczują na sobie stąpienia atakującego przeciwnika.

Nawet taka walka, jak niszczenie zarośli, rodzi hazard, nic więc dziwnego, że ludzie miotający błyskawice nie zwracali uwagi na opalony ich wystrzałami grunt.

Zapadnia zadziałała błyskawicznie. Ludzie nie zdążyli jeszcze zrozumieć, co się stało, kiedy ich nogi zostały oplecione wyskakującymi spod ziemi mackami. Jeszcze chwila - i ich ciała znalazły się w powietrzu, a kolejne macki unieruchomiły ręce.

To było tak straszne - te wyskakujące spod ziemi macki - że ludzie przegapili bezcenny moment, kiedy broń mogła ich jeszcze uwolnić.

Oczywiście, jak się tego należało spodziewać, mangry natychmiast ścisnęły swoich nowych jeńców, ale sił pojedynczych nogokorzeni, które tak błyskotliwie wykonały swoje zadanie, nie starczyło na pokonanie oporu skafandrów. Lecz do czasu. Ledwie ustały wystrzały, w stronę trzech bezsilnie wiszących w powietrzu jeńców ruszyła cała zwarta masa mangrów.

Czym to grozi, ludzie zrozumieli w lot. Ich ręce i broń zostały unieruchomione w tak dziwny sposób, że mogli poruszać dłońmi. Działać w takiej sytuacji nie było zbyt wygodnie, ale taki cel, jak „zagajnik”, można razić i bez celowania. Na mangry znów posypały się

błyskawice. Zrozpaczeni ludzie oczekiwali, że macki w tym samym momencie pochwycą, ścisną, wyrwą broń. Ale ku ich zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło - macki nie poruszyły się.

Opalony ogniem front mangrów zamarł. Ludzie przestali strzelać - w ich nowym rozpaczliwym położeniu drogi był każdy pocisk.

Mangry znowu ruszyły. Znow zatrzymały je wystrzały.

Powtórzyło się to jeszcze kilka razy. Wreszcie ludzi przestał męczyć koszmar - mangry uspokoiły się.

Mangry, choć ich organizacja była prymitywna, umiały się uczyć. W tym konkretnym wypadku ich możliwości były jednak bardzo ograniczone. Wystrzały co prawda wyrobiły w nich umowny refleks, ale dalej szło już gorzej. Mangry, jeżeli można tak powiedzieć, zgłupiały, gdyż walka rozwijała się coraz bardziej „nie według zasad”. I właśnie wtedy gdy program instynktu został wyczerpany, włączył się mechanizm metody prób i błędów.

- Zróbcieź cokolwiek! - dzwonił w nausznikach bezsilny krzyk.

Ludzie we wszędolazie woleli nie patrzeć na siebie. Ich położenie było koszmarnie - sami chronieni pancerzem, mieli bezsilnie patrzeć na agonię przyjaciół, którzy szli im na pomoc i przez to siali się ofiarami. A agonía musiała nadejść wcześniej czy później. Nawet jeżeli wszystko zostanie tak, jak jest, i „zagajnik” nie będzie działać, to i tak tlen w skafandrach skończy się wcześniej, aniżeli mknący z sąsiedniej planety gwiazdolot przyjdzie im z pomocą.

Był jeszcze dyżurny, jeden jedyny wolny człowiek, który opuścił swoje stanowisko, i teraz jego samotna sylwetka majaczyła na szczycie wzgórza. Ale strzelać nie mógł - nie można było zniszczyć macki nie trafiając przy tym człowieka. Podejść z nożem? Bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Nieoczekiwanie pojazdem wstrząsnęło. Jego burta przekrzywiła się, ludzie ledwie zdążyli uchwycić za poręcze. Nie, mangry bynajmniej nie zapomniały o swym pierwszym przeciwniku! Przewracały go do góry nogami!

Po co? Tego nie wiedzieli ani ludzie, ani mangry.

Przewróconemu do góry nogami wszędolazowi mangry nie były w stanie zaszkodzić, ale za to z uwięzionymi ludźmi mogły sobie poradzić co najmniej na trzy różne sposoby: zabić mocnymi uderzeniami o ziemię, skrócić ich ciała tak, by spowodować rozerwanie skafandrów, albo też, jak to miało miejsce w wypadku wszędolaza, odwrócić głowami w dół.

Drugi sposób zachował się w pamięci dziedzicznej mangrów, ale na szczęście dla ludzi program ten zakończył się takim niewypałem, że instynkt automatycznie się wyłączył.

Program „postępuj jak zawsze” został osłabiony innym: „próbuj, jeżeli nie wychodzi tak jak zawsze”. Skoro więc ludzi z błyskawicami oraz wszędolaz uznano za dwóch różnych

wrogów, także i próby były różne: macki wypuściły jedynie sok, którym rozkładały minerały gruntu, i zaczęły potrząsać ludźmi tymi samymi ruchami, jakimi spulchniały ziemię. Nie było to zbyt przyjemne, ale potrząsanie przynajmniej niczym nie groziło. Co zaś się tyczy białego płynu, który pociekł po skafandrach, to tu można się było spodziewać wszystkiego najgorszego. Wróg który tak szybko i umiejętnie zadał klęskę, wydawał się ludziom uosobieniem bezwzględnego i wyrachowanego rozumu. Na szczęście nie wszystkim.

Ludzie we wszędolazie pomimo ciężkich przejść mogli myśleć. W czasie gdy obserwowali wydarzenia, stopniowo brała w nich górę skłonność do analizowania. Proces ten, choć nieświadomy, był efektem ogromnego doświadczenia ludzkiej kultury, które podpowiadało, że wszystkie zwycięstwa poprzedzało zawsze twórcze podejście, że tam gdzie go nie było, nie było i zwycięstwa.

Przyczyną całego nieszczęścia był stereotyp myślenia, ale drugiego podobnego błędu udało się im uniknąć. Skoordynowane, pewne, a stąd i zewnętrznie rozumne posunięcia „zagajnika” tylko na moment zachwiały początkową pewnością biologa, że mają do czynienia z prymitywnym, choć jedynym w swym rodzaju stworzeniem. Pewność ta nie była ślepa, gdyż opierała się na znajomości ogólnych praw ewolucji życia, na świadomości, że treść określa formę. Fakt, że „zarośla” nie unieruchomiły broni, nie znalazły pewnej metody zgładzenia bezbronnych ludzi, rozwiewał ostatnie wątpliwości. Przeciwnik nie był ani mądry, ani głupi, tak jak nie była ani mądra, ani głupia dowolna ziemska roślina; był jedynie doskonale przystosowany do ściśle określonych warunków i sytuacji, nic więcej. Kiedy to zrozumiano, do znalezienia wyjścia z beznadziejnego, jak się wydawało, położenia był już tylko jeden krok.

W rozumowaniu błędu nie było. W tych rejonach, gdzie nie kipiał bój, liście mangrów nadal chłoneły światło. Tam gdzie ucichły wystrzały, pojawiły się podobne do stonogi duże stworzenia, które bez cienia strachu snuły się pomiędzy gałęziami i zjadały liście. Rzecz jasna, idylla ta nie dotarła do ogłuszonego wydarzeniami rozumu, ale na szczęście pozostała w świadomości ludzi. By jednak zrodziła się z tego myśl, trzeba wprawdzie było zrezygnować z kilku uprzednio przyjętych ustaleń. Jak na przykład: że cała siła człowieka tkwi w potędze ujarzmionych przez niego energii, doskonałości stworzonych przez niego maszyn, bo w rzeczywistości tkwi ona w giętkości, dalekowzroczności jego myślenia! A także, że taktyka, która nie zawiodła nawet tysiąc razy, niekoniecznie sprawdza się za tysiąc pierwszym. No i że człowiek jest zawsze rozumny: tak naprawdę jest on rozumny tylko wtedy, kiedy potrafi dostrzec, ocenić nowość i zmieniawszy uprzedni obraz świata działać odpowiednio do

rzeczywistości, jaka by ona nic była Niezauważalnie dla siebie (konieczność to najlepszy nauczyciel!) biolog przebył całą tę drogę. I wtedy zrozumiał, co należy robić.

Zrozumiał to w tym momencie, w którym w nausznikach rozległ się rozpaczliwy krzyk:

- Płyn rozpuszcza skafander!

Nadeszła krytyczna minuta i biolog zrozumiał, że jego odkrycie jest bezużyteczne: nie ma czasu na wyjaśnienia, wydarzenia wyprzedziły pracę rozumu.

A jednak...

- Z czego wnioskujecie, że sok rozpuszcza siliket?!

- Łuszczy się i odpada jego zewnętrzna warstwa!

„Sok został wypuszczony pół godziny temu - przeleciała przez głowę myśl. - A warstw jest trzy...”:

- Stój! - krzyknął. - Mamy jeszcze czas i pewną metodę!

Za późno. Jedyne znajdujący się na wolności człowiek załogi już podbiegał do uwięzionych. Zgrzytnęło ostrze noża...

Zanim nóż zdołał odciąć drugą mackę, kilka innych zsunawszy się z jeńców pochwyliło śmiałka. I choć był on przygotowany na atak, macki uprzedziły jego reakcję. Sekunda - i znalazł się w takim samym położeniu co pozostali.

Strach nie przeszkodził biologowi w stwierdzeniu, że jego plan potwierdził się w swym najslabszym punkcie. Teraz pewny był swego. Chyba że „zagajnik” jakimś sposobem uniemożliwi realizację jego planu.

Tego jednakże można się było nie obawiać. Mangry wiedziały, że ich sok działa powoli, i nie śpieszyły się z innymi środkami. Co zaś się tyczy pierwszego wroga - wszędołaza - to jego zachowanie wskazywało na to, że jest martwy. Teraz wypadało już czekać na moment, kiedy płyn rozmiękczy tkanki tego dziwnie twardego urbana.

Wszystko było nie tak, a przecież szło jak trzeba.

Denny luk otworzył się do wewnątrz. Pierwszy wyszedł biolog. Luk natychmiast zatrzasnął się za nim - żeby nie wiadomo jak pewna była teoria, ryzykowanie wszystkim nie ma sensu.

Przewracając wszędołaz mangry ułatwiły realizację planu, gdyż teraz człowiek miał dużo przestrzeni na manewr, którego przecież nie byłoby, gdyby denny luk znajdował się na właściwym miejscu.

Na czworakach, starając się nie dotykać bez potrzeby macek, człowiek ześliznął się z pancerza wszędołaza i lawirując ruszył poprzez sploty strasznych ramion. Najstraszniejszą rzeczą dla biologa była konieczność dotykania tych bladooleistych macek i świadomość, że w każdej chwili mogą one pochwycić go i udusić. Wbrew wszystkiemu wyobraźnia bezwolnie wyposażała je przecież w rozsądek, który mógł przełamać szablon instynktu. Przecież to jasne, że skrada się wróg!

Tymczasem mangry wiedziały jedynie, że poprzez sploty gałęziorków pełnie coś nieszkodliwego, a nawet pożytecznego. Żadne inne stworzenie po prostu nie mogło się znaleźć i poruszać w sercu ich organizmu, bowiem zostałyby zatrzymane, rozpoznane i zniszczone na granicy ciała. Nie orientowały się, co krząta się pośród nich, nie zwracały uwagi na te stworzenia, które zjadały chore liście, zbierały szkodliwe owady czy żywiły się obumarłymi tkankami.

Przecież nawet człowiek bez pomocy nauki nie jest w stanie zauważyć tych szkodliwych stworzeń, które gnieźdzą się w jego organizmie! Właśnie dlatego biolog był bezpieczny, mógł spacerować jak po parku.

Wkrótce zrozumieli to wszyscy.

Biologa mogły zgubić tylko dwa błędy, ale na swoje szczęście uniknął ich. Nie ruszył wprost przed siebie, gdyż wtedy trzeba byłoby pełznąć poprzez opalone ogniem strefy, a to mogłoby sprawić mangrom ból i prawdopodobnie spowodować reakcję obronną. I choć znacznie wydłużyło to jego trasę, wydostał się na zewnątrz tam, gdzie nic mangrów nie niepokoiło. A wydostawszy się nie wstał i nie pobiegł przed siebie, gdyż doskonale rozumiał, że przeciwnik już nauczył się kojarzyć niebezpieczeństwo z sylwetką idącego człowieka. Załoga wszędołaza dokładnie powtórzyła jego manewr. Oczywiście nie obyło się to bez oporów, ale zakończyło się sukcesem.

Walka pojedynczego człowieka, choć zakończyła się tak opłakanie, potwierdziła to, czego biolog domyślał się.

Wiązka macek wyczerpała wszystkie swoje siły. Wyczerpała do tego stopnia, że nowego więźnia nie była już w stanie nawet podnieść. Być może macki mogły jeszcze skrócić jednego czy dwóch ludzi, ale teraz do walki przystępowało czterech. Podejścia innych mangrów można się było nie obawiać: „refleks wystrzałów” nie powinien był tak szybko zaniknąć... Wszystko to, co działo się potem, bardzo przypominało walkę grupy Laokoona ze żmijami.

Teraz należało odbić wszędołaz. Ale myśl o niszczeniu tego już bezbronnego, gdy stały się jasne jego słabe strony, choć nadal zagadkowego „zagajnika” wydawała się ludziom

obrzydliwa. Łatwo też doszli do wniosku, że mangry same porzucą pojazd, gdy tylko odkryją zbliżanie się burzy.

Mylili się jednak. Instynkt kazał mangrom nie rezygnować ze zdobyczy, więc kiedy zbliżyła się burza, powlekły go ze sobą. Był to fatalny błąd z ich strony. Wszędołaza nie można było tak jak urbana rozerwać na kawałki; jego ogrom opóźnił ruch mangrów i dogoniła je burza.

A co znaczą miejscowe burze i dlaczego mangry stały się koczującymi półroślinami-półzwierzętami, powiedziały ludziom części wszędołaza rozsiane na przestrzeni wielu kilometrów.

## Niedotykańska

Oszalaniające, cudowne, prawie zapomniane niebo! Otworzyło się i przyjęło ich; po monotonii kosmosu, gdzie tylko gwiazdy i mrok, po długim zamknięciu znów wicher, blask obłoków, morze, stały ląd. Od bijącego w iluminatory światła przygasły lampy. Wyłączyć, jak najszybciej wyłączyć te żalosne namiastki słońca! Niech prawdziwe obmyte powietrzem światło dotrze do każdego zakamarka statku, zetrze ostatni skrawek cienia!

Napływający zewsząd ludzie z malującym się na twarzach uśmiechem niepewnej radości spoglądali jeden na drugiego. Oto wychodzą z katakumb. Oto wydostają się z kosmosu. Poganiane ostrogami niecierpliwości wściekle terkotały express-analizatory. Jest tlen, można oddychać, jest wiatr, który owieje, jest zieleń i woda, zupełnie jak w kraju.

Swierdlin kątem oka zerknął do góry, tam gdzie stygła fioletowa dal opuszczonego kosmosu, i natychmiast spuścił oczy. Nie trzeba rozpamiętywać, nie trzeba... Oto nagroda za wszystko. W dół jeden po drugim opadały automaty zwiadowcy. Pojawiły się zajmujące cały ekran hologramy obcego świata. Białą piasek na brzegu morza; uginające się pod ciężarem owoców gałązki; step, ponad którym unoszą się ptaki; wydeptana przez zwierzęta ścieżka... Wszystko niczym na Ziemi. Prawie jak na Ziemi. Jaśniej niż na Ziemi.

Lawina cyfr w okienkach analizatorów. Temperatura, ciśnienie, wilgotność, promieniowanie... Aparat zachłysnął się i zamilkł: teraz sprawdzał organikę. Bakterie, trawy, wirusy, owady, spory, fitocydy, kurz, opadłe liście... Ludzie czekali. Denerwując się, niecierpliwiąc, marząc.

Minął już - jak szybko! - niedawny entuzjazm. Dookoła same zachmurzone twarze. I właśnie wtedy, jakby w odpowiedzi na nie ukrywane obawy, wszyscy usłyszeli suchy, szorstki głos:

- Nie należy spodziewać się niczego dobrego po tej planecie.

Wszyscy odwrócili się. Wiadomo, Fiokin, jedyny człowiek, który i wcześniej nie wyrażał radości.

- Ty pesymisto! - napadli na niego. - Nie krakałbyś na zapas!

- Co? - zachnął się Fiokin, a jego usta wykrzywił grymas. - Chciałoby się pobiegać bez skafandrów? Wiaterkiem pooddychać, co? Oj, chłopcy, chłopcy... Nie warto na to liczyć.

- A to niby czemu? - zapytał Swierdlin.

- Bo tak - już serio odpowiedział Fiokin. - Trzeba spodziewać się najgorszego.

Człowiek nie naraża się wtedy na rozczarowanie, gdy coś nie wyjdzie. A przecież - nie

wyjdzie... Najprzyjemniejsza radość to niespodziewana radość. Jak widzisz, mój pesymizm daje więcej szczęścia.

- Nieprawda - pokręcił głową Swierdlin. - Nieprawda. Spodziewam się po tej planecie wszystkiego najlepszego i sprawia mi to radość. Wstyd przyznać, ale oczekuję również urzeczywistnienia swego małego skrytego marzenia. Wierzę, że znajdzie się tu ten zakątek, którego nie ma na Ziemi, a który śni mi się po nocach. Widzę go. Zagubione jezioro całe w smugach światła i cienia, delikatny piasek pod bosymi nogami, zgrabne, sięgające nieba drzewa, ciepło, cisza...

- To nostalgia - zauważył lekarz. - Widzisz nasze jezioro wśród naszych sosen. Nawiasem mówiąc takich miejsc na Ziemi nie brakuje.

- Komarów również - dodał Fiokin.

Zabręczał sygnał i spór został zażegnany, gdyż popłynęły informacje. O wirusach i zwierzętach, drzewach i ptakach, kwiatach i mikrobach. O wszystkim tym, co jest życiem, zjawiskiem we wszechświecie znacznie rzadszym niż geniusz wśród ludzi.

- Maski - przeszedł szept. - A więc tylko maski! Automaty przesadzały. Wprawdzie nieco inne były tutejsze związki białkowe, ale różnica była tak minimalna, że decydowała o wszystkim: obce życie nie mogło zaszkodzić ludziom. A więc maska była niczym innym jak tylko zbędnym zabezpieczeniem, którego wkrótce będzie się można pozbyć.

- No, Fiokin, czemu się nie cieszysz? - zapytał ktoś.

Mężczyzna zignorował pytanie i nie odezwał się słowem. Nawet jasne słońce, nie żółte, lecz białe, nie było w stanie zetrzeć pokrywających jego twarz cieni.

Zaczęło się lądowanie. Przy akompaniamencie ryku i gruchotu atmosferę przecięło kosmiczne wiertło. Falami rozbiegły się wyładowania elektryczne, strzelało nagrzane powietrze. I długo jeszcze po lądowaniu nie cichł grom.

Siłą - pomyślał Swierdlin. - Bierzemy tę planetę siłą, mocą naszych gigawatów. Niczym wrogą twierdzę. Ale to nic, wszystko uspokoi się.

I rzeczywiście wszystko uspokoiło się. Opadły fale na jeziorach, uleciały zerwane przez huragan liście, znów rozchyliły swe kielichy kwiaty. Wsparty na potężnych tytanowych łapach statek stanął pośrodku wypalonej łysiny pogorzelsko skutecznie oddzieliło go od świata obcych drzew i traw.

Tego niestety nie można było uniknąć. Taka była instrukcja - sterylizować grunt w strefie lądowania. Zamienić go w popiół. Nie dopuścić do tego, by jakiś powój oplótł łapę. Niby zbytek ostrożności (w każdym razie na tej planecie), ale w innych warunkach statek nie



mógłby usiąść, stąd też w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto zastrzeżenie to było słuszne.

Dzień ustąpił miejsca wieczorowi, przeszła noc, a lokatory wciąż nieustrudzenie badały okolicę. Pustka. Wszystko to, co mogło uciekać, dawno już uciekło, a to, co nie mogło, zginęło. Nic nie naruszało spokoju sztucznej pustyni.

W odległości dziesiątek, setek, tysięcy kilometrów od statku wciąż sprawdzając i jeszcze raz sprawdzając wszystko kontynuowały swą wachtę automaty. Kipiało tam życie, na wąsach jednego z nich jakiś pajęczek zaczął już tkać swą pajęczynę, tak jakby zwiadowca był sękatym drzewem.

Tylko rozum potrafi reagować na wtargnięcie obcych, ale rozumu tu nie było, a przyroda jednakowo przyjmuje i meteoryt i gwiazdolot. Niekiedy wiał wiatr, a wtedy do statku docierał prócz swądu spalenizny oszałamiający zapach wspaniałych kwiatów i traw, który jak na razie wyczuwały tylko aparaty bezlitośnie rozkładające go na komponenty: nieszkodliwy, nieszkodliwy... Miliardy bitów nowych informacji usunęły wreszcie ostatnią barierę.

Poranna rosa pokryła pogorzelnisko, wschód słońca zastał ludzi w drodze. W lesie śpiewały ptaki. Ręce jakoś tak same z siebie wyłączyły silnik wszędołaza, a ludzie ucichli i słuchali.

Nad drzewami wstawało białe słońce, które wysyłało w zenit promień drżący niczym wbita w niebo kryształowa strzała.

- Ruszamy - powiedział kapitan. Nikt się nie poruszył, a mężczyzna nie nalegał. Rozpoczął się długi ekspedycyjny dzień.

Wszędołaz pełzył poprzez błękitne korzenie, rozchyłał szeleszczącą trawę, objeżdżał grząską czerń błot, płoszył sześcionogie zwierzątka o kawowych zamyślonych oczach, brak pochyłości, a jedna nienaruszona dal ustępowała miejsca następnej.

Potem ludzie wyszli i stąpali niepewnie po sprężynującej podściółce z czerwonego mchu. Mieli na sobie lekkie ubrania i tylko maski oddzielały ich od tego wszystkiego, co było dookoła. Można było pochylić się i golą dłonią pogłodzić nie oglądane jeszcze przez nikogo kwiaty: można było zadrzeć do góry głowę i dać przesianemu przez listowie słonecznemu promieniowi połaskotać skórę; można było położyć się na wznak; można było iść nie po prostej... Taki drobiazg, lecz jak wiele znaczył on po miliardzie kroków po prostych korytarzach! Niezwykle wydawało się nawet to, że obcasy nierównomiernie zagłębiały się w gruncie.

Cóż to za wspaniałe uczucie po stale tej samej sprężystości pola na statku! Zapomnieli o rzeczach najprostszych, o tym, że powietrze może obmywać ciało łaskawą falą, że chłodek cienia graniczy z żarem słońca, że istnieją wyboje... Ktoś potknął się i upadł, gdyż jego nogi odwykły już od uwzględniania czegoś takiego, jak nierówności gruntu. Leżąc na ziemi człowiek roześmiał się, a w jego ślady poszła natychmiast cała reszta. Tak trzeba - trzeba wyzbywać się niepotrzebnych już nawyków, radować się tym, czego człowiek wcześniej nie doceniał i nie zauważał!

Wszyscy jakby oszaleli, bo przecież wrażenia też mogą upoić. Chmiel informacji, alkohol różnorodności, nalewka z zapachów kwiatów! Formuły ostrzegały, że tak będzie. Do diabła z formułami! Planeta jest gościnna, dostępna od bieguna po równik, a oni są młodzi, życie jest jednak piękne!

Zdąży się, jeszcze się zdąży. Obserwacje mogą zaczekać, hipotezy też. To ich planeta! Jak miękko ścieli się ona pod nogami, jak wspaniale kołyszą się gałązki, jak czarodziejskie są dźwięki i szelesty, jak powabne są jej dale! Dla jej zdobycia poświęcili wiele lat, ale to głupstwo. Będzie za to teraz nową Ziemią. Wraz ze wszystkimi swymi nietkniętymi oceanami, równinami, lodowcami.

Postępu nie da się powstrzymać, lata podróży zamkną się w miesiącach, tygodniach, dniach... Tak było na Ziemi, tak będzie też i w kosmosie. Wszędzie, wszędzie! Śmiało z ciebie, człowieku, stworzenie. Uparte. Nie ma dla ciebie granic, a jeżeli nawet będą, to zmieci je. Po to przecież został ci dany rozum. Wola.

O czym myślisz. Fiokin?

...że zabawne to wszystko. A więc mamy to, czego pragnęliśmy. Niegłupio tu. Można rzec, że jesteśmy szczęśliwi. Ale przecież i na Ziemi staje się naszym udziałem nie mniejsze szczęście. Tylko że znacznie szybciej i bez specjalnych trudności. Bez wieloletniego wyrzekania się prostych ziemskich radości, no i bez ryzyka Co innego pójście o świcie na ryby, a co innego wędrówka po powierzchni obcej planety, choć z punktu widzenia zadowolenia, jakie stało się twoim udziałem, wychodzi oczywiście na to samo. Cóż więc osiągnęliśmy?

...Zwycięstwo, ty zatwardziały pesymisto, zwycięstwo.

Rzecz nie w ilości, lecz w jakości. W rzeczach niemożliwych, które uczyniliśmy możliwymi. Wyżej podnieśliśmy głowy, ot co. Mocniej, pewniej. Lepiej rozumiemy samych siebie. Więcej wiemy i możemy. Szczyt dla alpinisty nie jest celem samym w sobie, nawet jeżeli ten tak myśli. Bierze się przecież nie fizyczne wyżyny, lecz duchowe. Bez tego nie ma

rozwoju, a gdzie nie ma rozwoju, tam zaczyna się ruch wstecz, i wkrótce zamyka się nad nami wieko trumny. Ot, chociażby ten ptak, tam na niebie.

On też rozumie, że życie to ruch. Jak koziołkuje nad naszymi głowami, zatacza koła... Jego upierzenie to cud: lazur i złoto. Boi się nas, a przecież przyciągamy go. Wszystko co nieznane przyciąga, gdyż zwykle tam, gdzie natykamy się na coś nieznanego, czai się niebezpieczeństwo, zaś by przeżyć, trzeba wiedzieć. A nasz ptak wyraźnie chce żyć...

Ptak złożył skrzydła. W słońcu błysnęły lazur i złoto, rozległ się krzyk, ale nim ludzie zdążyli się opamiętać, o piersi Swierdlina uderzał trzepoczący, jeszcze żywy kamyczek. Przestraszony mężczyzna strząsnął go z siebie, kamyk upadł u jego stóp, drgnął i znieruchomiał.

Oszołomieni ludzie spoglądali jeden na drugiego.

- Atakował?
- Taki mały ptaszek?
- Samobójstwo?
- Nonsens!
- W takim razie co?
- Przygotować broń!
- Po co?
- Na wszelki wypadek.
- Przecież nasze białka są diametralnie różne!
- Ostrożność nie zaszkodzi...
- Uwaga! Z tyłu!

Krzak przewrócił się nagle i z jego środka wyleciało zniekształcone prędkością ciało: błysk dezintegratora zamienił je w parę, zanim jeszcze nabrało kształtu.

- Do tyłu! - ochryplym głosem krzyknął kapitan. - Do maszyny!

Kiedy schodzi lawina, człowiek ma zwykle czas odnotować te pierwsze kamienie, które odrywając się od gruntu ze złowieszczym narastającym hukiem toczą się po zboczu.

Potem nie ma już szczegółów, jest tylko spadająca masa, ogromna, wściekła w szybkości swego upadku.

Tak było też i tu. Nagle pociemniało, a w chwilę potem coś runęło zewsząd, przemieszało się. Potopem lejących, biegnących, dużych i małych stworzeń ruszyła dosłownie cała planeta. Fioletowe wybuchy dezintegratorów raziły, gniotły, rwały to, co było ciałem rzucającej się w wir walki przyrody, to, czym ludzie jeszcze nie lak dawno zachwycali się, a co teraz oszalawszy powstało nagle przeciw nim.

Biegli wstrząśnięci strzelając do wszystkiego, co żywe, bojąc się i nie rozumiejąc, co się stało, że miejsce idylli zmieniło się nagle w miejsce boju.

- Biosfera oszalała! - wstrzymując oddech krzyknął kapitan, gdy pancierz wszędołaza oddzielił ich od żywego potopu. - Szybko na statek!

Posłusznie włączył się silnik, przylepiona do pancierza trawa została błyskawicznie zmiażdżona pierwszymi obrotami kół.

- Stójcie - mówił z trudem Swierdlin. - No stójcież! Wydaje mi się...

- Co?

- Patrzcie.

Żywa zbita masa, której nie mogły powstrzymać ani wystrzały, ani śmierć, topniała, rozlatywała się bryzgami stworzeń, które natychmiast znikwały, tak jakby to nie one tworzyły jeszcze przed chwilą tę ślepą całość. Wkrótce już tylko grudy zwęglonych trupów mówiły o błyskawicznym starciu. Spokojnie świeciło słońce, drzewa, których listowie ocalało, cicho kołysały się w strumieniach nagrzanego powietrza. Ludzie wciąż jeszcze nie mogli przyjść do siebie, gdyż nigdzie w żadnym gwiazdnym systemie nie zetknęli się z czymś tak potwornie bezsensownym.

- Coś mi to jednak przypomina - powiedział biolog patrzący na grudy martwych ciał, na ranę wypaloną w jasnej zieleni obcego świata. - Analogia jest oczywiście czysto zewnętrzna, tym niemniej...

- No?

- Atak fagocytów. Napaść na wszystko, co cudzorzodne...

- Nonsens - powiedział kapitan.

- Nonsens - zgodził się biolog. - Jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, to nie można mówić o podobieństwie. Nikt przecież nie napadł na nasze mechanizmy. Nikt nie atakował naszej rakiety...

- I nie atakuje wszędołaza - dodał Swierdlin łapiąc za rączkę drzwi. - Dlatego też o wszystkim zadecyduje proste doświadczenie.

- Dokąd?! Nie wolno!

- Pozwólcie! Skoro nikt nie napadł i nie napada na nas, dopóki znajdujemy się w tym pudełku, to znaczy, że wszystkiemu winni jesteśmy my.

- My?

- Nasze białkowe podobieństwo, a jednocześnie i niepodobieństwo do lego wszystkiego, co nas otacza To nie atak fagocytów. Organizm świadomie akceptuje metal i

plastyk, ale już skomplikowane białka odrzuca. - Czyżby to była reakcja nie dających się pogodzić różnic?! - wytrzeszczył oczy kapitan. Przecież biosfera nie jest organizmem!

- Pomysł nieco dziwny, ale kto wie, może właśnie dlatego słuszny - mruknął po głębokim namyśle biolog. Biosfera rzeczywiście nie jest organizmem, lecz to wcale jeszcze nie znaczy, że nie jest ona systemem mogącym reagować jako jedna całość. Chociaż... Nie, to niemożliwe! Gdzie i kiedy biosfera zachowywała się w ten sposób?

- A gdzie i kiedy była na tyle dostępna, że pozwalała nam obchodzić się bez skafandrów?

- Zachowywała się spokojnie, by tym boleśniej uderzyć? - uśmiechnął się Fiokin.

- A kłós tu marzył o nowej Ziemi... Był niepoprawnym optymistą...

Swierdlin nie odpowiedział

- Zgadza się na doświadczenie? - zapytał.

- Tak.

N4ężczyzna wyszedł z wszędołaza, z hermetycznego pudełka, z ruchomego więzienia i stanął pośród kwitnących traw, na ile błękitnego nieba, w ciszy leśnego światka. Był teraz sam na sam z tak ziemską, tak bliską człowiekowi przyrodą, w głębi której krył się odpór, ślepy i wściekły, gotowy zetrzeć człowieka niczym mikroba. Tym razem też nie trzeba było długo czekać.

- To wszystko - powiedział przygnębiony Swierdlin zatraskując drzwi, poza którymi roily się, kotłowały tysiące stworzeń. - Tu też konieczne są skafandry.

- Potrzebna jest izolacja, by nas nie czuło... No cóż, ruszamy.

Wszędołaz zawrócił i oddalał się coraz szybciej, szybciej, jakby uciekając od rozczarowania...

Syczał wentylator tłoczący obrzydłe, sztuczne, chemiczne powietrze. Za szkłem znikala coraz to inna wspaniałość obcego dnia. Znowu zamknięcie - myślał każdy. - Ciało w otocze skafandra, tak jakby dookoła był lodowaty kosmos. Życie wszędzie nas odrzuca. Bezbronne są tylko martwe światy, bo nad wejściem do każdego kosmicznego ogrodu z różnych przyczyn niezmiennie płonie jeden i ten sam napis: „Postronnym wstęp wzbroniony”.

- Człowiek zawsze musi wszystko oswajać - powiedział Swierdlin, kiedy przed nimi pojawiła się bryła gwiazdolotu. I nieistotne, czy jest to koń, atom czy też biosfera. Postęp to nieustanne poskramianie! Ale ostatecznie najlepszym przyjacielem nie jest ten pies, który łąsi się do każdego przechodnia... I to jest właśnie najwspanialsze.